

Wiktor Gomulicki

OLOWIADANIA

6

STARY
WARSZAWIE

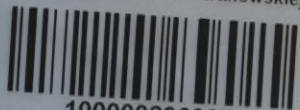


A. D.
MCMXIII.





Biblioteka Politechniki Krakowskiej

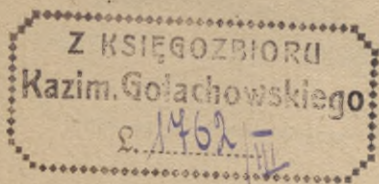


10000296997

I/79

Prof. Kazimierz Gołachowski
Nowy Sącz ul. Kościuszki k. 11/1 p.

OPOWIADANIA
O STAREJ WARSZAWIE





Z KSIĘGOZBIORU
Kazim. Gołachowskiego
L.



PRZEDM.-KRAKOWSKIE OKOŁO ROKU 1830 Z WIDOKIEM NA DOM STRZICZKI (Tow. przyjaciół nauk).
(Podług akwatyny Fryderyka Dietricha).

Prof. Kazimierz Gołachowski
Nowy Sącz ul. Kościuszki ł. 11/p.

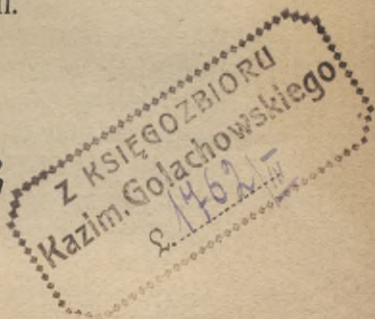
WIKTOR GOMULICKI

OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE

WYDANIE NOWE,
POPRAWIONE, ROZSZERZONE
I OZDOBIONE ILUSTRACYAMI.

TOM II.

W. G.



SKŁADY GŁÓWNE.
E. WENDE I SPÓŁKA, WARSZAWA,
H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I S-KA, LWÓW



I-26398

DRUK ZAKŁ. GRAF. TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW.

Akc. Nr. K-954 Y 57

I.

O MARYWILU.

Gdyby dłoń czarodzieja przeniosła dzisiejszego warszawianina w pierwsze lata bieżącego stulecia i postawiła go na rogu ulic Wierzbowej i Senatorskiej, oczy jego i umysł doznałyby wielu zadziwiających niespodzianek.

Przedewszystkiem ów warszawianin spostrzegłby, że nad jego głową, zamiast stojącej tam dziś wspaniałej kamienicy, z ładnym balkonem i długą linią sklepów wytwornych, wznosi się mur ogrodowy, poobijany z tynku i plamami wilgoeci umozajkowany, zponad muru zaś wyciągają pokrzywione konary śliwy, grusze, jabłonie oraz rzadkiej piękności orzechy włoskie.

Ogród ten — to ogród OO. Reformatów; wspomniane zaś orzechy są temiż samemi, których owoc tak bardzo smakował nadwornemu lekarzowi Augusta II-go, Erndtelowi, że

w swym uczonym opisie Warszawy (Drezno, 1730, str. 16) upamiętnił je we wzmiance: ... „*praeterea multus in hoc horto fructuum proventus, et in specie junglandium arborum, quae nullibi fere, quam hic, per Varsaviense solum inveniuntur*“.

Ogród, od strony ulicy Wierzbowej, uległ częściowemu zabudowaniu dopiero w roku 1819, w dwa lata zaś później wystawił na samym rogu dużą kamienicę Petyskus, od którego nazwiska dotąd jeszcze zowie się ta posesya „dom Petyskusa“.

Gdy już zatem nasz warszawianin oswoił się z widokiem starego muru i szumem drzew nad głową i powiódł ciekawem okiem po dzisiejszym placu Teatralnym, czekała go tu nowa, osobliwsza jeszcze niespodzianka...

Ulica Wierzbowa (zwano ją wówczas jeszcze „Wierzbowską“, na pamiątkę biskupa poznańskiego Wierzbowskiego) w punkcie przecięcia się swego z Senatorską była tak samo szeroka a raczej wązka, jak w przecięciu się z Trębacką, i oszołomiony warszawianin miał wprost siebie: kilka niewielkich, murowanych kamienic, przypierających do olbrzymiego dwupiętrowego gmachu z okazałą wieżą, która zdawała się czatą, strzegącą bezpieczeństwa ciemnej, stłoczonej masy murów, czeigodnych zgrzybiałością, malowniczych bezładem, odpychających brudem.

To bezkształtne zbiorowisko wszelkiego rodzaju dawniejszych i świeższych budynków i budyneczków, przystawek i wstawek, lepiarek z cegły i kletek z drzewa, przypierające do głównego, w półkole zatoczonego gmachu z wieżą i zajmujące kwadrat, którego bokami były ulice: Senatorska, Nowosenatorska, Trębaeka i Wierzbowa — nazywało się: *Marywil*.

Część dała tu nazwę całości; miano bowiem „Marywil“ służyło właściwie wspomnianemu tylko gmachowi, który zajmował nie więcej, niż czwartą część całego terytorium.

Ale miano tak przyrosło do miejsca, że kiedy następnie na tyłach Marywila, na gruncie należącego doń ogrodu, zbudowano „Teatr narodowy“, mieszkańcy Warszawy przez długi czas nie nazywali go inaczej, jak „Teatr na Marywila“. To określenie pozwalało im odróżniać go odrazu od „Teatru na placu Komisji“, którem to mianem oznaczano znów stary gmach na placu Krasińskich.

Aby skończyć z niespodziankami, następczającymi się oczom warszawianina, stojącego pod murami ogrodu OO. Reformatów, trzeba jeszcze dodać, że zwróciwszy wzrok w lewo, napróżno szukałby w tym kierunku—gmachu ratuszowego.

Ratuszów miała wówczas Warszawa kilka (Staromiejski, Nowomiejski, na Grzybowie,

na Lesznie i t. d.) gmach zaś, pod numerem hipotecznym 462 zapisany i dziś biura municypalności mieszczący, był wówczas prywatnym pałacem Pruszków (przedtem Jabłonowskich). Zaraz też za nim wznosił się, rogu ulicy sięgając, pałac Kencińskich (przedtem Blanka).

Na swoim miejscu stał jedynie dzisiejszy kościół PP. Kanoniczek (nie posiadający wszakże jeszcze dzisiejszej facjaty, wzniesionej dopiero w roku 1819), który jednak wówczas, choć znajdował się pod tem samem, co dziś, wezwaniem (świętego Andrzeja), nie służył jednak Kanoniczkom, lecz „Kanonikom regularnym“. Kanoniczki zaś mieściły się jeszcze, na przenosiny niecierpliwie oczekując, w odmęcie marywilskim...

Rozglądający się po tem wszystkim nasz „współczesny“, łatwo mógłby sobie wyobrazić, że rzucono go w środek miasta, najzupełniej ma nieznanego; zdumienie wszakże jego ustąpiłoby w znacznej części, gdyby, darem jaśnowidztwa obdarzony, mógł być dojrzeć wypisane już wówczas na szarych murach Marywila—głoski baltazarowe...

Dnie tego potwornego amalgamatu handlu i nabożeństwa oraz oświaty i rozpusty, tego dziwaczego miasta w mieście, które nawet w zupełnem oderwaniu od reszty Warszawy mogło być wegetować spokojnie i wesoło, znajdując u siebie zaspokojenie wszyst-

kich potrzeb ciała i ducha — były już policzone.

W końcu drugiego dziesiątka lat zeszłego wieku Marywil padł pod oskardami murarzy.

Większą część ruiny zrównano z ziemią i uczyniono pustym placem, który miał następnie zyskać ozdobę w pięknym wodotrysku i zazielenić się trawnikiem sztucznego skweru; na mniejszej części wzniesiono: od ulicy Senatorskiej gmach teatralny, od Trębackiej „Komorę celną“.

Ta ostatnia już w roku 1841 zespolona została z teatrem i przeznaczona na skład rekwizytów; lata zaś następne przyniosły teatrowi nowe udogodnienia, dzięki którym on pozyskał swój dzisiejszy, imponujący wygląd i pomieszczenie wygodne. Wiadomo, że gmach teatralny wzniesiony został podług planu „filarowej“ pamięci Włocha Corazzi'ego, który wypisał na nim swą architektoniczną manierę nieprzeliczoną liczbą kolumn, kreskujących prostopadłymi liniami cały fronton i skrzydła. Patrząc na te długie rzędy walcowatych podpórek (przystrojona jest w nie również cała jedna połać placu Bankowego oraz ulicy Rymskiej), możnaby sądzić, że włoski architekt pomysł do swych planów wzorował głównie na swem narodowym—*maccheroni*...

Ale teatr i jego dzieje wychodzą poza

ramy niniejszego szkicu — pozostawiamy je więc tymczasem na stronie...

Marywil, który w pierwszej połowie XIX wieku zakończył swe istnienie, rozpoczął je w końcowych latach wieku XVII.

Istniał niecałe dwa stulecia.

Dziwnym trafem miał być pamiątką czynów wojennych Sobieskiego, tymczasem główny jego rozkwit przypadł na epokę Sasów, którzy hojnie wprawdzie szafowali prochem, ale tylko na... „kampamenta“ i fajerwerki. Za rządów „stolnika litewskiego“ już Marywil tracił z wolna swój pierwotny charakter i chylił się stopniowo do upadku.

Czem była ta część Warszawy w chwili, gdy Marya Kazimiera umyśliła wznieść na niej rodzaj własnego bazaru, czy też miasteczka (*Marie-ville*)?

Była — ramowiskiem.

Armia Karola Gustawa ze szczególną zaciętością znęcała się nad stojącymi tu budynkami „Żupy solnej“, i czego nie zdołała zburzyć kulami, strawiła ogniem, rozerwała siekierą.

O ponownem zabudowywaniu tego miejsca przez długi czas nie myślano; przedstawiało ono przez lat kilkadziesiąt rozpaczliwy obraz pustkowie, pełnego gruzów, dołów i zielska, dokąd za dnia wywożono śmiecie z miasta i gdzie nocami wyły psy głodne oraz szu-

kali schronienia wszelkiego rodzaju nędzarze i nędznicy.

Warszawa, zajęta pracowitem gojeniem ran zadanych przez najazd szwedzki i mająca aż nadto wiele pracy *intra muros*, nie troszczyła się zbytecznie o jakiś tam plac na przedmieściu, który zresztą, stanowiąc część tak zwanego *Wójtostwa*, głównie osobę samego wójta obchodził.

A ów wójt, czyli, wedle urzędowego tytułu, *dominus advocatus*, dostatecznie uposażony i kamienicą przy ulicy Nowomiejskiej („Kamienica wójtowska“, nr. 161), i grantem oraz dochodami z urzędu płynącymi, również nie śpieszył z uprzątnięciem gruzów i śmieci, co byłoby kłopotliwe i kosztowne.

Potrzeba więc było dopiero wiekopomnego tryumfu króla Jana oraz dowcipu i pobożności królowej „Marysieńki“, aby pustkowie, oczyszczone i zabudowane, nowem zawrzało życiem.

Kamień węgielny pod budowę Marywila położony został w dniu 12 września 1686 roku (w rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem). W zastępstwie nieobecnej królowej, uroczystości dopełnił biskup poznański, Stanisław Witwicki. Zamurowano wówczas w fundamenty gmachu relikwie oraz tablicę ze szczerego srebra, na której była wyrażona intencya małżonki Sobieskiego, wznoszącej ten gmach,

najpierw na pamiątkę wiedeńskiej „wiktoryi“, następnie na cześć N. P. Maryi, której wizerunek, na blasze malowany, nigdy piersi Jana III nie opuszczał.

Inteneye pobożnej monarchini były idealne; przeznaczenie jednak wznoszonej budowli aż nadto praktyczne. Dwoistość charakteru „Marysieńki“ i w tym fackie jasno się zarysowała. Dla umysłu szczerze i wyłącznie idealnego wystarczyłoby upamiętnić doznana od niebios łaskę albo jakimś pięknym monumentem, albo też przybytkiem, chwale Bożej poświęconym; utylitarna francuzica, mieszając *sacra profanis*, stworzyła handlarskie i suto opłacające się—targowisko.

Bo niezem innym, jak targowiskiem nie był ów, z niemalym kosztem dźwigniony i relikwiami męczenników poświęcony, Marywil.

Pobudki materyalne i potrzeba czysto ekonomiczna, w większym może jeszcze stopniu, niż popędy serdeczne, na powstanie tego gmachu wpłynęły.

„Marysieńka“ Ignęła zawsze sercem do Francyi i interesy kraju ojezystego wyżej ponad inne stawiała, wznosząc więc olbrzymi bazar, wyłącznie dla handlu przywozowego przeznaczony, mogła mieć na pierwszym względzie: otworzenie zbytu towarom francuskim.

Francuzczyzna — dzięki tej samej „Ma-



MARYWIL.
(Podług szkicy F. Dietricha)

rysięcie“ — była w kraju modna, kupey więc francuscy, mając już wyłom w obyczajach narodu zrobiony, nie potrzebowali niczego więcej, prócz wygodnego do kupezenia rynku.

A rynek taki był dla nich tem niezbędniejszy, że współzawodniczący z nimi Ormianie zajęli już na swój użytek główne ognisko handlu warszawskiego, mieszczące się w trzydziestu sześciu kramach staromiejskiego ratusza. Wyrugować ich ztamtąd było prawie niepodobieństwem; od wieków już stanowisko w silnych rękach dzierżyli, dzieląc je, w małej zresztą części, ze Szkotami, czyli, jak starzy warszawianie mówili: „Szotami“.

Wschód i Zachód w równej mierze ciągnęły wówczas do siebie lubiącego się stroić i błyszczeć Polaka; powoli jednak Zachód brał górę nad jego upodobaniami, aż wreszcie w zupełności wpływ Wschodu usunął. Bazar marywilski w dziejach tego współzawodnictwa decydującą odegrał rolę.

Świadectwo wspaniałości i przestronności wystawił Marywilowi wspomniany już Erndtel, nazywając go „*aedificium omnium fere totius Varsaviae spatiosissimum et amplissimum*“. Tenże pisarz podaje kilka ciekawych szczegółów o jego pierwotnym wyglądzie i przeznaczeniu (*Varsavia physice illustrata*, str. 17 i następne).

Dowiadujemy się z tego źródła, że Marywil był budynkiem, wzniesionym w kształcie

półksiężycia i posiadał wewnątrz nadzwyczaj obszerny dziedziniec, liczący w obwodzie 840 stóp geometrycznych. Dziedziniec był zakryty od strony wewnętrznej gmachu rodzajem portyku, pod którym można było chodzić dokoła, będąc zabezpieczonym od deszczu i niepogody.

W samym gmachu znajdowało się 32 pojedynczych mieszkań, zajętych prawie wyłącznie przez kupców, którzy tu mieli na parterze sklepy, a w podziemiach składy zasobne. Z tego też względu nazywano Marywil „dworcem albo giełdą kupiecką“ (*curiam vel bursam mercatorum*).

Dokładniejszy i nader charakterystyczny opis Marywila nakreślił nieznany z nazwiska francuz w broszurze wydanej w dwanaście lat później. Broszura, nie wspomniana przez żadnego z dotychczasowych historyografów Warszawy, nosi tytuł: *Varsovie vengée et son apologie avec des réflexions morales et autres. (En Pologne, 1742)*.

O Marywila (nazywanym niewiadomo dla czego przez autora *palais de Marainville*) czytamy tam co następuje:

„Jest to jeden z największych w mieście gmachów i służy za rezydencję kancelarzowi wielkiemu koronnemu, który jest jego właścicielem. Niezależnie jednak od tego dygnitarza i jego liczego dworu, znajduje tu

pomieszczenie, zwłaszcza podczas sejmów, znaczna liczba oficerów królewskich, nie mówiąc o licznych rodzinach mieszczańskich i innych.

„Wewnątrz tego gmachu, którego różne części jednym zbudowano kształtem, rozciąga się niezmiernie wielki dziedziniec, okolony trzema rzędami galeryj, wspartych na arkadach i sklepionych w ten sposób, że można obejść je dokoła, mając nad głową nakrycie.

„Pod arkadami znajduje się zdumiewająca ilość sklepów, oraz bardzo wygodnych mieszkań, które zajmują wszelkiego rodzaju kupey.

„I tych kupeów dostać można (co prawda, nieco przepłacając) wszystkiego, co stanowi zarówno przedmiot codziennej potrzeby, jak i wykwintnego zbytku.

„Kto po raz pierwszy wewnątrz tego olbrzymiego gmachu ogląda, nie może oprzeć się złudzeniu, że znajduje się pośrodku małego miasteczka. Co do mnie, wyznaję szczerze, iż złudzenia temu w wysokim stopniu uległem, omylony zwłaszcza widokiem wspaniałej kaplicy, którą wziąć można z łatwością za kościół parafialny.

„Owa kaplica przeznaczona jest wyłącznie dla wygody licznych mieszkańców marywilskiego pałacu i nabożeństwo odprawia się w niej publicznie.

„Znajduje się też w obrębie pałacu liczna i doborowa biblioteka. Magnat, który łożył na kupno ksiąg rzadkich i kosztownych, zamysła zbiory swoje otworzyć na użytek publiczny, oraz zorganizować przy nich, na wzór wielkich miast Francyi i Anglii, stowarzyszenie uczonych.

„Wszystko to, w połączeniu z klasztorem panien Kanoniczek, który w najbliższym czasie ma być tu otworzony, czyni Warszawę miastem godnem podziwu nawet ze strony ludzi, żywiących względem niej fałszywe i nieuzasadnione uprzedzenia“.

Wspomniane przez uprzejmego francuza Kanoniczki wprowadziły się na mieszkanie do Marywila w trzy lata później, mianowicie w roku 1743, w którym odbyła się inauguracyja pierwszej ich ksieni Zofii Gałęckiej, wojewodzianki podolskiej.

Nowe „kolegium świeckie“ powstało z inicjatywy ordynatowej Antoniny z Zahorowskich Zamoyskiej. Odkupiła ona w roku 1744 gmachy marywilskie od rodziny Sobieskich i oddała je na własność ufundowanym przez siebie „Kanoniczkom“, które przywilej Augusta III (z d. 11 listopada r. 1744, w Grodnie datowany) nazywa: *Canonicae seu Canonissae*.

Oprócz Marywila, otrzymały te „bezślubne panny stanu szlacheckiego“ od swej wspa-

niałomyślniej fundatorki dobra i sumy znaczne, które Zamoyska „przed księgami ziemskimi zakroczymskimi powiatu nowomiejskiego zapisała i transfundowała“.

Znaczenie i cel tej „kapituły“ powszechnie są znane, wyjaśniać je więc tutaj byłoby rzeczą zbyteczną.

Wprowadzenie się świątobliwych dziewięć do huczącego gwarem handlarskim Marywila stało się w dziejach tego ciekawego gmachu epoką, nie uświęciło go jednak, jakby to ktoś mógł z pozoru przypuszczać.

Owszem, czasy największego zamętu, jaki w tym jedynym w swoim rodzaju bazarze panował, głównie na tę epokę przypadają; ciągną się zaś ze wzrastającym zepsuciem do końca XVIII stulecia.

O różnorodności ścierających się tam żywiołów pocięta notatka, zapisana w krótkim „Poglądzie na postać miasta Warszawy“ (wydanym w r. 1851):

„W połowie XVIII wieku w budowlach Marywila kupcy krajowi i zagraniczni utrzymywali w sklepach liczne składy różnych towarów. Następnie traktyernie, kawiarnie, bilardy, gry rozmaite i szulernie w tym gmachu pojawiły się.

„Zagraniczni kuglarze i mechanicy tam dowody swej zręczności okazywali; bogaci

bankierowie i wekslarze tu również mieli swoje kantory.

„Nareszcie, w obszernych salach pierwszego piętra wyprawiano bale, reduty i wszelkie inne zabawy“.

Jaskrawszy jeszcze obraz panującej tam karnawałowej pstrocizny i karnawałowego szalu znajdujemy w cytowanych przez F. M. Sobieszczańskiego (w „Rysie historyczno-statystycznym m. Warszawy“) szkicach z podróży Inflantezyka F. Schultza, który o Marywila pisze co następuje:

„Czego tu dostać nie można! i kto się tu nie mieści! Od skromnych i przyzwoitych Kanoniczek do dam wątpliwej obyczajności, byle pozory były zachowane, wszystko tu się godzi. Traktyernie i księgarnie, artyści i rzemieślnicy, tandeciarze i bankierzy, wszyscy razem mieszkają. Bardzo rzadko w całym gmachu, który do małego miasteczka jest podobny, można znaleźć stałe mieszkania niewynajęte, bo te są w całej Warszawie tutaj najtańsze; nawet sklepy w podziemiach zawsze są przez żydów zajęte...“

Praktyczne Kanoniczki starały się ze swej posesyi wycisnąć dochód jak największy. Oprócz sklepów, lokalów restauracyjnych, mieszkań prywatnych i t. p., pozwoliły jeszcze przedsiębiorcy jakimś urządzić w Marywila rodzaj domu zajezdnego, czy też

tylko *chambres garnies* — co było podobno pierwszą tego rodzaju próbą, na bruku warszawskim wykonaną...

W początkach ten „Dom gościnny“, nie mający żadnego prawie współzawodnictwa, cieszył się wzięciem niemałym; później stracił i wzięcie i opinię. Zapisał to tenże sam Schultz w słowach: „Niegdyś zajazd w Marywilu był jedyny w Warszawie a ztąd i najlepszy; lecz od czasu, jak powstały dwa inne (hotel Wileński i hotel Polski), stracił wiele i do trzeciego rzędu spaść musiał“.

W pierwszych latach zeszłego stulecia zajazd marywilski weale już nie istniał; nie zapisuje go przynajmniej Bach w swem „Wymienieniu znakomitszych domów w Warszawie“ pomiędzy przytoczonymi dziewięcioma „zajazdami wielkimi“ (*Grosse Gast-Häuser*).

Nie poprzestając na znacznych dochodach, jakie przynosić musiały gmachy samego Marywila, świątobliwe a zarazem i zabiegliwe panienki pomnażały źródła tych dochodów przez wznoszenie na terytoryum marywilskiem coraz nowych kamienie i budynków pomniejszych. Niektóre z tych dobudówek utworzyły nawet nowe numery hipoteczne, czego ślad zachowały nam stare taryfy naszego miasta. W taryfie z roku 1797 („Opis wszystkich pałaców, domów, kościołów i t. d. dla wygody publicznej wydany“) zapisano,

oprócz Marywila właściwego, „kamienicę pańien Kanoniczek“ pod numerem 474; w taryfie zaś z r. 1807 liczba tych kamienic wzrosła do czterech i rozróżniać je musiano literami (nr. 474*a*, *b*, *c*, i *d*).

Jakkolwiek zgromadzenie dwudziestu bezślubnych szlachecianek, wśród których jedna tylko ksieni ślubem czystości była związana, nie stanowiło właściwego zakonu i nie czyniło służbie Bożej z całego życia ofiary, dziwić się jednak trzeba, że mogło wśród tego jarmarczno-zapustnego harmidru odbywać jakiegokolwiek praktyki religijne. A bardziej jeszcze dziwić się trzeba, że interesy majątkowe stawiając wyżej nad inne, ów harmider dobrowolnie prawie wywoływało...

Skarży się na to pewien *Anonimus* z XVIII w. w ciekawej, choć może zbyt namiętnie zredagowanej „Nocie“, domagającej się od rządu usunięcia pańien Kanoniczek z gmachów marywilskich (*Nota Anonimusa do Najjaśniejszych stanów skonfederowanych Rzeczypospolitej względem fundacyi i sprzeciwiania się onejże pańien Kanoniczek warszawskich, dnia 28-go lipca 1789-go roku napisana*).

W „Nocie“ czytamy między innymi:

„Kanoniczki pierwszego chóru (dzieliło się kolegium na dwa chóry) zajmują wszystkie staney, a drugi chor pod nogami swemi, gdzie bywały stajnie, z maleńkimi okienkami

na dole, ciemne i pełne wilgoci, z utratą zdrowia, równie jak w więzieniu *in fundo* lokują...“

„Jest w fundacyi, aby trzymać kapelanów przy kościele dla spowiedzi i częstokroć nagłej choroby lub śmierci, a żyda żadnego aby nigdy w tych murach nie mieścić. Teraz wszelkiego rodzaju ludzie i żydzi mieszkają, szynki i sklepy utrzymają. Drzwi od ulic powybijane, zamiast bramy jednej jest wchodów kilka, kapelan żaden, ani nabożeństwo regularne; żydostwa mnóstwo, którzy nawet przed oknami pańien Kanoniczek i drzwiami kościoła ślaby i swoje bałwochwalstwa (!) jawnie odprawiają. Jakie ztąd szyderstwo w publiczności! jakie nieuszanowanie woli fundatorki, która napisała w fundacyi, jak dekret konsystorski świadczy: *Bona sua ad Gloriam Dei et Publicum bonum donata!*“

Zkąd w Marywilu wzięli się żydzi?

Przedostali się z sąsiadującego z nim „Pociejowa“.

Pociejów XVIII wieku, Pociejów właściwy (bo dzisiejsza targowica żydowska przy ulicy Bagno tytuł ten tylko uzurpuje) znajdował się pomiędzy ulicami Senatorską i Nowosenatorską, zamykając tę ostatnią i przypierając murami swymi też do prawego boku zabudowań marywilskich.

Szczególnem zaprawdę zrządzeniem historycznej fatalności, nazwisko Pociejów, sta-

rej magnackiej rodziny polskiej, związało się tak silnie z wszelkiego rodzaju tandetą, obszarpanymi chałatami i niechlujstwem, że dzisiejszy warszawianin wcale już tych dwojga pojęć rozróżniać nie może...

A jednak Pocięjowie nie mieli nawet pośredniego związku z handlem żydowskim, w czasie bowiem, gdy pałac przy ulicy Senatorskiej przerobiono na olbrzymią hallę dla żydów, nie byli już jego właścicielami.

Przeróbki dokonał w roku 1785 szambelan króla Stanisława Augusta Adam Uruski, któremu Pocięjowie swój pałac (ongi będący własnością Warszzyckich) odprzedali.

Ten pałac, w swym ostatnim kształcie, przedstawiał się jako jednopiętrowy niski ale nadzwyczaj długi budynek, którego całe czoło zajmowały niewielkie, gęsto rozmieszczone sklepiki.

Dzieje tego bazaru, wznawiającego pomysł Maryi Kazimiery (która go znów z paryskiego *Palais Royal* naśladowała), stanowią charakterystyczny rozdział w kronice warszawskich dzieci Izraela.

W stosunku ich do ludności chrześcijańskiej sprawdziło się, co Szyller napisał o kobiecie, że jest podobna cieniowi, który ucieka, gdy gonisz, goni zaś ciebie, gdy chcesz uciec...

Nigdy za dawnych czasów Warszawa nie

była dla żydów zbyt gościnną; największą jednak nietolerancją okazała im za Augusta III.

Pamiętny w dziejach naszego miasta Franciszek Bieliński, marszałek wielki koronny, z całą surowością wznowił dawne dekrety, zabraniające żydom przebywania w stolicy, i bez litości karał tych, którzy przepis obejść się starali.

„Był to pan nie mniej surowy jak sprawiedliwy—pisze o nim Kitowicz—i rąco wyprawiał na tamten świat każdego, ktokolwiek dostał się pod jego sąd godzien śmierci“.

Na ospale rozpastnem tle epoki drugiego Sasa wykroiliła się ta postać twardymi rysami, jako symbol nieubłaganej służbistości, jako żywe wcielenie paragrafu prawa obowiązującego. Bieliński miał coś w sobie z dzisiejszych pruskich urzędników, dla których *lex i justitia* są pojęciami nierozdzielniemi; i jakkolwiek w sprawie porządków miejskich dużo dobrego dla Warszawy uczynił, nietolerancją swą, fanatyzmem i osłanianiem literą prawa okrucieństwa, zaćmił rzeczywiste swego umysłu przymioty.

Za marszałkowstwa Bielińskiego żydom wolno było jawić się w mieście tylko w charakterze osoby przyjezdnej, o prowadzeniu zaś tu jawnego a choćby nawet maskowanego handlu marzyć nawet nie mogli. Wyjątek stanowiła jedynie pora odbywających się w War-

szawie sejmów. Na dwa tygodnie przed otwarciem każdego sejmu, woźny marszałkowski ogłaszał trąbą (zastępującą odgłos dzwona, którym lud zwoływano w wieku XVI i XVII) swobodne prowadzenie handlu i rzemiosł wyznawcom starego zakonu; w dwa tygodnie zaś po sejmie—koniec tej swobody.

Zważywszy, że handel jest tem dla żyda, czem woda dla ryby, i że z tego tylko źródła zdobywa on chleb dla siebie i dla rodziny swojej, łatwo pojąć, jak ciężkimi były dla ludności żydowskiej podobne ścieśnienia.

A nie ustały one i po śmierci Bielińskiego, bo następcą jego, Lubomirski, obciążył żydów nowym podatkiem, zwanym „biletowe“, a polegającym na tem, iż żydowi nie wolno było pokazywać się na mieście bez biletu, który kosztował pół złotego, służył zaś tylko na dni pięć. Podobno nowy marszałek zyskiwał rocznie z tego źródła przeszło 200,000 ówczesnych złotych...

Wówczas to żydzi, pod egidą kilku możnych i wolnomyślnych panów, zaczęli otwierać duże targowiska poza okopami miejskimi, publiczność zaś, kierująca się w takich rzeczach jedynie zmysłem ekonomicznym, tłumnie do nich ciągnęła. Obudziło to szalony gniew i zawiść w konkurentach i przywiodło do zbójceckich na mienie żydowskie napaści, których ofiarą padła między innymi osada handlowa

„Nowa Jerozolima“, leżąca na miejscu dzisiejszych alei Jerozolimskich.

Po tym wybuchu nastąpiła, jak zwykle, reakcja. Zaczęto nad żydami litować się, ulgi im dawać... Ale nie trwało to długo. W roku 1784 pojawiło się znów rozporządzenie marszałkowskie, nakazujące, aby żadna żydowska dusza nie śmiała pokazywać się w obrębie miasta i podmiejskich okolic, jeżeli nie chce być wysłaną na łono Abrahama. Jednocześnie zapomniano wskazać owym duszom, gdzie schronić się mogą przed pałką marszałkowską, wskatka czego powątpiewać musiały: czy wogóle istnienie na tej ziemi jest im dozwolone?...

W owej to rozpaczliwej chwili, żydzi, przekonawszy się, że serca warszawian ostatecznie odwróciły się od nich, dali stanowcze pożegnanie grodowi książąt mazowieckich i wyruszyli całą masą do... Raszyna. Udzielił im tam przytulku bankier warszawski Tepper, dziedzie tej miejscowości.

Cóż jednak wówczas się stało?

Warszawa, która rzucających się w jej objęcia żydów systematycznie odpychała, teraz, spostrzegłszy ich uciekających, serdecznie za nimi zatęskniła...

„Kobieta jest jak cień“—a nasze miasto... kobietę ma w herbie!

Jakiegokolwiek były powody tej tęsknoty,

faktem jest, że w prędkim czasie wyjednano dla żydów ustępstwa i pozwolono im zamieszkać w kilku, przez władzę wskazanych, punktach Warszawy.

Najwydatniejsze miejsce w rzędzie tych ostatnich zajął właśnie—Pociejów.

Osobiste wpływy i... wyrachowania szambelana królewskiego nie mało też, zapewne na szali zaważyły.

Handel żydowski założył w owym, magnackim niegdyś, pałacu Warszyckich i Pociejów pierwsze fundamenty późniejszej świetności.

Publiczność, znęcona taniością cen, doborem towarów i pokorą sprzedających, rzuciła się tłumnie do skromnych z pozoru a wewnątrz znaczne bogactwa kryjących kramików pociejowskich.

Jednocześnie świetne sklepy i magazyny w Marywila opustoszały.

Było to objawem zupełnie naturalnym, gdyż nikt nie chciał płacić po dwa dukaty za to, co o kilkadziesiąt kroków dalej mógł być dostać za dukata. Ekonomia wzięła górę nad przesadami religijnymi i społecznymi, i zapewniła stanowczy tryumf pociejowskiemu przybłędowi nad marywilskimi potentatami.

Doszło do tego, że ci ostatni spostrzegli, że walka konkurencyjna z najbliższymi

sąsiadami staje się nie tylko bardzo trudną, lecz nawet zgoła niemożliwą — zatrąbili do odwrotu...

Polskie i francuskie nazwiska zaczęły kolejno znikać z szyldów marywilskiego bazaru; ich miejsce zastępowały godła żydowskie, żydzi bowiem głównie wówczas posługiwali się w handlu godłami, czego zabytkiem są dziś jeszcze firmy wielu kramów w „Gościnnym dworze“.

I takim sposobem, ku zgorszeniu cytowanego wyżej *Anonimusa*, armia żydowska zdobyła świątobliwy — w intencji pani ordynatowej — Marywil; nie kontentując się zaś tą pozycją, rozlała się następnie po całej ulicy Senatorskiej.

Rzeka tem gwałtowniejszy ma pęd, im w ciaśniejsze ujmowana tamy...

W sześć lat po inauguracyi Pocijowa, raz jeszcze przejawiała się w sposób brutalny konkurencyjna zawiść. W dniach: 19 kwietnia i 10 maja roku 1791, podburzony religijnemi rzekomo hasłami tłum spóółstwa rzucił się na sklepy i mieszkania żydowskie na Pocijowie i w Marywilu, i krwawemi bójkami oraz grabieżą te smutne daty upamiętnił.

Większe bezpieczeństwo i rozleglejsze przywileje [pozyskać mieli żydzi dopiero od rządu Księztwa Warszawskiego.

Nie opuścili wielkiej posesyi Uruskiego aż do chwili rozebrania jej i zniknięcia z powierzchni Warszawy; w Marywila zaś dotrwali na swem stanowisku do roku 1809, w którym przeniesiono ich w stronę ulic Marszałkowskiej i Królewskiej.

Szlacheckie nazwisko Pocijów, przylgnąwszy do chałatowych kupeów na dawnem siedlisku, poszło za nimi i na nowe...

Zanotujmy jeszcze jeden szczegół, dotyczący sklepów w Marywila.

Jak już wspomnieliśmy, żydzi umieszczali nad nimi godła; prócz tego każdy sklep opatrzony był bieżącym numerem i sam ten numer miejsce szyldu częstokroć zastępował.

Przekonywa nas o tem następujące ogłoszenie, wydrukowane w numerze 37 „Kuryera Polskiego“ z r. 1730.

„NB. Jest tu w Mariewila sklep pewny *sub Num. XI* otwarty, w którym różne Księgi w Łacińskim, Niemieckim, Francuskim y Włoskim językach mają do przedania. Katalog onych do czytania *pro libitu traditur*. Jest także cyrkumskrypeya obszerna Monarchii Turckiey przez pewnego Szlachcica Polskiego wydana, 20 y kilka Kupersztychami przyozdobiona, którey y na Poczcie Koronney dostanie“.

Nie wiemy, czyja to była księgarnia; z in-

nych tylko źródeł wiadomo nam, że około roku 1750 posiadał w Marywili sklep księgarski Krzysztof Bogumił Nikolai, w r. 1778 otworzył tam drukarnię razem z księgarnią Michał Gröll (w r. 1806 przeniesiona na Krzywe Koło, nr. 52, pod firmą Ragoczy), wreszcie około tegoż samego czasu mieściła się tamże księgarnia Fryderyka Pfaffa.

Tyle o marywilskich kapeach.

Oprócz sług Merkurego i pobierających od nich myto kapłanek Westy, mieścili się też w Marywili czasy różnymi synowie Marsa.

Wzmiankę o tem podała nam już broszura francuska wyżej cytowana (*Varsovie vengée*); prócz tego „Kuryer Polski“ z r. 1733 przynosi wiadomość, że w gmachach marywilskich stali przez czas pewien kwaterą—grandmaszkietierowie.

Niewiela zapewne pomiędzy czytelnikami moimi znajdzie się takich, którymby ten rodzaj broni był znajomy.

Grandmaszkietierowie, jak sen błyskotliwy, pojawili się w końcu panowania Augusta II, i jak sen znikli z powierzchni ziemi, ze śmiercią tegoż monarchy.

Istnienie ich obliczyć się da na miesiące. Uorganizowani w początkach r. 1730, przetrwali zaledwie do wyżej wymienionej daty. Byli kaprysem przeżytego i dziwaczającego

władcy — kaprysem kosztownym, który dalej prowadzić następcę jego ani mógł, ani pragnął...

Pamięć ich ani w dziejach, ani nawet w kronice potocznej nie utrwaliła się niezem wydatnem, i jedyną, jak dotąd, monografią, a raczej krótkim tylko szkicem, zaznaczył ich istnienie pracowity szperacz Bartoszewicz („Szkice z czasów saskich“ str. 47—57).

Fantazyja zblazowanego króla polegała na tem, aby utworzyć rodzaj przybocznej gwardyi (niezależnie od istniejących już *Chevaliers garde*) z młodzieży polskiej szlacheckiego pochodzenia i... olbrzymiego wzrostu. Było w tem niewątpliwie trochę naśladownictwa Ludwika XIV i jego słynnych muszkietarów—ale opasły i zmysłowy Sas, wziąwszy nawet gotową, piękną formę, musiał ją po swojemu wykrzywić i zepsuć. Romansowi wojacy francuskiego króla to piękny wybryk ducha, rozkochanego w formach niezwykłych a estetycznych; drągale naszego Augusta, to niesmaczne i niedorzeczne dziwactwo.

Cokolwiekby, pułk wielkoludów został w prędkim czasie uformowany, król zaś nie szczędził pieniędzy, aby go jaknajbogaciej przystroić.

Grandmuszkietierowie nosili „superwesty“ (wierzehnie kaftany) suto haftowane, mieli

czapki z aksamitu błękitnego, dokoła srebrnym galonem obszyte, z wyhaftowanym na przedzie orłem polskim. W mazyce, trąby i kołty były ze szczerego srebra, sztandary zaś z niebieskiego aksamitu, srebrem haftowane. Zwyczajne ich chorągwie „kitajezane“ (t. j. z materyi nazwanej kitajką) miały również barwę niebieską, brzeg ich tylko był karmazynowy i również haftem pokryty.

„Czapka każda (pisze „Kuryer Polski“) przychodzi na 40 talerów; Ich Mć zaś Officyerowie starsi mają po trzy pary sakien mundurowych, aby ie odmieniać mogli, które na 400 talerów kosztują“.

Równie piękne i kosztowne były pod tymi rycerzami konie, na których uprzęż złotem i srebrem błyszcząca.

Otóż tacy to galanci kwaterowali przez parę miesięcy w Marywila, dorzucając jeszcze jeden krzykliwy ton do panującej tam towarzyskiej i kostiumowej pstrocizny.

Towarzysząc we wszystkich podróżach królowi, przybyli z nim w lutym 1733 r. do Warszawy—była to zaś, jak wiadomo, ostatnia podróż Augusta. Trudno zgadnąć dlaczego tym razem ów strojny oddział olbrzymów zmienił na bruku warszawskim miejsce zwykłego pobytu, posiadał już bowiem wynajęty dla siebie na koszary pałac Mokronowskiego

na Nowem Mieście, w pobliżu kościoła Panny Maryi. Co prawda, zmalał on znacznie w owym czasie (liczył zaledwie 80 ludzi), a dla takiej garstki koszary były już rzeczą zbyteczną.

Fakt, że ci, po większej części zamożni i w Dreźnie do wykwintnego życia nawykli junacy wybrali na mieszkanie Marywil, dowodzi, że ta miejscowość była nie tylko bardzo obszerna, lecz posiadała także wszystkie potrzebne wygody, nie wyjmując dużych stajen, niezbędnych dla kawalerzystów.

Po śmierci króla, grandmuszkietierowie odbywali straż przy jego zwłokach. Strażnicy w Auguście swego organizatora i protektora, znaleźli się w położeniu dwuznacznem, z wątpliwą racją istnienia. Marszałek Bieśliński zażądał od nich przysięgi na wierność Rzeczypospolitej, większość jednak tego żądania spełnić nie chciała. Ową większość natchmiast rozpuszczono (przezem każdy otrzymał cały ekwipaż muszkieterski z koniem i bronią oraz pensję miesięczną), na kwatery zaś do Marywila powróciło tylko trzydziestu, którzy Rzeczypospolitej przysięgli. Ta reszta pojechała następnie za Stanisławem Leszczyńskim do Gdańska, i tam ostatecznie ślad jej zaginął.

Tyle jest słów grandmuszkieterskiej legendy.

Powróćmy do pańien Kanoniczek.

Kościółek ich, przerobiony z kaplicy pod wezwaniem N. P. Maryi, nosił charakter przeważnie szlachecki i arystokratyczny. Gołębiowski w „Opisaniu Warszawy“, twierdzi, że w porze sejmów a zatem podczas największego napływu magnatów do stolicy, w tym kościółku odbywało się codziennie uroczyste nabożeństwo.

Jakkolwiek jednak pobożne panienki dobrze rządziły się pod względem gospodarskim i religijnym, wąż niezgody weisnął się pomiędzy nie i na czas pewien spokój ich zakłócił.

Dowiadujemy się o tem ze wspomnianej już „Noty Anonimusa“, który jednak nazbyt wiele gniewnego animusza w oskarżeniach swych ujawnia, aby można było uwierzyć całkowicie w szczerosć i bezstronność jego wywodów.

Ustawa dzieliła Kanoniczki na dwa chóry: pierwszy liczący 12, drugi 8 uczestniczek; chóry zaś różniły się pomiędzy sobą tem, że do pierwszego należeć mogły jedynie szlachećki z ośmiu herbów genealogię wywodzące, do drugiego zaś takie, które choćby tylko metryką udowodnić mogły, że rodzice ich są stanu szlacheckiego.

Jakkolwiek fundacya równouprawniała

oba chóry i przykazywała im żyć *in communi*, to jednak, przy ultra-szlacheckim charakterze całego zgromadzenia, owa klasyfikacya musiała dzielić świątobliwe panienki nietylko nominalnie...

To właśnie poniewieranie chóru drugiego przez chór pierwszy głównie obarza i do skarg namiętnych zniewala Anonimasa.

„Nie każą im one (to jest pannom drugiego chóru panny chóru pierwszego) w sali gościnnej bywać, ani razem z sobą, jak fundacya mieć chęć, pacierzy odprawiać; owszem, każą im sobie usługiwać, do stołu służyć, talerze sobie podawać i odmieniać, a dopiero po swoim obiedzie i kolacyi, jeść ze swojemi razem pokojówkami u jednego stołu...”

Oto próbka ostrych zarzutów, stawianych przez bezimiennego oskarżyciela. Przytacza on ich bardzo wiele, gdyby zaś choć połowa prawdy mieściła się w jego słowach, należałoby owe panienki, z ośmiu herbów wywodzące się, o prawdziwie magnacką butę posądzić. Czytamy naprzykład w innym ustępie „Noty“:

„Jest w fundacyi, aby karety dwie dla potrzeby i wygody kolegiom trzymano. Ale temi karetami same tylko z pierwszego chóru jeżdżą, nie pozwalając ich nigdy drugiego chóru kanonieczkom ani słabym, ani w deszcz

lub błoto do kościoła na nabożeństwo, ani ich z sobą brać chcą. Owszem, wolą z sobą swoje pokojówki wozić, niż siostry...”

W konklazyi tych wszystkich wywodów żąda Anonimus, aby kolegiom z gmachów Marywila zostało usunięte, wartość posesyi tej kanoniczkom spleciona, pozyskane zaś na własność państwa mary obrócone „na Akademię nauk mennicznych, mechanicznych i innych krajowi użytecznych”.

Rozumie się, że kanoniczki nie mogły tak gwałtownej zaczepki pozostawić bez odpowiedzi; jakoż zgromiły przeciwnika swego repliką, która ukazała się pod tytułem: „Wypis z ustaw oryginalnych Ieymość Panien Kanoniczek, na okazanie niesłuszności zarzutów, które Anonimus y inne pióra nieprzyjazne im czynią”.

Słuszność masiała być tym razem po stronie „panienek“, gdyż pozostały na swem stanowisku jeszcze przez lat kilkanaście.

Opuściły Marywil dopiero w r. 1819, zajmwszy na swój użytek przerobiony starannie kościół św. Andrzeja razem z przylegającą doń kamienicą.

Gmachy marywilskie przeszły teraz w nowy okres, poprzedzający już bezpośrednio zupełny ich upadek.

Nabyte przez miasto i odpowiednio prze-

robione, odzyskały raz jeszcze swój pierwotny i najwydatniejszy charakter, przeznaczono je bowiem na targowisko jarmarczne. Dwa olbrzymie jarmarki, ogniskujące cały handel miejscowy i przywozowy, odbywały się w nich każdego roku—ze słabnącem jednak stopniowo powodzeniem.

Tymczasem mury, acz niezbyt jeszcze stare, zaczęły rysować się i pękać; klecone naprędce przybudówki w gwałtownie się rozsypywały, i nad wspaniałą niedawno budowlą zawisła groźba ruiny...

A była to epoka, w której za hasłem, przez rząd Księstwa Warszawskiego wydanem, rozrzucano pośpiesznie stare mury, gdzie dach stary przemieszkiwał...

Nie było już śladu bram: „Nowomiejskiej“ i „Pobocznej“; rozwalono niedawno i „Krakowską“ razem z kilkoma przypierającymi do niej kamienicami.

Odwieczny ratusz, rozsiadły poważnie na środku Rynku staromiejskiego, rozebrany był do szczytu, a ognisko władzy magistrackiej mieściło się w dawnym pałacu Jabłonowskich i Prusaków.

Nie było też już ratusza na Nowem Mieście; ratusz zaś na Grzybowie ostatnich swych lat dożywał. (Rozrzuceno go w roku 1830).



KOŚCIÓŁ Ś. ANDRZEJA — RATUŻ — PAŁAC BŁANKA (OKOŁO ROKU 1831).
(Podług szkicu Fryderyka Dietricha).

Wówczas to przyszła kolej i na dzieło królowej „Marysieńki“.

Okolo roku 1835 Marywil ustąpił miejsca gmachom teatralnym, a nazwisko jego, będące już zresztą formą bez treści, długo jeszcze żyło w ustach i w pamięci ludu warszawskiego.

II.

O PLACU SASKIM.

Piękny bywał Plac Saski w letnie, ciche, księżycowe noce.

Nigdy go wówczas nie mijałem bez zatrzymania się na dłuższą chwilę, żeby się nacieszyć prawdziwie czarodziejskim widokiem. Ale godzina musiała być późna, popółnocna, aby czara nie psuły dzwonki tramwajów, zbyt głośny turkot kół, hałaśliwe przechodniów rozmowy...

Gdy się szło od strony ogrodu, księżyc stał nad Przedmieściem Krakowskim, zamglając powietrze srebrnym pyłem, który wydłużał sztucznie perspektywę, odsuwając domy w dal niezmierną. Plac Saski, zalany tajemniczem, szaro-zielonawem światłem, wydawał się małą pustynią. Na tej pustyni sterczał tylko czarny graniastosłup pomnika o spokojnych, poważnych, obeliskowych liniach.

Żołnierz tam chodził z karabinem i podejrzliwie spoglądał na spóźnionego, zbyt długo na miejscu zatrzymującego się, przechodnia...

...Tymczasem niepokojąca pustka placu zaczynała się zwolna zaludniać.

Pałki za pałkami szły i jechały, ustawiając się w długie szeregi, to znów formując czworoboki, albo półobrotami zakreślając łuki o bardzo długim promieniu.

Chwiały się kity na szakach łańskich, błyszczały blachy kirasyerskie, połyskiwały gwery grenadyerów. Promień księżycy to prześlizgiwał się po długim rzędzie wzniesionych szabel, niby po wieloostrowym nożu jakiejś potwornej żniwiarki, to znów zapalał girlandę płomyków w żelezcach lanc łańskich...

W miejscu najwidoczniejszym, na wrośłym w ziemię koniu, stał wódz nieruchomy, i poruszeniem ręki zbrojne tłumy w ruch wprawiał.

Pomimo latających szabel i lanc, maszerujących ludzi i galopujących koni, cisza była tak wielka, że ziewanie sztydwaucha przy pomniku wyraźnie do uszu dochodziło, a wskrós maszerujących pałków widne były płonące w oddaleniu latarnie uliczne...

Zapatrzony, wzruszony, szeptałem:

—*C'est là la grande revue,
Qu'aux Champs Elysées
A l'heure de minuit
Tient César décedé...*

— Och, tak... Tylkoż nie Cezari!

Jeszcze na dwieście lat przed obróceniem Placu Saskiego na miejsce wojskowych „rewji“, szumiały tu łany żytnie, nad którymi unosiły się wiosną skowronki, na jesieni łakomych wróbli stada.

W głębi, stały drewniane, słomą kryte budynki gospodarskie i wznosił się dworek, w którym przemieszkował starosta albo podstarości. Był to bowiem folwark miejski, do starostwa warszawskiego należący.

Role starościńskie rozrzucone były po różnych punktach ówczesnej, „pozamurowej“, przedmieściowej, nawet nie przedmieściowej jeszcze, Warszawy. Między innymi, ciągnęły się na dużej przestrzeni wzdłuż Nowego Świata, od miejsca, w którym dziś znajduje się ulica Świętokrzyska. Żyto i pszenica rosły tam jeszcze w wieku XVIII, jeszcze w epoce Stanisława Augusta.

A niech nikogo to nie dziwi—nie trzeba bowiem mieć lat stu, aby pamiętać, że już po otwarciu ulicy Hr. Berga, po jej lewej stro-

nie, gdzie dziś Bank Handlowy, znajdowało się pole żytne, nieco zaś dalej, wielki ogród warzywny.

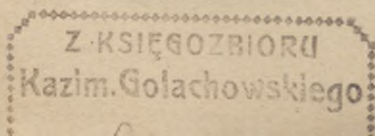
Dla powiększenia dochodów ze starostwa sprzedano w wieku XVII niektóre, należące do niego folwarki. Tą drogą wielki szmat ziemi, gdzie dziś plac, pałac i ogród Saski, dostał się potężnej wówczas rodzinie Morsztynów, piszącej się początkowo „Morstin“.

Tobiasz Morsztyn wznosił tu w roku 1637 dwór okazały, prawie pałac. Według tradycyi, stał ów gmach w tem miejscu, gdzie późniejszy pałac Saski, stylem zaś barokowym przypominał pałac w Willanowie.

Dawne budynki folwarczne Morsztynowie znieśli a rozległy plac, aż do Przedmieścia Krakowskiego dochodzący, uczynili poprostu dziedzińcem pałacowym.

Nie zapominajmy, że dziedzińce dawnych magnatów polskich zajmowały przestrzeń, wystarczającą nie tylko na pomieszczenie kilkuset pojazdów, lecz nawet na odbywanie rycerskich turniejów. Urządzono naprzykład taki turniej u Dobrogosta Krasińskiego, na dziedzińcu pałacowym, z którego później powstać miał plac Krasiński.

Pałac Morsztynowski w roku 1664 przeszedł na własność Andrzeja Morsztyna, świętnego poety, tłumacza „Cyda“, twórcy misternie rzeźbionych erotyków i madrygałów, przy-



tem zaś—na nieszczęście dla siebie a podobno i dla Rzeczypospolitej—podskarbiego wielkiego koronnego.

Poeta-dygnitarz założył w tyłach pałacu piękny ogród, dziedziniec zaś przyozdobił stylowymi budynkami gospodarskimi, wśród których pierwsze miejsce trzymały stajnie i ptaszarnie.

Zatargi z królem i senatorami zmusiły Andrzeja Morsztyna do opuszczenia kraju. Pałac dostał się dwom jego córkom: Ludwice i Izabelli. Pierwsza wyszła za Franciszka Bielińskiego, marszałka wielkiego koronnego, druga została podkanclerzyną litewską.

Pałac z olbrzymim dziedzińcem i bramą wjazdową od Przedmieścia Krakowskiego, zwano powszechnie „pałac Bielińskich“. Z tą nazwą i w swym kształcie pierwotnym przetrwał do roku 1712, w którym losy jego nowej uległy zmianie.

Król August II nie lubił i nie umiał wojować. Natomiast — jak wszysej niemal nierycersey monarchowie — zamięłowany był w sztukach pięknych, w gromadzeniu dzieł artystycznych, w budowaniu ozdobnych gmachów.

Zamek królewski nad Wisłą nie przypadł mu do smaku. Zbyt przypominał Jagiellonów i Wazów, z którymi gruby Sas niewiele miał wspólnego. W pałacu willanowskim straszyl go cień wielkiego Jana. Więc, aby uni-

knąć niemiłych przypomnień i porównań, postanowił zbudować dla siebie nową siedzibę, któraby odpowiadała jego osobistym, sasko-wersalskim upodobaniom.

Następstwem tego postanowienia było nabywanie w roku 1712 dawnego pałacu Morsztynów, wraz ze wszystkimi należącymi doń grantami.

Ale i ta przestrzeń rozległa dla jego szerokich planów okazała się za szczupłą. Więc poskupywał i do obrębu pałacowego wcielił sąsiednie posiadłości: Tarłów, Leszczyńskich, Denhoffów, Lubomirskich i Małachowskich.

Piękna, architektoniczna fantazyja poprzedniego właściciela pałacu, choć stylowa i prawdziwie poetyczna, nie zaspakajała estetycznych marzeń króla. Prawie doszczętnie pałac Morsztyna zburzyć kazał, zamierzając wznieść na jego miejscu gmach monumentalny, godny „króla - Apolla“ i „króla - Herkulesa...“

Profesor Henryk Struve odnalazł w archiwum państwowem w Dreźnie plany tego gmachu, które częściowo tylko ciałem się oblokły.

Twórcą planów był utalentowany architekt Pöppelmann, który jednak swe szkice oznaczył znamienym dopiskiem: „Według własnej myśli i rysunku Jego Królewskiej Mości“...

Dziś, nawet na gotowych już planach spotyka się własnoręczne uwagi i... poprawki króla Augusta.

Marzony przez monarchę pałac miał przewyższać wielkością i przepychem wszystkie gmachy, jakimi pyszniły się: ówczesna Warszawa i ówczesne Drezno. Jako uzupełnienie pałacu, obmyślał August projekt wspaniałego parku, pełnego posągów, wodotrysków, stawów, altan, szpalerów, chłodników...

Pozatem, miał król inne jeszcze plany, które gdyby się wcieliły, plac, nazwany dziś Saskim, przestał-by istnieć. Zamierzano mianowicie wznieść na tem miejscu: kościół dworski, teatr, obszerne ujeżdżalnie, mieszkania dla dworzan i odwach.

Pozostało to wszystko na papierze..

W stylu projektowanego pałacu i innych budynków znać silny wpływ Wersalu, któremu August stale hołdował, marząc o dorównaniu mu blaskiem własnych dworów. Jednak kapryśna fantazja króla, której posłuszny był architekt, wybiegła po za pseudo-klasyczne linie gmachów wersalskich. Warszawska siedziba króla, przeładowana gzymsami, przystawkami, wieżyczkami i nadmiernie wybijała, o falistych zarysach, ornamentacją, byłaby najzupełniej już nie barokowa, lecz — rokoka.

Pomimo, że z wielkim zapalem przystą-

piono do roboty, ciągnęła się ona długie lata, coraz utykając. Co dziwniejsze, wznoszone mury okazywały się błędem tylko odbiciem fantazyj królewskich. Może brakło uzdolnionych odpowiednio wykonawców, może szkatuła królewska, w której się tyle rąk i rączek grażyło, nie była dość pełna—a może plany... według własnej myśli i rysunku Jego Królewskiej Mości przygotowane, okazały się — niewykonalne...

August II w wykończzonej przez się części pałacu zdołał tylko—umrzeć. Syn prowadził dalej rozpoczęte dzieło, ale i pod jego ręką ono kureczyło się i pospoliciało.

Dziś, gmach, który nazywamy pałacem Saskim, kilkakrotnie przerabiany z uwzględnieniem biurowej praktyczności, najslabszego nie daje pojęcia o tem, czem miała być a częściowo nawet już była, siedziba Augustów saskich.

Jedynem przypomnieniem barokowej fantazyi króla są ocalałe, w małej już tylko liczbie, posągi ogrodowe, tak dziwiące oczy dzisiejszego widza przesadnymi ruchami figur, rozwianą, przebogatą draperyą i wogóle niepojętym już dla nas manieryzmem. Dodajmy (o czem już dziś mało komu wiadomo), że te wszystkie posągi były pierwotnie pozłacane.

Rozumie się, że o żadnym Placu Saskim

w owej epoce mowy nie było. Istniał tylko pałacowy, częściowo zabudowany, od strony Przedmieścia Krakowskiego murem odgrodzony, dziedziniec.

Nie narodził się też Plac Saski w epoce, która bezpośrednio po tamtej nastąpiła.

Przez cały ciąg rządów Stanisława Augusta, wszystko tu pozostawało w dawnym stanie. Pałac był wciąż własnością elektorów saskich; wynajmowano w nim tylko czasowo oddzielne apartamenty bogatym cudzoziemcom. Niekiedy olbrzymiej sali, przez całą szerokość gmachu ciągnącej się, udzielano na wyjątkowo ważne i tłumne zebrania senatorów.

W kronice pałacu i jego dziedzińca uroczystość koronacyi Stanisława Augusta upamiętniła się faktem tragicznym.

Gdy miasto objawiało zwyczajową radość z powodu obioru nowego monarchy, cała Warszawa zapłonęła wspaniałą iluminacją, trwającą od wczesnego zmroku aż daleko za północ. Przy tej sposobności, modą ówczesną, wysilali się wszyscy na niezwykle pomysły w symbolach, allegoryach, świetlanych przezroczeniach i rymowanych napisach.

Książę podkomorzy, brat królewski, wpadł na koncept osobliwy. Na Przedmieściu

Krakowskiem, przy wejściu na dziedziniec (dziś plac) Saski, wystawił wielką, rzeźbiście lampkami różnobarwnemi przybraną, bramę tryumfalną, w której na podwyższeniu siedział olbrzymi, z drzewa czy z gliny, orzeł biały.

Na głowie symbolicznego orła wielka królewska korona buchała wciąż jaskrawym płomieniem, była bowiem gliniana i smołą po brzegi napełniona. Z dzioba zaś orła ciekło strumieniem wino.

Zaledwie król, objeżdżający miasto, przypatrzył się tej osobliwości i ruszył dalej, dopuszczono do orła tłum, który z nadstawionymi kubkami rzucił się czerpać trunku z bezpłatnego źródła.

Zapanował ścis... W ścis, orzeł z ognistą koroną został wyrócony, i smoła gorąca polalała się na głowy i plecy stłoczonych ludzi.

Krzyki bólu, przerażenia i wściekłości zmieszały się z rozgłośnymi wiwatami. Kilku ludzi silniej poparzonych, na miejscu umarło. Kilkunastu, może więcej, poniesiono do szpitala.

„Brama jednak—dodaje kronikarz, zdarzenie to opisujący—dopalała się w lampach do końca nocy...”

W roku 1797 pałac Saski wraz z całym otoczeniem przeszedł na własność rządu pruskiego. W obszernym gmachu umieszczono

przeróżne *amty*, i tam, gdzie niedawno jeszcze rozbrzmiewały: śmiech, muzyka, włoskie arye i wytworne zalecanki, rozlegać się zaczęło monotonne skrzywienie piór kancelaryjnych.

Miejsce wykwintnych gładyszów w aksamitnych frakach, jedwabnych pończochach i ciźmach z brylantowemi sprzążkami, zajęły sztywne figury *ratów*, *sztatsratów*, *hofratów*, „i innych (jakby Bartek Prusak powiedział) *psubratów*“. Na wielkim dziedzińcu zaciągnięto warty pruskie; w budynkach pomieszczono pruskie, sztywne jak z drewna, żołnierzy w dziwacznych kaskach, z długimi *harcałami*.

Dziedziniec, jako miejsce rządowe i wojsku oddane, wciąż jeszcze dla publiczności nie był dostępny. Słyszała ona tylko rozlegające się za murem, przy każdej zmianie warty, głośnie bębnienie i komendę niemiecką. Wiezorami, echa roznosiły daleko głośny capstrzyk, wykonywany przez pruskie muzykantów na trąbkach, bębnach i klarynetach.

W roku 1802, w dawnym pałacu Saskim otwarto Liceum Warszawskie, i wówczas też uczyniony został pierwszy wyłom w nietykalności dziedzińca. Na użytek liceistów rozwarła się nareszcie brama od strony Przedmieścia Krakowskiego. Już teraz zamykano ją tylko na noc.

Owe resztki nietykalności ustały z chwilą, gdy na ulicach Warszawy ukazały się orły

Napoleońskie. Wówczas też w ustach ludu warszawskiego pojawiać się zaczęła nazwa „Plac Saski“, utworzona z wyrazu *place*, którym francuzi oznaczali swe wszystkie, choćby czasowe tylko, posterunki wojskowe.

Od tej również chwili, na dawnym dziedzińcu elektorów saskich, zamiast szwabskiego „komandyrunku“, słyszeć się dały miłe dla uszu warszawian wojskowe hasła i odzewy francuskie i polskie.

Na Placu Saskim i w Ogrodzie Saskim odbywał Napoleon przeglądy swych pułków. Później ogrodowi przywrócono jego właściwy charakter (choć w roku 1831 tryumfujące wojsko wyprawiało tu uczty radosne); plac zaś na długie już lata pozostał miejscem wojskowych rewii i popisów.

Ten ostatni jego charakter ustalił się po utworzeniu Królestwa Kongresowego, gdy wielki książę Konstanty w sąsiednim pałacu Brühla założył swą główną kwaterę.

Wizya opisana przezemnie na wstępie do tego szkicu była przez lat piętnaście, to jest przez cały czas trwania Królestwa Kongresowego, najrealniejszą rzeczywistością. Ale ta rzeczywistość, nie zawsze i nie we wszystkich szczegółach przypominała fantazyę niemieckiego poety (Seydlitza) i francuskiego malar-

rza (Raffeta). Chwilami bywała wiernem odbiciem mistrzowskiego obrazu „rewji“ z trzeciej części „Dziadów“.

Jest plac ogromny...

Plac różnych imion—lecz w języku rządów

Zowie się: placem wojskowych przeglądów.

Gdy pogoda sprzyjała, wielki książę „Cesarzewicz“ niemal codziennie odbywał na Placu Saskim przegląd wojsk sobie podwładnych. Był ich naczelnym wodzem; co ważniejsze, był także ich zapalonym miłośnikiem, kochankiem gwałtownym, zazdrośnym, pożerczym—jednym z tych, którzy w wybuchu szalonego przywiązania gotowi swe bóstwo ziemskie w uściskach... zdusić.

Historia parad na Placu Saskim zajmuje oddzielną kartę w ogólnej kraja naszego historyi. Poświęcono jej całe tomy, do nich też ciekawego czytelnika odsyłam.

Na paradę wojsko oraz młodszy i starszy oficerowie zgromadzali się już przed godziną dziewiątą rano. Piechotę przedstawiała zwykle gwardya polska lub rosyjska. Na ich miejsce występowali niekiedy saperzy albo pałk czwarty liniowy. Jazda składała się z jednego plutonu gwardyi konnej polskiej i rosyjskiej. Każdy z plutonów, który brał udział w paradzie, pozostawał już na resztę dnia na

miejscu i używany był do posyłek w sprawach wojskowych.

Aby parada była naprawdę „paradna“, stawiać się na nią musieli wszyscy wyżsi oficerowie, od generałów zacząwszy, aż do adyutantów polowych i batalionowych.

Zgromadzone wojska ustawiały się w ten sposób, że tworzyły czworobok.

Ściana czworoboku od strony pałacu Saskiego była utworzona z jazdy, przy której znajdowali się tylko podoficerowie. Naprzeciw tej ściany, plecami do Przedmieścia Krakowskiego, stały oddziały dodatkowe, którymi uzupełniano bataliony saperów i liniowe. Piechota skupiała się przy odwachu „pod Białym Orłem“. Bok ostatni wypełniała starszszyna wojskowa na koniach, oczekująca w postawie wyprężonej skinienia naczelnego wodza.

Ściśle o godzinie dziewiątej, z pałacu Brühlowskiego, gdzie była główna kwatera, szybkim krokiem wybiegał Konstanty w otoczeniu swej świty. Przed bramą czekał już nań komendant placu, którym przez długie lata był pułkownik Aksamitowski. Cesarzewicz rzucił rozkaz, a on, dosiadłszy konia, pędził na środek placu, skąd kierował następnie obrotami całej parady.

Konstanty otoczony swiątą—wszyscy w kapeluszach „stosowanych“, z pękami piór kapłonich na wierzchu — obchodził szeregi,

pozdrawiając je po polsku lub po rosyjsku. W tymże języku odpowiadało i wojsko, krzyząc: „Zdrowia życzymy...” albo: „Zdrawja żelajem...”

Dobosze uderzali w bębny, kapela chwyciła za instrumenty, i plac napełniał się hałasem potężnego „jenerał-marszu”.

Rozpoczęły się popisy zwyczajne i nadzwyczajne. Na zakończenie rozlegała się komenda:

— Defilada plutonami! Cała parada! Dyrekeya na prawo! Krok podwójny! Marsz!..

Na tym tłumnym, okazałym i wielce uroczystym pochodzie kończyły się popisy piechoty. A wielkie to było szczęście i prawdziwa łaska boża, gdy kończyły się pomyślnie, bez krzyków, łajañ i posztargiwań, bez odsyłania żołnierzy do ciemnicy a oficerów „pod Białego Orła”...

Zkolei występowała jazda.

Ta część parady była piękniejsza jeszcze od pierwszej. Piękniejsza zresztą tylko dla widzów—uczestnicy przeklinali ją, tak była nużąca i wprost: mordercza.

Cesarzewicz dosiadał konia. Wyprężony, wypięty, na strzemionach unoszący się, przykładł do ust dłoń zwiniętą, i naśladując trąbkę, dawał kawalerzystom sygnał pogotowia. Sygnał powtarzali tym samym sposobem je-

nerałowie i pułkownicy. Prawdziwi trębacze usuwali się na stronę.

Jazda, mająca za chwilę ruszyć z kopyta, stała w miejscu, niby mrozem nagłym chwycona kaskada.

Była długa chwila ciszy.

Czekano na sygnał powtórny, wprawic mający w ruch konie i ludzi.

Ale wódz z sygnałem nie śpieszył. On teraz właśnie przystępował najspokojniej do przyjmowania raportów dziennych. I dopiero z tem się załatwiwszy, powtórnie trąbił na dłoni.

Pluton wówczas ruszał z miejsca, rozwijał się, zwijał, biegł naprzód, na miejscu się osadzał, figury geometryczne wykreślał, to znów jak wąż skręcał się i falował—posłuszny ruchliwej, zmiennej, nigdy nie nasyconej fantazy naczelnego wodza.

Po ostatniej defiladzie, kończyła się parada. Zamknięcie jej zwiastowały trąby i bębny. Konstancy opuszczał plac w usposobieniu pogodnem lub kwaśnem, stosownie do tego: czy był lub nie był z przeglądu zadowolony.

W gniewie miał oblicze szkarłatne, wielkie białe brwi zjeżone, wyraz twarzy tygrysi. Zadowolenie wygładzało mu rysy, przywołując na pełne, różowe usta uśmiech uprzejmy, czyniąc go prawie przystojnym...

Opuszczając plac w dobrem usposobieniu, powtarzał nieustannie:

— *Très bien! Doskonale! Charaszò!*

Po roku 1831, na Placu Saskim zapanały pustka i milczenie. Istniał wprawdzie odwach, istniał nawet dawny areszt dla oficerów; niekiedy — przy wielkich uroczystościach — wojsko rosyjskie urządzało tam skromną paradę, były to jednak tylko blade echa minionej świetności.

W roku 1841 odsłonięto na Placu Saskim wielki, żelazny obelisk, wiele go — pod względem estetycznym — zdobiący.

W ostatniem dziesięcioleciu, plac przetrworzył się do gruntu. Prawie wszystkie budynki, przypominające epokę Sasów i Królestwa Kongresowego zostały rozebrane.

Dzisiejszy Plac Saski nie ma już z dawnym nic wspólnego prócz nazwy.

III.

O ULICY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ.

Rynek, jako ognisko handlu i miejsce zborne dla przyjezdnych oraz zamek warowny (kasztel), pod którego skrzydła ciśnie się szukające obrony i zabezpieczenia mieszczaństwo—oto dwa główne i najpierwsze organy każdego miasta średniowiecznego. Główną też i najpierwszą takiego miasta ulicą jest droga, łącząca te dwa organy z sobą.

Dla Starej Warszawy taką drogą była ulica Świętojańska.

Nazwę swą wzięła ta ulica od kaplicy zamkowej, pod wezwaniem Ś. Jana Chrzciciela, która początkiem swym sięga początków miasta samego. W kolei czasów, drobna kapliczka wyrosła na potężną katedrę, ulica natomiast najznacześniejsza zeszała do rzędu nieznaczących.

Jak wyglądała ulica świętego Jana w pierwotnym swym kształcie?

Żaden artysta nie utrwalił dla pamięci potomnych tego pamiątkowego obrazu; możemy go jednak w rysach prawdopodobnych sami sobie odtworzyć.

W epoce, gdy kamień i cegła gdzieniegdzie tylko w Rynku spostrzegać się dawały, ulica Świętojańska była zabudowana domami albo raczej dworami z modrzewia, którego w borach okolicznych nie brakło, lub z pospolitszej a tańszej sośniny. Dwory musiały być z gankami, bo innych nie znano, w oknach zaś, zamiast szyb szklanych, widziałeś błony, napuszczone tłuszczem i napół przezrocze. Całą stronę prawą zajmowała wspomniana kaplica, którą otaczał dokoła ementarz grzebalny, opasany zwykłym zapewne parkanem, z wrotami pod daszkiem i z krzyżykiem żelaznym na szczycie. W bliskości kaplicy znajdował się niewątpliwie dom z ogrodem dla księdza, domek dla służby kościelnej, kostnica i t. p. Po stronie lewej ciągnęły się domy mieszczan rolnych i kupeów, proste, niewymyślne, wedle jednego wzoru stawiane i tylko tu i owdzie godłem symbolicznem wyróżnione.

Komu braknie we własnej wyobraźni materiału do odbudowania tego, zapadłego już w niepowrotną przeszłość, obrazu, niech potrzebnych doń kształtów i barw poszuka

w którejkolwiek z podrzędniejszych uliczek Ciecchanowa, Mławy, Przasnysza i t. p. W kraju naszym wogóle, a zwłaszcza na Mazowszu, pełno miasteczek, które dziś zachowały tę samą postać, jaką miały w kolebce. Czemuż zaś innem była przy narodzinach swych Warszawa, jeśli nie małym mazowieckim miasteczkiem, bliźniaczo do wszystkich swych siostrzyc podobnem?

Dzisiejsza ulica Świętojańska posiada swą typową odrębność. Jest przedsionkiem Staro-
go Miasta i wstępną kartą w solennej, pergaminowej księdze, która jego dzieje zamyka. I dziś też, jak dawniej, zmroczona potężnym cieniem Katedry, jest uroczysta, poważna, jakby atmosferą solenności nasiąkła.

Zgaduję, bracie warszawiaku, że na wzmiankę o atmosferze ulicy Świętojańskiej znacząco nosem kręcisz... Nie w tem dziwnego. Upodobali sobie od zeszłego stulecia tę ulicę składnicy skór i zatruli ją mdlącymi wyziewami jachta. Prawie w każdym domu mieści się tu sklep ze skórami. Aby podczas letnich upałów w atmosferze tej wytrzymać, trzeba być albo stałym tej dzielnicy mieszkańcem, albo też mieć nos Napoleona III, który na pierwszej paryzkiej wystawie powszechnej w zapachu tym nad miarę się rozmiłował...

Trudno odgadnąć powód, dla którego sprzedawcy skór tu właśnie rezydencję swą

założyli. Wpłynęła chyba na to okoliczność, że Rynek staromiejski i ulica Dunaj od wieków ogniskiem kunsztu szewkiego bywały. Cokolwiekbądź, mury ulicy Świętojańskiej pstrzą się dziś od końca do końca tęczowymi znakami, mającymi uplastycznić różnobarwność sprzedawanych tam safianów. Znaki zresztą są rzeczą zbyteczną; każdy trafiłby z zamkniętymi oczyma, kierując się samem tylko powonieniem.

Dzisiejsza ulica Świętojańska obejmuje (prócz dwóch kościołów) 23 numery hypoteczne; rozciąga się zaś od wylotn swego na Plac Zamkowy do ujścia na Rynek. Ongi sięgała dalej, docierając do uliczki Ślepej i garnąc pod swe skrzydła sześć kamienie, stojących wprost Zamku. Wówczas i sam Zamek, oznaczony 1-szym numerem hypotecznym, do niej się liczył. Było to w epoc, gdy istniało jeszcze naczelne skrzydło Zamku zwane „Gród“, i gdy to, co nazywa się dziś placem, nosiło charakter ulicy.

„Gród“ zburzono w roku 1818, prawie równocześnie z Bramą Krakowską. Przekształciło to z gruntu całą tę część miasta; dawne jednak granice Świętojańskiej siłą przyzwyczajenia czas jakiś jeszcze *de nomine* przetrwały. Taryfa z r. 1832, pomimo, że „podług nowego podziału wydana“, rozpoczyna tę ulicę „Pałacem zamkowym Jego Cesarsko-

Królewskiej Mości" (nr. 1), a kończy „Kamienicą Jego C. K. Mości" (nr. 33; dziś posesya Chróściekich na Krakowskiem Przedmieściu).

Wielec poeci, którzy bywają też prawie zawsze i wielkimi malarzami, umieją częstokroć w jednym przymiotniku zamknąć całkowity charakter danej rzeczy. Słowacki, mówiąc o kolumnie Zygmunta III, dodaje:

..Dalej *ciemna* ulica, a z niej jakieś *szare*
Wygląda w perspektywie sonej Miasto Stare.

I w samej rzeczy Rynek Staromiejski jest przedewszystkiem szary, ulica Świętojańska przedewszystkiem ciemna. Są to ich znamiona główne, zasadnicze, typowe. Nawet w dnie najświetniejsze, gdy trójca wież katedralnych, razem ze strzelistą wieżycą pijarską, płonąć się zdają w purpurowych ogniach zachodu, na dole, niby w górskim przesmyku, leży półmrok posępny. Wschód zaróżowia tu zaledwie szczyty wązkich a długich kamienic, promienie zaś południowe, drasnawszy jedną połąć domów, uwypuklają jedynie na krótką chwilę wyskoczne ich gzymsy i widoczniejszemi czynią godła oraz stare na tablicach napisy. Przez całą resztę dnia ulicę zalewa światło przyémione, brudne, jakby przez zamatowaną szybę przesiąkłe.

Na tym wązkim pasku, który przed Katedrą tylko nieco się rozszerza, jest zwykle

dość pusto i dość cicho. Dopiero dnie świąteczne i targowe stają się dniami wyroju dla tego zasklepionego ula.

Gdy w Katedrze Ś. Jana zahuczy organ i zabrzmią pieśni chóralne, dreszcze w murach świątyni zbudzone udzielają się domom sąsiednim. Uliczka ożywia się wówczas, ludźmi nabrzmiwa, nabiera głosu i ruchu. Nadmiar pobożnych, których wielkie nawy kościelne zmieścić nie mogły, wylewa się na zewnątrz, tworząc zator w ciasnej szyi ulicznej. Na asfalcie klęczą mężczyźni i kobiety z obnażonemi głowami, ze świecami woskowemi w rękach, bijąc się w piersi, przesuważąc ziarna różańca lub łącząc swój głos z głosami tych, którzy śpiewają we środku. Przez otwarte wrota wymyka się niebieskawy dym kadzi-deł, w zagłębieniu dalekiem migocą blaski starego złota i szyb tęczowych oraz pozłocisty ornat kapłana...

Ranki znów piątkowe napełniają cichą uliczkę niesfornym harmidrem targu. Turko-cą wózki drabiniaste, krzyczą polujący na zysk przekupnie, zawadzają o siebie wzajem dorożki, gwiżdżą na butelkach chłopaki od szewca.

W epoce, gdy Stara Warszawa była jurydyką a środek Rynku zajmował osadzisty gmach Ratusza z wieżą wyniosłą i szeregi kramnie dokoła, alica Świętego Jana każdego

dnia w tygodniu kipiła ruchem i gwarem... Tędy, wezwani dzwonem ratuszowym mieszczanie śpieszyli na posiedzenie magistratu; tędy szli i jechali do „Grodu“ przybywający bramą Nowomiejską obywatele; tędy juryści wiedli klientów swych do zasobnych piwnie pod Ratuszem; tędy toczyły się wozy ładowne z towarem sprowadzanym Wisłą dla kapeków staromiejskich; tędy dążyły złocene karoc magnatów; tu wreszcie snali się w czerni i fioletach biskupi, kanonicy, księża wyświęceni i niewyświęceni, żacy w sakniach pół-świeckich, pół-kapłańskich i dziadkowie kościelni w granatowych kapotach, krzyżem czerwonym naznaczonych.

Do czasu jednak przeniesienia stolicy z Krakowa, ulica była skąpo zabudowana. Lustracya z roku 1564 wymienia tu zaledwie *sześć* domów, w tej liczbie liberutowaną kamienięcę biskupa poznańskiego. Byłaby ta cyfra prawdziwą? Pomimo, że wierzą jej bezkrytycznie dotychczasowi dziejopisowie Warszawy, ośmielam się podać ją w wątpliwość. Wątpliwość opieram na fakcie, że w tejże lustracyi cyfra domów na innych ulicach Starej Warszawy prawie nie różni się od dzisiejszej. Rynek naprzykład liczy w niej domów 39, Piwna 28, Piekarska 28, a Grodzka aż 23. Być może, iż pod tę ostatnią nazwę podciągnięto część Świętojańskiej, co jest

tem prawdopodobniejsze, że w niektórych spisach późniejszych ta ulica nazywana jest „Świętego Jana *sen* Grodzka“.

W „Deskrypcyi“ z r. 1655-go na Świętojańskiej wskazano ogółem domów 38. W tej liczbie znajduje się 23 kamienic, 5 „kamieniczek“ i 10 domów drewnianych. Te ostatnie jeszcze przed rokiem 1700 zastąpione zostały murowanymi.

Przez długi czas nosiła ta ulica znamię kościelne a raczej księżę. Większość posesyj należała do zgromadzeń kościelnych lub do oddzielnych kapłanów. W wieku XVII dwie kamienice były własnością Jezuitów; prócz tego mieli tu domy: ksiądz Rudawski, ksiądz Borzęcki oraz Braetwo Miłosierdzia (założone przez Skargę), szpital Ś. Łazarza i konwent Ś. Marcina (Augustyanie). Wspomniana wyżej rezydencya biskupów poznańskich przeniesiona ztąd została na początku tegoż wieku na ul. Jezuicką (nr. 72).

Znajdująca się do ostatnich czasów na wstępie do Świętojańskiej cukiernia była może jedyną w Warszawie, posiadającą łukowato sklepioną, jak w starym refektarzu, powałę.

Całe też urządzenie tej cukierni było, jeśli nie starożytne, to przynajmniej staroświeckie. Widziałeś tu stoły palisandrowe, duże, rodzinne; kanapy wyściełane, rozłożyste; stolki z poręczami w kształcie liry

i poczerńiałe obrazy na ścianach, które bodaj czy nie były podobiznami antenatów.

Panowała tu zwykle cisza wielka, chłopcy mówili szeptem, goście w milezeniu zapijali kawę lub herbatę, z kuchni dochodził szum nastawianego samowara. Jeśli w środkowej, zupełnie ciemnej komnacie, zajęła miejsce jakaś para, umyślnie szukająca odosobnienia, rozmawiała z sobą czule ale i poważnie—podobniejsza raczej do Hermana z Dorotą, niż do Desgrieux'go z Manią Lescaut...

Możnaby sądzić, że to z tych murów grubych, osadzistych, których cegły twardości granitu nabrały, wychodziła owa solenność, narzucająca się przemocą umysłom i sercom. Nie byłoby w tem nic dziwnego. Te mury są napół kościelne. Kamienica pod numerem 3 to dawna *Psalteria*, dom Psalterzystów, członków chóru Kolegiaty, następnie Katedry.

Psalterzyści są to księża, do których należy odśpiewywanie psalmów po ukończonem nabożeństwie porannem; wywodzą swą nazwę od narzędzia muzycznego *psalterium*, przy którego wtórze śpiewano ongi pieśni kościelne.

„*Psalteria*“, jako miejsce, wzmiankowana już jest we wspomnianej wyżej lustracyi za Zygmunta Augusta (r. 1564), początek zaś Psalterzystów odnosi się do roku 1525. Przywilejem wydanym w tym roku, „we wtorek

najbliższy po świętym Wawrzyńcu“ Janusz książę mazowiecki „żaków, psalterze śpiewających w kolegiacie Ś. Jana, od obowiązków uchyla, a na ich miejsce ośmiu księży Psalterzystów ustanawia i fundusz dla nich wyznacza“. Przełożonym nad Psalterzystami i jakoby ich gospodarzem miał być proboszcz od Ś. Ducha, który zarazem sprawiał obowiązki zarządzającego szpitalem (właściwie „domem przytułku“) tegoż imienia. Aby zaś pomiędzy zwierzchnikiem a podwładnymi nie było sporów o czynsze i prowenty, księżna Anna mazowiecka postanowiła, że Psalterzyści dostawać mają od proboszcza corocznie na Ś. Jan, 33 kopy groszy, *in mediis grossis*.

Nad drzwiami głównymi tego domu (nad „furtą“, jak w owe czasy mawiano) wyryty jest w kamieniu i znakiem krzyża u góry uświęcony rok 1684. Tego roku za datę erekcyjną uważać nie możemy. Jest on pewnie, jak się to często zdarzało, datą przeróbki i odnowienia kamienicy, liczącej się u nas do najstarszych.

Dom sąsiedni (nr. 2), dotykający jednego z bocznych skrzydeł zamkowych, należy do starszków zgrzybialszych jeszcze, dźwiga bowiem na swych, krzepkich zresztą jeszcze, barkach, blisko pięć stuleci.

Dziś przemawia on czołem swem jedynie do... żołądka, przystroił się bowiem po

jednej stronie wejścia w wędliniarnię, po drugiej w skład wódek; wystarcza jednak wejść do wnętrza i rozpatrzyć się choćby tylko po sklepieniu sieni, aby usłyszeć inne głosy, z kamieni tych wychodzące. Kształty archaiczne uderzają tu na każdym kroku, uwydatniając się nawet w śmiałych liniach żelaznego, wbitego w mur ramienia, które trzyma dziś naftową, czy olejną lampkę.

Ta kamienica była własnością a poniekąd i siedzibą księży Mansyonarzy. W wieku XVII zwano ją *Mansionaria*, początkiem zaś swym ona sięga pierwszych lat XV stulecia, to jest daty założenia kolegium Mansyonarskiego.

Kto byli Mansyonarze?

W ogólności ta nazwa służy księżom, którzy każdego dnia odprawiają nabożeństwo i odśpiewują w chórach *officium* ku czci N. P. Maryi. W Warszawie kolegium ich ufundowała Anna księżna Mazowiecka, około roku 1425, wybudowawszy dla nich kaplicę oddzielną przy kolegiacie Ś. Jana.

Dodajmy nawiasem, że kaplica Mansyonarzy mieściła się przy wejściu do katedry od strony Dziekanii. Wzniesiona na arkadach, w połowie wysokości nawy kościelnej była opasana dokoła balustradą żelazną. Łączyła się z gankiem, na którym monarchowie nabożeństwa słuchali, oraz z krytem przej-

ściem, którem dostawali się wprost z komnat zamkowych do świątyni. Pod tą kaplicą znajdowała się inna, zwana „ciemną“, w której zgodnie z tem mianem, ciągły mrok panował, rozpraszany jedynie sztucznem światłem lampek.

Obie te kaplice w roku 1822 zostały rozebrane.

Księżna Anna uczyniła zapis na utrzymanie siedmiu Mansyonarzy, zobowiązawszy ich do odprawiania codziennego nabożeństwa na intencyę fundatorów. Przywilej mianowania ich i wogóle *jus patronatus* nad nimi posiadali początkowo książęta Mazowiecy, a następnie, aż do połowy XVI wieku, królowie. Ztąd właśnie oni się zwali aż do końca „królewscy“. Dopiero Zygmunt I zrzekł się częściowo tego prawa na rzecz magistratu Starej Warszawy, a Zygmunt August, chętnie pozbywający się wszelkich ciężarów, oddał je w całości kapitule warszawskiej.

Przy zmniejszającym się uposażeniu, liczba Mansyonarzy nieustannie malała.

Do „Mansyonaryi“ przywiązane jest wspomnienie żałobne. W niej to, 8 sierpnia 1524 roku — „w poniedziałek przed Świętym Wawrzyńcem“, jak współczesna opowiada kronika—zmarł dwudziestoczteroletni książą Stanisław, jeden z dwóch ostatnich książąt mazowieckich. Zmarł na chorobę niedocieczoną,

Z KSIĘGOZBIORU

Kazim. Gołachowskiego

którą jedni otrucią, inni nadażyciom *in Baccho et in Venere* przypisują. Śmierć jego wyprzedziła tylko na półtora roku zgon brata młodszego Janusza, z którym zeszło do grobu i Księstwo Mazowieckie, jako oddzielna całość polityczna.

Ten drugi cios, tak bolesny a tak niespodziany, o rozpacz przyprawił poczciwych mazarów. Teraz głośno już oni wypowiadali swe podejrzenia co do zbrodni, i wskazując winnych, na śmierć ich ciągnęli. Dażo osób potracono—bez dostatecznych, niestety, dowodów. Piekarka jakaś z Krakowa i wieśniaczka Kliszewska żywcem zostały spalone...

„Przed Warszawą—pisze Wapowski, który tę rzecz własnymi oczyma oglądał—wkopali w ziemię słup, do którego obiedwie na łańcuszkach długo uwiązali, każdą na swoim łańcuszku, naga, opak ręce związawszy, a około nich nakładłszy drew, wkoło zapalili. Piekły się około onego ognia, jako pieczenie, na cztery godziny zanim pomarły, biegając około słupa, narzekając, kłusując zębami jedna drugą. Niesłychana męka! Potem też i Jordanskiego święto; Jakóba piwnicznego na kościele u Bernardynów dobywano i wiele innych ludzi potracono...”

Kamienica Mansyonarska w roku 1869 przechodzi na własność pana F. Springera.

Dom przeciwległy, narożny od placu Zam-

kowego (nr. 27), odznacza się również charakterem duchownym. Jest to dom dawnego Seminarjum metropolitalnego. W pierwszej połowie XVII wieku była tu posesya Baryczków, głośnej w dziejach Starej Warszawy rodziny mieszczańskiej. Ta posesya przeszła następnie na własność Mikołaja Popławskiego, dziekana warszawskiego. Gdy w roku 1682 przy kościele Ś. Jana zostało utworzone seminarjum, dziekan część swej kamienicy na pomieszczenie seminarzystów przeznaczył. Korzystali też później ze szczytliwości innych potentatów kościelnych i świeckich, a król Jan III przeznaczył był dla nich 3,000 złp. dochodu rocznego z kopalni soli w Wieliczce.

Oprócz właściwych „kleryków“, kształciło się zawsze w seminarjum kilku młodzieńców, których, z powodu fioletowej, regulaminem przepisanej sukni, nazywano „fiołki“. Ci ostatni sposobili się do niższej służby kościelnej, alumnat zaś ich ufundował w r. 1685 obywatel warszawski Wojciech Pstrokoński.

Od roku 1870 kamienica po-seminaryjska jest własnością prywatną pana Szczecińskiego.

Obok dwóch świątyń, stanowiących główny punkt ciężkości ulicy Świętojańskiej, przechodzimy, nie zatrzymując się. Każda z nich otrzyma z czasem rozdział odrębny. Nawiasowo tylko wyrażamy życzenie, aby znalazł się

z czasem poeta wielki, któryby dla kościoła Ś. Jana uczynił to, co zrobił Wiktor Hugo dla katedry paryskiej.

Pomiędzy Katedrą a kościołem po-jezuickim zapisywano w dawnych taryfach numer hipoteczny 3. Dziś ten numer jest tylko—cyfrą. Oznaczona nim posesya zniknęła około roku 1840, w epoce gruntownego przebudowywania Katedry; znikając zaś, nie pozostawiła po sobie żadnego śladu, choćby pod postacią szezerby pomiędzy numerami obocznymi...

Dziwna-bo też to była posesya. W najpierwszej drukowanej taryfie nazwano ją prosto: „Sklep sławetnego Gordona“, i pod tą nazwą stale przez lat kilkadziesiąt w taryfach występuje. Około roku 1830, zmieniawszy właściciela, nazywa się: „Sklepek Józefa Barczyńskiego“. Potem jest tam już tylko: „plac miasta Warszawy“.

W którym właściwie miejscu ta posesya stała? Odpowiedź na to pytanie jest trudna, zważywszy, że obie świątynie (zajmujące nry: 4 i 6) posiadają obecnie też same, co i dawniej granice, na przedzielającym zaś je wązkim pasku gruntu żadne zgoła zabudowanie stanąćby nie mogło.

Na szczęście, istnieje akwarela Vogla z r. 1825, na której, obok kościoła Ś. Jana przedstawiony jest też i ów zagadkowy nr. 5,

w całej swojej... nieokazałości. Jest to budynek mały, maleńki, malenieczki, przypominający zewnętrznie ową lepiankę, co to „jedno miała okienko, jeden był wehód do niej...“ Budynek przypiera bokiem do kościoła po-jezuickiego i ma czoło na jednej linii z czołem świątyni. Znajdują się w nim jedne tylko drzwi wąskie, połączone z zakratowanym okienkiem, jak to zwykle w dawnych kramach bywało. O ścianę czołową oparte są od ulicy łopaty, konwie, niecki i t. p., jako znak i próba sprzedawanych w sklepie towarów. Całość sprawia wrażenie grzyba brzydkiego, który wyrósł na pniu wielkiego i okazałego drzewa.

Przylegająca do kościoła po-pijarskiego kamienica, łącząca w jedno dwa numery hipoteczne: 7 i 8, stanowi od dawnych już czasów własność Braetwa niemieckiego. Uprzedza o tem czystość, z jaką jest utrzymywana z wierzchu i wewnątrz—czystość w dziedzinie tej wyjątkowa, a nie posuwająca się aż do wydrapywania afresków i pobielania marmurów, o co nie trudno w innych, nie-niemieckich posesjach. Niemcy pełni są czei dla archaicznych pamiątek, lecz zarazem nieubłagani dla archaicznego brudu. Współobywatelom moim wypadałoby ich w tem naśladować.

W wieku XVI i na początku XVII ta posesja była kolejno własnością rodzin miesz-

ezańskich: Bigoszewskich, Kędrowskich i Markiewiczów. W roku 1648 panami jej stali się jezuiti; od jezuitów przeszła do bractwa, które je dotąd w rękę swych dzierży.

Przez czas pewny mieli tu swą „bursę“ muzycy, należący do kapeli kościelnej, jednocześnie takż bursa muzyków dworskich znajdowała się w zabudowaniach klasztoru Augustyanów na Pivnej. Podobno też mieściła się tu i bursa ubogich studentów, czyli żaków.

Była chwila, gdy Braetwo niemieckie posiadało nie tylko te dwie posesye, ale nadto rozporządzało obocznym, ongi jezuitckim kościołem. Ten stan trwał od roku 1781 do 1818. Następnie przeniosło się braetwo do kościoła Paulinów, przy którym dotychczas istnieje.

Ponieważ znaczna większość czytelników moich nie z pewnością o braetwie rzeczonym nie wie, przytoczę tu na ich użytek kilka faktów.

Plemię germańskie odznacza się wysoko rozwiniętym duchem korporacyjnym. Dzięki temu duchowi, jeszcze za Władysława IV (wedle innych, za jego ojca, Zygmunta III), przebywający w Warszawie niemcy wyznania katolickiego, przeważnie rzemieślnicy, zawiązali między sobą stowarzyszenie wzajemnej pomocy, z charakterem religijno-gospodarczym.

Pierwszem dziełem braetwa było założenie szpitala dla chorych członków kolonii

niemieckiej, przy którym znajdował się też przytułek dla sierot płci obojga, pozbawionych ojca i matki, oraz gospoda dla ubogich pielgrzymów. W „Opisie szpitali warszawskich“, przygotowanym w końcu XVIII stulecia na użytek tak zwanej Komisji policyi obojga narodów, powiedziano, że braetwo „głównie z profesyonistów i rzemieślników złożone, zatrzymawszy przechodzących przez Warszawę zagranicznych księży *ex congregatione clericorum sub titulo sancti Redemptoris*, im oddało rząd szpitala i kościoła, zachowawszy sobie szafanek dochodów“.

Cokolwiekby, pewnem jest, że niebawem po utworzeniu braetwa, niemcy katolicy, osiedli w Warszawie, zapragnęli mieć także i własną świątynię. Zagrzewał ich do tego i pomagał im w tem ksiądz Leier.

I stał się fakt, któregośmy od dzisiejszych, samolubniejszych społeczeństw napróżno wyeczekiwali. Drużyna niemiecka, przez dzień cały ciężką pracą zarobkową zajęta, z nadzieją nocy chwytiała za topory ciesielskie, za kielnie, łopaty i taczki, obrabiała drzewo, zwoziła cegłę, mieszała wapno, i przy świetle pochodni wznosiła mury świątyni...

Owozem tej ofiarności i tego wysiłku był kościół na Nowem Mieście, pomiędzy Sakramentkami a Panną Maryą, pod wezwaniem Ś. Benona, patrona od morowego powietrza.

Zastanowimy się kiedyindziej nad wyborem tego patrona, tu zaznaczamy tylko, że był jednym z tych, do których dawna Warszawa najczęściej o pomoc wołała.

Kościół Ś. Benona przy końcu XVIII stulecia pogorzał i wówczas to, za sprawą Antoniego Okęckiego, biskupa poznańskiego, braetwa oddany został kościół po-jezuicki, razem z należącemi doń kamienicami. Wprowadzenie nowych posiadaczów do opustoszałych, po skasowaniu zakonu, murów połączone być miało z wielką uroczystością. Biskup Naruszewicz śpiewał *Veni Creator* i odprawiał mszę solenną, wygłaszano kazania polskie i niemieckie; ogromny natłok ludu, przybyłego z procesją braetwa, omal nie rozsadził szeszupłej świątyni i murów wązkiej uliczki.

Odbyło się to w dniu 25 maja roku 1781, w samą uroczystość Zielonych Świątek.

Co się zaś tyczy kościołka Ś. Benona, ciekawi oglądać mogą dziś jeszcze dobrze zachowaną zwierzehnią skorapę jego przy ulicy Piesznej pod numerem 1877. Zamiast domu modlitwy, znajdują tam jednak — fabrykę noży.

Choć krzepko wyglądają w zwartym szeregu domy na Świętojańskiej, dwa z nich placu nie dotrzymały i legły w walce z czasem. Pierwszym był opisany wyżej „numer 5“; dru-

gim—dom na rogu Zapiecka, opatrzony numerem 9. Dziś ten numer jest również szczerbą w księgach hipotecznych i należy do nieboszczyków, nad którymi kronikarz Warszawy krzyż żałobny kłaść musi. Pozostało po nim tylko wspomnienie i kawał placu pustego, na którym sprzedają kwiaty w doniezkach i ptactwo w klatkach.

Nr. 9 padł ofiarą wygody publicznej. Jego kosztem rozszerzony został Zapiecek. Dla ludzi tegoczesnych stare zbroje są nazbyt przestronne, ale stare ulice nazbyt ciasne. Dowód to, że zmalala ich dzielność a wyolbrzymiały potrzeby.

Kamienica narożna, rozrzuciona około roku 1840, w połowie XVIII i w początkach XIX stulecia należała do Lelewelów, w ostatnich zaś taryfach zapisywano ją, jako własność sukcesorów Kresteneyi Wagnerowej.

Na upadku nru 9 skorzystał nr. 10, pozyskawszy okazałe czoło od strony Zapiecka. Szkoda, że ten ostatni nie pomieniał się na miejsca i role z numerem 11, który jest starszy i piękniejszy od niego. Zamiast pospolitej i wszelkiego wyrazu pozbawionej kamienicy, mielibyśmy na widoku jeden z najpiękniejszych zabytków przeszłości.

Numer 11 zawdzięcza swe istnienie za-
możnemu kupcowi Starej Warszawy. Objasnia

nas o tem umieszczone nad wejściem godło: okręt z rozpostartymi żaglami, wyrzezany z kamienia, pokryty polichromią i w ścianę czołową wmurowany.

Kształt okrętu, jego krzepka budowa i paszeze licznych dział, otworami z boku wyglądające, świadczą, że przeznaczony był do podróży dalekich i z niebezpieczeństwem połączonych.

Podróże takie nie należały wówczas do osobliwości.

Warszawa, jeszcze za książąt Mazowieckich, prowadziła rozległy handel zamorski. Okręty z flagą naszą zawijały do wszystkich niemal portów Europy. Jerzy Baryczka odbywał podróże do Liworna i Hiszpanii. Jan Bornbach, posiadając domy handlowe w Warszawie i w Gdańsku, miał własne statki na wodach Bałtyku. Faggierowie, protoplaści późniejszych Fakierów, za Zygmunta Augusta sprowadzali wina nie tylko węgierskie, ale także francuskie, włoskie i hiszpańskie. Utrzymywano stale stosunki handlowe z Hambargiem i Wenecją oraz z krajami wschodnimi.

Wszystko to uprzytomnia owo godło kamienne, tak dziwne z pozoru, tak dla mieszczucha dzisiejszego niespodziane.

Dom „pod Okrętem“ mieścił w swych murach jedną z najdawniejszych w mieście naszym winiarni. Znajdujący się nad wej-

ściem znak imienia Jezus dowodzi, że był niegdyś własnością jezuitów. Na początku wieku XVIII posiadali go Czempińscy, od których przeszedł na własność bankiera Łyszkiewicza, ten zaś odprzedał go winiarzowi Hangelowi, podobno za 3,000 dukatów. Hangel był właścicielem tej posesyi przez lat kilkadziesiąt, aż do czwartego dziesiątka bieżącego wieku, potem nabyła go od sukcesorów Agnieszka Białkowska.

Sąsiadką domu „pod Okrętem“ jest „kamienica Busserowska“ (nr. 12). Miano to nosiła w wieku XVII i później. Trzypiętrowa i trójokienna, posiada na wysokości piętra najwyższego dwie wnęki, a w nich postacie kamienne: biskupa z pastorałem i kobiety z lwem. Ciemne posągi, nieśmiało z zagłębień swych wynurzające się, na wysokości tej do rozeznania są trudne¹⁾.

Tablica marmurowa nad drzwiami objaśnia, że ten dom zbudowany został w r. 1629 przez rajcę warszawskiego Łukasza Bussera „na użytek jego i potomnych“. Napis brzmi w całości jak następuje:

D. O. M.

Suo et Posteritatis usu

Lucas Busser, consul Warsaviensis

Domum hanc a fundamentis

extruxit

Anno † Dni

MDCXXIX.

¹⁾ W r. 1895 te pamiątkowe figury przez starozakonnego nabywcę domu zostały usunięte i zniszczone.

Przepisywanie tablic erekeyjnych nie jest rzeczą zbyteczną. Papier trwalszy bywa tym razem od marmuru. Po niejednej z pamiątek staromiejskich, których zaniedbano w czasie właściwym przepisać lub opisać, ślad nawet zaginął. Nieopodal naprzykład domu Basserowskiego na kamienicy nr. 14, herb jakiś wycięty w kamieniu, tak się już zatarał, czy też został zatarty, że dziś czytelnicy runów skandynawskich odgadnąćby go nie potrafili.

Ten sam los grozi płycie marmarowej pod nr. 16. Nasz klimat, wrogi dla marmarów, przegryzł już zwierzchnią, wygładzoną warstwę kamienia, którą włosi nazywają „naskórkiem“, i niektóre z głosek zrobił nieczytelnymi. Póki czas, śpieszę osnowę napisu ocalić. Jest świadectwem służącej ongi domowi temu libertacyi.

Regis et Reipublicae
beneficio
sum liberata
ab
hospite ex officio
oneribusque
civilibus et militaribus
Constitutione Regni 1676.
Restaurata
Anno D. 1817.

Gołębiowski w swem „Opisaniu Warszawy“ przytacza inny na kamienicy tej napis. Podług niego: „wielkimi złoconemi lite-

rami, przedzielającemi piętra“, wypisane tam było co następuje:

Adsto vestibulo templi, sic res mea tuta
 Ne collapsa ruam sustinet ipse Deus.
 Regia Sarmatiae meliores construet aedes
 Si caveant cives hospitis officio.

Ta kamienica jest jedną z czterech na Świętojańskiej, które różnymi czasy libertowano. Oprócz wspomnianego już wyżej domu biskupów poznańskich, zapisane zostały w konstytucyach (od 1550 do 1683 roku, wydanie M. Ładowskiego) trzy następujące libertacje:

1-o. „Kamienicy, Falkiewiczowska nazwanej, od gości *ex officio* tak podczas sejmu i wszelakich zjazdów publicznych, jako i bez sejmu; także *ab omnibus oneribus civilibus* i od żołnierzów“;

2-do. „Kamienicy urodzonego Karola Zabrzezkiego od wszelakich *ex officio* stanowisk“;

3-io. „Kamienicy Badowskiej od gości *ex officio*“.

Kamienicą „Falkiewiczowską“ jest właśnie ta, o której mówimy. Weześniej jeszcze zwała się „Kowalkowska“, znajdowała się bowiem w posiadaniu rodziny Kowalkowskich.

Nad wejściem od ulicy Pivnej (prawie wszystkie posesye po tej stronie ulicy są przechodnie) widzieć można dużą, zatartą

już i zamalowaną tarczę z koroną i rokiem 1718. Korona jest znakiem dostojności, który służył tak zwanym „metrykantom“. Aż czterech metrykantów było kolejno posiadaczami tej posesyi.

Do domu pod numerem 16 przywiązane jest wspomnienie długoletniego jego mieszkańca i właściciela; Walentego Skorochoła Majewskiego. Była to jedna z najwydatniejszych postaci naszego miasta w pierwszej połowie XIX wieku. Cenili ją znawcy za wiedzę głęboką, szanowali współobywatele dla wielkiej prawości charakteru. Zwracała też na się uwagę publiczną niezwykle a solennym wyglądem.

Majewski, jako niezmordowany szperacz archiwalny, zamiłowany w badaniach starożytnik i doskonały znawca przeszłości, jeszcze za Stanisława Augusta piastował godność głównego archiwaryusza metryk koronnych. Następnie został metrykantem koronnym Królestwa Polskiego. Nie inaczej też nazywali go mieszczanie warszawscy, jak „pan metrykant“.

Prócz działalności urzędowej, „pan metrykant“ rozwijał inną, szerszą i donioślejszą, na polu czystej nauki. Znając dobrze języki wschodnie, odbywszy studia gruntowne, w licznych rozprawach ujawnione, nad sanskrytem, poświęcił się z zapałem badaniom początków

plemienia słowiańskiego. Wywodził je od Indów, z poetycznej doliny Kaszmiru... Ciekawe to było i piękne—wywodów jednak uczonego badacza nikt słuchać nie chciał. Majewski rozdawał darmo swe broszury — i to nie pomagało...

Wójcicki w swej „Społeczności Warszawy“ nakreślił następujący wizerunek Skorocho-da Majewskiego, metrykanta, rejenta i członka Towarzystwa przyjaciół nauk:

„Od pierwszego roku naszego stulecia z jednego z domów głównej naówczas ulicy Świętojańskiej ukazywała się codziennie w porannych godzinach wyniosła postać, przechodząca poważnie do kościoła katedralnego Ś. Jana na mszę świętą. Postać ta, gdy tylko wychyliła się z sieni owej kamienicy, zaraz odbierała ukłony od wszystkich przechodniów. Był to Walenty Skorochód Majewski“.

Dwie kamienice: nr. 18 i 32 (ostatni zaliczony już dziś do Krakowskiego Przedmieścia) przez półtrzecia wieku były własnością „Braetwa miłosierdzia“ oraz stworzonego przez to braetwo szpitala Ś. Łazarza.

I braetwo i szpital założone zostały przez Piotra Skargę w r. 1590.

Szpital otrzymał pierwotnie od fundatora swego miano „Szpitala gnojowników“. Źródłem tej nazwy była okoliczność, że w dawnych wiekach panował wstrętny zwyczaj le-

czenia pewnego rodzaju chorych przez umieszczenie ich w odpadkach stajennych. Dodajmy, że pomimo założenia szpitala, zwyczaj ten przetrwał niemal do końca wieku XIX. Autor satyry zjadliwej, wydanej w Londynie w roku 1740 p. t. *Varsovie ridicule*, pisze:

. . . ce qui m'ôte la parole,
C'est de voir dans plus d'un fumier
Des hommes jusques au gosier
Y suer la grosse v.....
Infame et dégoûtant remède,
Honteux et dangereux poison!
Lequel de vous sur l'autre excède:
Du mal ou de la guérison?

Duża kamienica w pobliżu placu Zamkowego, łącząca w jedno dwa numery hipoteczne (23 i 24) dziś własność Krennów, znajdowała się przez czas długi w kolejnym posiadaniu Witthofów i Riaccourt'ów.

Obie rodziny, a zwłaszcza pierwsza z nich, w dziejach Warszawy wydatną odegrały rolę.

Witthoffowie kilkakrotnie występują na liście ojców miasta i dygnitarzy Starej Warszawy. W wieku XVII Gerhard Witthoff piastuje po wielekroć razy (*multoties*, jak głosi napis na kamieniu nagrobnym w Katedrze) godność burmistrza i wójta (te urzędy były wybieralne), co dowodzi, jak wielką cześć i zau-

faniem darzyli go współobywatele. Umarł w roku 1694 w 75 roku życia i pochowany jest w podziemiach u Ś. Jana.

Ten właśnie Gerard posesyę wznioł — czego świadectwem była znajdująca się tu ongi w murze tablica marmurowa. Sobieszczański w swych notatkach treść jej podaje, nadmienając, że już za jego czasów nie istniała. Wedle niego, napis na tablicy brzmiał:

Supremo Divini honori, Publico Antiquae Varsaviae decori, Incolatui haeredum commodo Nobilis ac spectabilis dominus de Gerhardus Withof, civitatis hujus Proconsul, Inito cum nobili Marianna Karczewska, secundi matrimonii voto, opus hoc Anno MDCLXXXI inchoatum, ac A. D. MDCLXXXII electus advocatus, completum, dat, dedit, dedicat acviternae.

Równie czezony i miłowany był syn Gerharda Franciszek. Wybierano i jego, podobnie jak ojca, na burmistrza czyli „prezydenta“ Starej Warszawy. Lud warszawski nazywał go „bogaczem“. Posiadał w samej rzeczy majątek duży, złożony z kilka kamienie, gruntów za murami i kapitała.

Trafili do tego wszystkiego—jezuici.

Syn „bogacza“ Stanisław, wychowywał się w szkole jezuickiej, mieszczącej się podówczas w dość szczytym budynku, zwanym „Klasztorek“. Zręczni „preceptorowie po-

trafili natchnąć serce młodzieńca taką miłością dla zakonu, że wyrzekłszy się wszelkich ponęt świata i otwartej przed sobą drogi zasług obywatelskich, przywdział sukienkę duchowną. Ojcowie dobrze się przy tej sposobności pokrzepili.

Stanisław Witthoff umarł w r. 1727, wystawiwszy przed śmiercią swemu ojcu piękny pomnik w katedrze. Napis na tym pomniku (wmarowanym też pod skromną a piękną płytą, pamięci muzyka Asprillo-Pacella poświęconą) skreślony jest w zagmatwanej i napszonej, iście jezuickiej, łacinie. Czego w napisie tym niemal Występuje tam nawet „Syrena warszawska“, śpiewająca pieśń żałobną nad zmarłym..

Riaucourt'owie byli spokrewnieni z Witthoffami. Jeden z nich, ożeniony z siostrą Stanisława, uczcił prymicie jego uczcią, na której było pełno dygnitarzów duchownych i świeckich, biskupów, senatorów i ministrów z prymasem Potockim na czele. Po uczcie, każdy z biesiadników otrzymał od amfitryona na pamiątkę tego dnia kosztowny upominek.

W katedrze (która jest marmurową kroniką Starej Warszawy) znajduje się pomnik barona Piotra de Riaucourt, szambelana Augusta III, zmarłego w roku 1768. Pomnik wystawił mu syn jego Andrzej. Ten ostatni człkiem być musiał wielkiej pychy, bo wyli-

czenie jego dostojęństw i tytułów zajmuje na płycie pomnikowej znacznie więcej miejsca, niż „epitafium“ nieboszczyka.

Ten to chełpliwy pan, tytułujący się już hrabią (*comes Sacri Imperii Romani*), był jednym z dwóch najpierwszych w mieście naszym bankierów. Drugim był Adam Ziemann. Riaucourt miał kantor na Świętojańskiej, we własnej kamienicy; Ziemann na Podwala pod nr. 497.

Nad wejściem do obecnej posesyi (nr. 25) czyta się wyrzezany w kamieniu napis:

J. B. G.

empta

1666.

Litery są inicjałami jednego z Gizów, rok zaś oznacza datę nie wzniesienia, lecz nabycia domu przez tę słynną rodzinę patrycyuszów warszawskich. O Gizach mówię na innem miejscu, przy opisie Rynku staromiejskiego.

W tym domu, jak niesie podanie, prze-mieszkiwał kilkakrotnie Stefan Czarniecki.

Ulica Świętojańska nie zawsze była, jak dziś, wyłącznie targowiskiem skór wyprawnych.

W wieku XVI, w jednym z domów wprost Katedry (a więc pod nr. 19 lub 21) mieściła się tu jedna z pierwszych w Warszawie aptek.

Była zapewne współczesną aptecę utrzymywaną przez jezuitów w kolegium, do której wchodziło się od Rynku. Dodajmy przy sposobności, że najpierwsza w naszym mieście była apteka „Królewska“, mieszcząca się w Zamku.

Na Świętojańskiej również znajdowała się jedna z najdawniejszych księgarń, którą utrzymywał Nawarski. W początkach wieku XIX istniały tu dwie księgarnie: Józefa Pakszty pod nr. 25 i wdowy Szczepańskiej pod nr. 12. Jeszcze około roku 1850 jest tam księgarnia Manieckiego (nr. 12) i Nowoleckiego (nr. 19^{ab}).

Drukarnie były również dwie: „Korespondenta warszawskiego“ (pod nr. 8) i wspomnianego Pakszty, tam gdzie i księgarnia.

W kamienicy narożnej od placu Zamkowego (nr. 27) mieścił się przez czas długi, bo więcej niż przez jedno stulecie (od połowy XVIII do połowy XIX wieku) sklep zegarmistrzowski słynnych Gugenmusów, kolejno: ojca, syna i wnaka. Najgłośniejszy z trójcy był Gugenmus syn, używający tytułu *horloger du Roy* i wypisujący ten tytuł na wyrabianych przez się zegarach i zegarkach.

Za Stanisława Augusta, Gautier utrzymywał najznacześniejszy skład sukna w kamienicy

własnej pod nr. 25. Później nieco miała także sam skład wdowa Weichertowa we własnym domu pod nr. 29.

Przepelniające obecnie ulicę Świętojańską sklepy skór nie są nabytkiem czasów najnowszych. Stwierdza to fakt, że już przed rokiem 1840 znajdowało się tam aż dwanaście takich składów. Dla ścisłości przepisuję je tu ze współczesnego kalendarzyka informacyjnego: Glinka (nr. 23), Grabowski (19*ab*), Grabowski P. (88), Heidenbruch (15), Bracia Lampe (18), Liedtke (8), Minde (8), Müller (27), Rebandel (21), Stasiakowski (27), Szlenker (11), Vollnagel (6).

W jednej z kamienic wprost Zamku, a więc w pobliżu Piwnej, miał swój sklep w XVIII wieku cukiernik Baltresca. Mianuje on się w ogłoszeniach „wnukiem Gambakarty“, z czego wnosić można, że i Gambakarta musiał być niegdyś osiadłym w Warszawie a w swoim rodzaju znakomitym słodyczorobem. Cukiernie zaś zaprzeszłowieczne mało smacć były podobne do dzisiejszych, skoro ów Baltresca zawiadamia publiczność, że oprócz ciast i cukrów, sprzedaje u siebie „pomadę do rośnienia włosów“, oraz „ciasto do zębów chędożenia“.

Nareszcie istniały na Świętojańskiej w początkach XIX wieku dwa „handle win i korzeni“: Wincentego Sommera pod nr. 2, w sta-

rej *Mansionarii*, i Karola Tuguta pod nr. 30, na rogu Piwnej.

„U tego ostatniego—powiada Wójcicki—pan Skorochód Majewski obierał sobie beczkę *madziara* i codziennie, na wytechnienie po rannej pracy umysłowej, tu przychodził; wypijał małą buteleczkę swego wina, pogawędził ze znajomymi, nowinki miasta usłyszał i wracał do domu na obiad.

Z KSIĘGOZBIORU
Kazim. Gołachowskiego
L.

IV.

O ULICY NOWOMIEJSKIEJ ALBO GOŁĘBIEJ.

W aktach magistrackich, w taryfach starych, w *Voluminach legum* — Nowomiejska; w stosunkach codziennych, w mowie potocznej, w pobieżnych zapiskach dziennikarskich — Gołębia. Zkąd ta dwuimiennieść? Ztąd, że lud każdy a zwłaszcza lud warszawski ma upodobanie w nadawaniu ludziom i rzeczom przezwisk. Nazwa urzędowa istnieje dla urzędu i lud spotyka się z nią tylko na papierach z pieczęcią; pomiędzy sobą posługuje się nazwą odrębną, przez siebie stworzoną i częstokroć dla siebie tylko zrozumiałą.

Nazwisko bywa często bezduszne i nie nie mówiące; przezwisko jest prawie zawsze pełne życia i malowniczości. Dla formalisty studnia na Tłomackiem będzie tylko studnią na Tłomackiem; dla ludu ona jest „grubą

Kašką“, a więc rzeczą prawie żywą, posiadającą charakter własny i samoistność.

W starej Warszawie, jak wogóle w starych miastach, nie kto inny, jeno lud, chrzeił domy, ulice i place. Jedne z tych przezwisk, adoptowane później przez prawo, stawały się nazwiskami; inne los zamykał na zawsze w nie-uświęconych granicach gwary ulicznej. Przykładem pierwszych: Zapiecek, Dunaj, Krzywe-Koło i t. p.; przykładem drugich: Piekiełko, Prochownia, Żydowskie Bielany i t. p. Za naszej już niemal pamięci, bo przed kilkoma dziesiątkami lat zaledwie, lud przechrzeił ulicę Gnojową na Celną (wedle jednych od poblizkiej komory celnej, wedle innych od właściciela posesyi i ogródka Celnera) i przezwisko to przeszło do akt urzędowych.

Ale *vox populi* najwyraźniej ujawnił swą potęgę przy nazwisku małej uliczki, stanowiącej przedłużenie Mostowej do Wisły. Tę uliczkę z przyczyny znajdującego się przy niej ongi więzienia gubernialnego, przezwiał lud „Boleść“, ponieważ jednak to boleściwe miano nie przypadło do smaku t. zw. „Komisyi brukowej“, więc dekretem, w roku 1784 wydanym, przemianowała Boleść na Poprawę. Nie to, niestety, nie pomogło: nazwa urzędowa pogrzebana została w aktach, a uliczka jak zwała się, tak dotąd się zwie: Boleść.

Z tegoż samego źródła powstawały po-

dwójne nazwiska mieszczan, bardzo pospolite w wiekach: XVI i XVII. Występują wówczas np.: Zalewski *alias* Rysownik, Sękocki *sive* Wawro, Rutka zwany Wilk i t. p. W mieście i dla miasta oni byli z pewnością tylko: Rysownikiem, Wawrem, Wilkiem i t. p.

Otóż tą drogą i ulica Nowomiejska stała się Gołębią.

Przypuszczam, że gołębie, od których nazwę swą wzięła, były stałymi i licznie rozmnożonymi mieszkańcami zamykającej ją Bramy Nowomiejskiej. Te ptaki chętnie gnieźdzą się w starych murach, zwłaszcza obfitujących w załomy, otwory, wklęsnięcia, i jaknajbardziej oddalających się od dzisiejszego, gładkiego i prostolinijnego typu. Jestem niemal pewny, że całe ich stada ulatywały nad odwieczną, nietynkowaną budowlą bramy i nad kilkoma pobliskimi basztami, i że spadały często na bruk ulicy, szukając żeru i gładząc dzioby o twarde kamienie.

Akty Starej Warszawy dowodzą, że ta ulica weześniej zwała się Gołębia, niż Nowomiejska. Pod rokiem 1770 zapisano w nich: „*platea Nowomiejska, ante Gołębia*“. Nietrudno odgadnąć, że miano Nowomiejska otrzymała ztąd, iż wiodła w stronę Nowego miasta, czyli Nowej Warszawy. Trudniejszym jest natomiast do zrozumienia, jakim sposobem

w wieku XVII istnieć mogły w naszym mieście równocześnie dwie ulice Gołębie...

A jednak tak było.

Druga ulica Gołębia leżała w niewielkiej odległości od pierwszej, ale już za murami. Znajdowała się mianowicie w tyłach dzisiejszej Zakroczymskiej. Kronika kościoła po - franciszkańskiego upamiętniła fakt, że pierwotny budynek kościelny (który był drewniany, miał dwie kapliczki i łączył się z drewnianym również klasztorem) stanął w roku 1646 pomiędzy placem Pocijowskim a uliczką Gołębią. Nie było to jednak toż samo miejsce, w którym kościół dzisiejszy stoi. Tamta budowla padła ofiarą najazdu szwedzkiego, potem ognia, i śladu z niej nie zostało.

Dziś na ulicy Gołębiej niema gołębi, bo niema i bramy, w której one się gnieździły. Rozbierano ją częściami w latach: 1704, 1791, 1794 i 1818. Pozostał po niej plac pusty, którego część zajmowały dawniej stragany i budy, dziś zaś zajmuje tak zwany Bazar, stojący czołem do Podwala. Jedynym szczątkiem tej bramy, dotąd zachowanym, jest kamieniczka pod nr. 164, przerobiona z baszty, która w skład ogólnej budowli wchodziła. Zponad dachu kamieniczki wyziera zęбаты, od starości poezerniały szczyt baszty,

a okienka jej, na wysokości drugiego piętra, są wprost: oszklonemi strzelnicami.

Brama Nowomiejska zamykała ulicę a zarazem stanowiła północny kres Starej Warszawy. Kościoły: Paulinów i Dominikanów leżały już za murami, do jednego zaś i do drugiego przylegały ementarze grzebalne. Dalej rozkładała się Nowa Warszawa, *Nova Civitas Varsoviensis*, zamknięta z kolei naturalną granicą rzeczki Drny, dziś już nieistniejącej. Dalej zaś jeszcze biegł równolegle do Wisły gościniec publiczny, zwany ongi „Trakt Gdański“.

Brama Nowomiejska była największą i najobronniejszą z bram Starej Warszawy. Składała się z dwóch budynków oddzielnych oraz z wydłużenia, które dochodziło do kościoła Paulinów i kończyło się fartą zamczystą. W połączeniu z przyległymi murami te budynki tworzyły jakby małą twierdzę.

Różnolitość tej bramy była powodem, że w wieku zeszłym i zaprzeszłym mawiano o niej w liczbie mnogiej: „Bramy nowomiejskie“. Tak na przykład w spisie dochodów miasta pod rokiem 1766 znajdujemy między innymi:

„Z wynajmu mieszkań i bud przy Bramach Nowomiejskich złp. 2,667“.

Pierwsza z bram (licząc od ulicy Nowo-

miejskiej) była budynkiem piętrowym czworograniastym, z taką, dość wysoką, wieżą. Z prawej strony przylegała do kamienicy pod nr.161, z lewej łączyła się z murem obronnym. Otwór jej był zamykany kratą, na noc opuszczaną. Na piętrze mieścił się początkowo skład broni i amunicji, następnie skład narzędzi ogniowych, wreszcie mieszkanie prywatne. Dół zajmowały drobne kramy kupieckie.

Druga brama, za pośrednictwem baszty półokrągłej (dziś dom nr. 164), dotykała posesyi, zwanej Dwór Gdański. Posesya ta stanowiła prawy bok przejścia pomiędzy dwiema bramami, lewym zaś bokiem był mur, leżący za trójeą baszt od strony Podwala. Brama druga była mniejsza od pierwszej, zamykała ją zaś, podobnie jak tamtą, żelazna, ruchoma krata.

Jak zwykle przed każdą z bram obronnych, znajdował się i przed Bramą Nowomiejską rów głęboki z mostem zwodzonym. Niezależnie od tego, plany najdawniejsze pouczają nas, że ze zwartego pierścienia murów obronnych wychodziła w tem miejscu odnoga, zasłaniająca szpital Ś. Ducha, tuż przy kościele pod temże wezwaniem, wprost ulicy Mostowej, zwanej przez długi czas Łazarzowa. Ulica Nowomiejska była zamknięta w tem miejscu po raz trzeci bramą, najmniej-

szą pod względem wymiarów, która też nosiła pospolicie miano „furtą“.

Jeszcze w końcu wieku XVII mieszczanin warszawski, gdy minął dwie Bramy Nowomiejskie, spotykał przed sobą widok posępny. Wśród stłoczonych w tem miejscu budynków, w cieniu olbrzymim, przez wyniosłe mury i baszty rzucanym, wznosiło się po prawej ręce więzienie, „Wieża marszałkowska“ zwane, po lewej wspomniany już szpital, a przy szpitalu, tuż w zetknięciu się tego zaułka z Podwalem, krzyżami posiany ementarz, z ponurą, ciężką, ku obronie wojennej przygotowaną bramą. Zpoza muru wychylały się wieżycy dwóch kościołów: Ś. Ducha i Dominikanów, a zaraz za furtą leżał nowy ementarz, czerniały nowe mogiły i śmierć mówiła raz jeszcze każdej rzeczy i każdemu człowiekowi: *memento mori...*

Dziś miejsce ementarza zajmuje duża kamienica pod nr. 502; wspomnieniem szpitala jest dom pod nr. 167; po więzieniu marszałkowskiem pozostała posesya narożna od Mostowej, numerem 166 oznaczona.

Bramy Nowomiejskie rozebrane zostały jeszcze w XVIII stuleciu, jedna z nich wszakże (środkowa) dotrwała do początków wieku XIX. Ostatnie jej pozostałości rozrzucono w roku 1818. Były niemi trzy posesye, oznaczone numerami: 168, 169 i 503

Jedna z nich znajdowała się w dawnym międzymurzu, dwie dotykały murów starych bokami.

W taryfach zprzed roku 1818 o tych posesjach czytamy:

Nr. 168. Dworek Piotrowskiego. Stajnie miejskie. Kamienica miasta Warszawy.

Nr. 503. Kamienica miasta Warszawy. Stajnie miejskie. Kamienica Piekarskiego.

Po nabyciu przez rząd i rozebraniu tych trzech posesyj, utworzył się przy zbiegu Podwala z Nowomiejską obszerny plac pusty, na którym wyrosły zaraz, jakby z pod ziemi, budy, kramy i stragany. Przez długie lata istniał tu targ, na którym, wedle źródeł współczesnych, sprzedawano: „drzewo, węgle, obręcze, klepki i tym podobne artykuły, przez włościan na furach przywożone“. Cegły z rozebranych budynków, pomiędzy którymi były i stwardniałe na granit szczątki starego muru miejskiego, przeszły: częścią do gmachu Teatrów rządowych, częścią do b. Pałacu Namiestnikowskiego na Przedmieściu Krakowskiem. Niebawem, prócz drewnianych klitek i stołów przenośnych, stanął tu budynek miejski muryrowany, w którym znalazło pomieszczenie 20 sklepów dla przekupniów i handlarzy. Wreszcie około r. 1870 budy i stragany znikły doszczętnie, a ich miejsce zajął długi, jednopiętrowy

bazar, przez sklepy i warsztaty całkowicie zajęty.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach historia Bramy Nowomiejskiej, o której to jeszcze powiedzieć trzeba, że w epoce pierwszego najazdu szwedów ważną przy oblężeniu Warszawy odegrała rolę.

Dom pod nr. 166, o którym już wspomniałem, z dwóch względów ma prawo do pamięci potomnych. Tu mieściło się przez czas długi więzienie zwane „Wieża“ lub „Koza marszałkowska“; w tem też miejscu stała najpierwsza w Warszawie łaźnia.

Łaźnią obdarzył miasto jeszcze w wieku XIV Jan, książę mazowiecki—z tym zaś faktem łączy się ważna dla Warszawy pamiątka: wydanie najdawniejszego ze znanych i przechowanych przywilejów miejskich.

Ten szacowny dokument, ciekawy zarówno pod względem historycznym, jak gospodarskim i obyczajowym, godzien jest, aby go tu przepisać w całości. Oto jego osnowa, w przekładzie z oryginału łacińskiego:

„W Imię Pańskie. Amen.

My, Jan, z Bożej łaski Książę Wizki, Warszawski, Zakroczymski, Pan i Dziedzic Ciechanowski, na wieczną rzeczy pamiątkę, wszem wobec i każdemu wogólności pragniemy, aby było wiadomo. Starając się miasto nasze do większego porządku doprowadzić i ciągle ulepszać, mieszczanom naszym, rajcom i całej zresztą gminie w rzeczonym mieście Warszawie osia-

dłym, dajemy pozwolenie zupełne na wystawienie za miastem wspomnionem blisko mostu (zwodzonego, na fosie przed bramą¹⁾); urządzenie i wybudowanie łaźni. Gdy zaś ta będzie przez nich wystawiona i całkowicie ukończona, natenczas wymienieni mieszczanie i opłaty i całkowity dochód z tej łaźni corocznie i na wieczne czasy będą pobierać bez żadnej przeszkody na urządzenie i naprawę rzeczzonego mostu. To jednak chcemy, aby w każdym tygodniu, jednego dnia, który nam dogodny będzie, albo który my sami z małżonką ukochaną wybierzemy, z całym dworem naszym wolno nam było kąpać się w tej łaźni, bez żadnej pieniężnej opłaty.

Na dowód i upewnienie czego kazaliśmy niniejszy przywilej napisać i pieczęć naszą przywiesić.

Działo się i datowano w Zakroczymiu, w dniu Ś. Anny, w roku Pańskim 1376⁴.

Tu nie zawadzi objaśnić czytelnika, że łaźnia w życiu słowian wogóle, a dawnych polaków w szczególności, odgrywała ważną rolę, nietylko prywatną, lecz nawet publiczną. Pierwszy wspomina o niej Nestor, kronikarz

¹⁾ To dwuznaczne wyrażenie wprowadziło w błąd nawet tak znakomitego znawcę przeszłości Warszawy jak Sobieszczański. Fałszywie pojmując słowa „blisko mostu“ (*prope pontem*), nie wahał się twierdzić (w artykule p. t. „Pochodzenie nazwisk ulic m. Warszawy“), że „most na Wiśle istniał zatem daleko wcześniej, niż Anna Jagiellonka o nowym w roku 1568 pomyślała, a w roku 1573 wystawiła“. Jestto niezgodne z prawdą, jakoż i sam Sobieszczański nigdy już potem omyłki tej nie powtórzył. (*Przyp. autora*).

ruski, który w usta Ś. Andrzeja kładzie słowa następujące: „Gdym przybył do krajów słowiańskich, widziałem w nich rzeczy dziwne: łaźnie drewniane a w nich piece kamienne, które mocno rozpalają, zwlekają się do naga, polewają się ciepłą wodą i winnikami się chłoszczą tak mocno, iż ledwie żywi wychodzą. Lecz wyszedłszy, polewają się wodą zimną, która ich ożywia“. Był zwyczaj w dawnych wiekach, że młodzieńców, o niezbyt ciężkie przewinienie obwinionych, wprowadzano do łaźni królewskiej, gdzie sam panujący „ręką ojcowską“ karę im wymierzał. Ztąd wyrażenie: „sprawić komu łaźnię“. Rycerze Świętopołkowi w łaźni napadli i poranili Henryka Brodatego. Wielkim miłośnikiem łaźni był Władysław Jagiełło, o którym Strykowski pisze:

Wina, miodu nie pijał, tak rzeźwo żył zawždy,
Przededni się w łaźni mył abo na dzień każdy,
A winnikiem się chwostał, mówiąc: *a je, je, je*
Po litewsku—a w ciepłe na wierzchnicy zieje.

Używali wreszcie łaźni Zygmuntowie I i II — ale już na nich obyczaj ten się kończy. Gdy zarzucili go panujący, wygasać począł i wśród magnatów. Jeszcze wszakże za Władysława IV szlachta i mieszczenie warszawscy „chwostali się winnikiem“ nie tylko w łaźni miejskiej, lecz i w prywatnych, które

istniały w domach i dworach miejskich oraz przy licznych w owe czasy gospodach. Dowodem wiersz współczesny, którego autor, wyszczególniając zalety gospód warszawskich, mówi:

U Gąsiorka w Długoszowskim,
U Kaliny też w Gizowskim,
Znajdziesz łaźnię z fontannami,
Ogródeczek za oknami...

Odtąd stopniowo łaźnie upadały, coraz mniej znajdując zwolenników.

Jak urządzona była łaźnia parowa? Tak zupełnie jak dzisiejsze, zachowawcze „banie“. Na rozpalone silnie kamienie lano wodę, z której kłębamii dobywała się para. W parze gorącej rozebrani do naga ludzie parzyli ciało, ażeby wywołać obfite poty. Górnicki w „Dworzaninie“ kreśli (nawiasem zresztą tylko) dosadny takiej łaźni obrazek:

...„Jeden się tu maże gorzałką z mydłem, drugi maścią od urazu; więc ten puszcza bańki a ów siecze się winnikiem; zasia woła jeden: zalej! a drugiby rad, żeby drzwi uchylono...“

Gdy w roku 1677 łaźnię przy Bramie Nowomiejskiej wypuszczano w wieczystą dzierżawę niejakiemu Baltazarowi Pierzchale, łaźniebnikowi miejskiemu (*balneator civilis*), zastrzeżono, aby bezpłatnie leczył (?) sługi miejskie.

Ta łaźnia spłonęła sama, czy też rozmyślnie spalona została, podczas pierwszej wojny szwedzkiej. Zgliszcza jej sterczały aż do roku 1694, w którym na nowo ją odbudowano. Ale gdy i ta padła pastwą ognia, miasto łaźnię skasowało i na jej miejscu zwykłą kamieniczkę wzniosło.

W czasie powszechnego używania łaźni, a więc i znacznej zamożności łaźniebników, istniał w Warszawie oddzielny cech łaźniebniczy. Później zubożał i rozwiązał się, a z epoki upadku jego pozostało przysłowie „obdarły jak łaźniebnik“.

Istniejąca doniedawna pod numerem 164 baszta razem z przylegającą do niej a rozebraną częścią Bramy Nowomiejskiej, zwana była od pierwszych lat XVIII wieku: „Wieża“, „Koza“, albo „Kordygarda marszałkowska“—która to nazwa przeżyła owiele rzecz samą. Od roku 1701 w tych budynkach mieściły się: kordygarda, odwach oraz areszt straży marszałkowskiej, to jest znajdujące się przy boku marszałka wielkiego koronnego.

Nie trzeba jednak tej „Wieży marszałkowskiej“ brać za jedno z inną, stanowiącą szczyłek murów obronnych, a której ślad dotąd oglądać można na załamaniu Krzywego Koła, w tylnem podwórzu numeru 188. Ta ostatnia była wieżą nie tylko z nazwy, lecz i z kształtu.

Do Kordegardy marszałkowskiej tych sadzano, którzy jurysdykcyi marszałka podlegali. Marszałek przenosił się za królem i sprawował władzę policyjną oraz sądową w mieście, w którem przebywał panujący. Władza jego obejmowała zakres rozległy, granice zaś jej wskazywały tak zwane „artykuły marszałkowskie“, których istniało dwadzieścia. Najpierwszym obowiązkiem marszałka było: utrzymywać porządek i nie dopuszczać gwałtu w pobliżu osoby i dworu monarchy.

Marszałkom przysługiwało w pewnych wypadkach (na przykład: za dobyte szabli na pokojach królewskich) prawo miecza; nader rzadko wszakże z niego korzystali. Kiedy za Jana Kazimierza, smutnej pamięci Hieronim Radziejowski ze Służką, podskarbin nadwornym litewskim, zrobili rozruch nocą na Przedmieściu Krakowskiem, sąd marszałkowski skazał Służkę na „wieżę i grzywny“, a Radziejowskiego na „bezeceństwo i głowę“ (po dzisiejszemu: pozbawienie wszelkich praw i karę śmierci). Wiadomo jakie następstwa ów wyrok za sobą pociągnął.

Jurysdykcyja marszałka otwierała się na dwa tygodnie przed każdym sejmem, a na kilka dni przed przybyciem panującego w innych okolicznościach. Zwiastował ludowi otwarcie jej dźwięk trąby i głos woźnego, rozlegające się na głównych ulicach i placach miasta.

Woźnemu towarzyszył oddział tak zwanych „węgrów marszałkowskich“, mając na czele instygatora marszałkowskiego. Zaraz po obwołaniu zaczynały chodzić nocami po Warszawie patrole, czyli „ronty“, złożone ze wspomnianych węgrów, gwardyi pieszej i konnej a także ułanów królewskich. „A kogo — mówi Kitowicz — zdybali na ulicy chodzącego po capstrzyku, albo w szynkowni, lub przez podłość odzienia albo źle daną na pytania odpowiedź porozumienie o sobie sprawującego, zabierali na swoje *hauptwachen*, a nazajutrz odprowadzali do Kordygardy marszałkowskiej, przy Bramie Nowomiejskiej będącej, z której po justyfikacyi przed sądem marszałkowskim uezynionej, odebrawszy karę zasłużoną, byli uwalniani“.

Oprócz węgrów marszałkowskich, do których należało: trzymać wartę przy kordygardzie i izbie poselskiej, odbywać nocne ronty i wyprowadzać na miejsce stracenia skazanych na śmierć z wyroku marszałkowskiego, posługiwały się jeszcze sądy marszałkowskie pachołkami, czyli milicyą miasta Warszawy.

Słówko o tej milicyi.

Początkowo siłę zbrojną Warszawy, potrzebną tak do utrzymania porządku wewnątrz miasta, jak do zabezpieczenia się przed nieprzyjacielem zewnętrznym, tworzyli wszyscy mieszczanie, do noszenia broni sposobni.

Każdy, kto przyjmował prawo miejskie, był obowiązany składać magistratowi muszkiet oraz pewną ilość amunicji. W basztach urządzono były arsenały miejskie, miasto posiadało własną fabrykę broni, własną prochownię i ludwisarnię. *Fraternitas Sagittariorum*, czyli bractwo łuczników, uczyło swych członków (byli nimi prawie wszyscy mieszczanie) celnego strzelania, obchodzenia się z bronią i manewrów wojennych.

Z tego pospolitego ruszenia wyłoniła się później milicja miejska.

W początkach zeszłego wieku ta milicja dzieliła się na dwie kompanie: polską i cudzoziemską. Pierwsza liczyła 50 ludzi. Ubiór jej był: suknia granatowa z amarantowym kołnierzem, buty safianowe żółte, czapka biała, przy boku szabla z ozdobną głowicą, broń krótka bez bagneta. Oficerowie mieli w ręku piki. Druga składała się z 60 ludzi i strój nosiła cudzoziemski: pończochy czarne, także trzewiki ze srebrnymi sprzążkami, spodnie do kolan aksamitne koloru amarantowego, kamizelkę długą białą ze złotymi galonami, na wierzchu rodzaj fraka z niskim aksamitnym kołnierzem barwy szafirowej, ładownicę przez ramię na białym pasie ze złotymi brzegami; w ręku sztuciec krótki z szeroką kolbą, srebrem lub złotem nabijany, na

Z KSIĘGOZBIORU
Kazim. Gołachowskiego

głowie kapelusze czarny trójgraniasty, niski, z białym piórem.

Jak widzimy, był to strój stosowniejszy do operetki, niż do służby praktycznej—tembardziej, że służba to była uciążliwa, pospolita i nie polegała na indyczeniu się i pawieniu. Za Augusta jednak Moenego wszystko, co nosiło mundur, wyglądać musiało teatralnie...

W końcu XVIII wieku już ta milicya zeskromniała i liczbą i wyglądem. Za czasów Kitowicza składała się tylko z dwudziestu czterech pachołków i jednego wachmistrza. Ubiór jej był: żółte żupany, błękitne, do kolan długie, katanki z wyłogami żółtymi, guziki białe cynowe, na głowie czapka wysoka z czarnym barankiem, z żółtym wierzchem, buty czarne z podkówkami, spodnie błękitne, pas takiż; ładownica czarna, skórzana, przy boku szabla w czarnej pochwie, karabin bez bagneta.

Sześć pachołków wychodziło codziennie na służbę. Jeden trzymał wartę na ratuszu, jeden przed izbą sądową, jeden przed kordygardą. Reszta znajdowała się na pogotowiu w kordygardzie, „czekając—mówi Kitowicz—na obłaz albo na jaki przypadek, porwać do kozy jakiego łajdaka, albo zwadliwą przekupkę“.

Z ostatniej doby sądów marszałkowskich

pamiętnem stało się marszałkowstwo Franciszka Bielińskiego, który odznaczał się w równym stopniu zamiłowaniem porządku i wyborną gospodarką miejską, jak nadzwyczajną pocho-
pnością do ścinania głów i wieszania.

Inny znów tytuł do pamięci potomnych pozyskał marszałek Lubomirski, który w dniu 29 kwietnia 1780 roku rozsądził niesłychaną i jedyną w swoim rodzaju sprawę pomiędzy „Wielebnym Jmcią Xiędzem Janem Kocem, Szkół po-Jezuickich Filozofii profesorem“, a „Urodzonym Eugeniuszem Innocentym Kor-tonich, Obersztelejtnantem wojska koronne-go“, prawującymi się z sobą o... kwadraturę koła!

Nie tak wielka ile długa posesya przy zbiegu Nowomiejskiej z Podwalem, posesya tak szczelnie do kościoła po-Paulińskiego przyrosła, że się zda jedną tworzyć z nim całość, ma również swą historję. A historia to najpiękniejsza ze wszystkich, bo z ducha miłosierdzia ludzkiego i bojaźni bożej płynąca.

W tem miejscu aż do r. 1821 mieścił się najstarszy ze szpitali warszawskich: szpital Ś. Ducha. Założony w połowie XIV w., zajmował początkowo to tylko miejsce, jakie ma dziś posesya nr. 167, i dopiero później obszar swój powiększył.

Praojciec szpitali i wogóle instytucyj dobroczynnych warszawskich, nie był właściwie

szpitalem dla chorych, ale raczej przytułkiem, czy „przytuliskiem“ dla starców, kalek i nędzarzy.

Przywilej z roku 1425 nazywa go *Domus pauperum hospitalis*; w przywileju o pół wieku późniejszym występuje jako *Oraculum Sancti Spiritus*; w dowodach urzędowych z końca XVI wieku zowie się z grecka: *Xenodochium sive Hospitale*; „Komisyja porządkowa“ daje mu miano „Szpital miejski pod tytułem Ś. Ducha“; z chwilą opuszczenia ulicy Nowomiejskiej i zlania się w jedno ze szpitalem ubogich przy kościele P. Maryi przybiera nazwę dwoistą: „Szpital miejski Ś. Ducha i P. Maryi“, wreszcie, przestawszy być miejskim, otrzymuje tytuł „Szpital Ś. Ducha i P. Maryi dla starców“.

W podziw wprawia okoliczność, że tak niefortanne wybrano miejsce na ów zakład dobroczynny. Dom, mający być schroniskiem dla ludzi skołatanych życiem i zgnębionych chorobą, stał na krańcach miasta, tuż przy murze obronnym i już nawet po za bramą miejską. A jakby ci, którzy na progu wieczności stoją, sami przez się nie dość o śmierci pamiętali, jeszcze im ją przypominały dwa cmentarze: jeden tuż za szpitalem, drugi zaraz przed nim...

W razie zbrojnego napadu na miasto, pierwsze kule nieprzyjacielskie rozbijać się

musiały o owo przytulisko, w modlitwie i rozpamiętywaniu śmierci zatopione. I w samej rzeczy, pierwsza wojna szwedzka omal nie sprowadziła zupełnej ruiny tak szpitala, jak połączonego z nim kościoła. Wówczas też kronika tej miejscowości zapisała dwa ważne fakty: oddanie kościoła księżom Paulinom częstochowskim i opasanie murem szpitala, świątyni, ementarza oraz wszystkich zabudowań klasztornych. Mur, na półtora łokcia gruby i w strzelnicę zaopatrzony, wystawili zakonnicy własnym kosztem; dla wygody zaś miasta urządzono przejście z Podwala na ulicę Długą przez podwórze klasztorne. Klucz od farty mieli ojeowie u siebie, i zamykali ją zaraz po zachodzie słońca.

Aż do połowy XVI wieku owo *Xenodochium sive Hospitale* mieściło się w domu drewnianym i ciasnym, wiernie przytułek dzia-dowski wyobrażającym. Dopiero w roku 1544 magistrat, główny opiekun szpitala, nabył od mieszczanina Figury posesyę oboczną (dziś nr. 502) i połączywszy ją ze szpitalem, przystąpił do wybudowania dużego gmachu w tych rozmiarach, jakie dziś posiada. Prawda wyznać nakazuje, że zyskali na tem najwięcej opiekunowie zakładu, najmniej zaś jego pa-pile...

Nowa posesya była przedewszystkiem tem, co dziś nosi miano „dom dochodo-

wy". Wynajmowano w niej mieszkania osobom prywatnym, trzymano na użytek publiczny magle i t. p. Jednocześnie ubodzy korzystali z jednej wielkiej izby, gdzie po bokach znajdowało się 17 maleńkich, na kłódkę zamykanych, „komórek“. W komórkach starszowie „z osobna sypiali y swoje schowania mieli“, do izby zaś przychodzili, aby pomodlić się i ugrzać, stał w niej bowiem ołtarz i—piec wspólny.

„Biorą ci ubodzy leguminę, piwo y każdy po dwa szostaki na tydzień“ — objaśnia akt urzędowy z r. 1766.

W początkach zeszłego stulecia to pomieszczenie dla ubogich okazało się zaciąsnem, rozszerzać zaś go nie można było „bez uszczuplenia dochodów dzierżawnych“. Wówczas też, jak już wspomniałem, połączono razem szpitale: Ś. Ducha i P. Maryi i umieszczono ubogich na Przyryнку pod nr. 1884.

Dziś posesya po-szpitalna jest własnością prywatną. Wyzyskano ją tak skrupulatnie w kierunku dochodowym, że nawet dwa wejścia, istniejące dawniej od strony ulicy Nowomiejskiej, obrócone zostały na sklepy. Bawaryja, herbaciarnia, szynk, sklep korzenny, bramy z norymberszczyzną, nawet lombard prywatny — wszystko tam w tej chwili znajduje się.

Jest to zresztą jedyny dom na Nowo-

miejskiej, odznaczający się takim urozmaiceniem handlowem. Wszystkie inne zajęte są przede wszystkim przez jatki, następnie przez jatki, w końcu—także przez jatki. Można by sądzić, że wszystkie bydłota, których skórą kupczą na Świętojańskiej, tu najpierw mięso swe na ofiarę ludziom złożyły.

Domy na Nowomiejskiej są bez wyjątku stare i noszą wyraźne a szacowne znamię archaiczności. Dwa jednak czy trzy zdążono już „zmodernizować”. Świeżo otynkowane, wygładzone, ufarbowane, wyglądają dla stacznego mieszczucha przyzwoicie, dla estetyka i archeologa ohydnie.

Aby niezem nie raziły pospolitego, mieszczkańskiego smaku, pozbawiono te domy kamiennego u drzwi obramienia, wydarto z okienek nad drzwiami fantastyczne a tak piękne wzory z kutego żelaza. zatarto na murach każdy gzyms nad miarę wystający, każdą ozdobę nie dzisiejszą, każde znamię starożytne, będące wyrazem myśli, fantazyi lub swobodnego, artystycznego kaprysu, zastąpiono wreszcie ciężkie, zamezyste, blachą wzorzystą okute farty pospolitemi drzwiami, pomalowanemi żółto lub czekoladowo, i ostatecznie porobiono z pięknych i poważnych budynków—dziwolągi.

Wandalizm rozszerzający się coraz bardziej w dzielnicy staromiejskiej, grozi zupeł-

nem pozbawieniem jej charakteru właściwego. Wobec małego najczęściej poczucia estetycznego samych posesyonatów, przeciwstawić mu można jedynie wyższe, niż dotąd, wykształcenie estetyczne budowniczych.

W samym niemal środku lewej (idąc od Rynku) połaci ulicy Nowomiejskiej, pod nr. hipotecznym 174, stoi dom „pod Panem Jezusem”. Figurę Chrystusa, rzeźbioną z drzewa i pomalowaną, umieszczono tu w oszkłonej kapliczce, na wysokości pierwszego piętra, i przystrojono wewnątrz satemi równiankami z kwiatów papierowych. Przed kapliczką wisi latarnia, o szybach kolorowych, w pewne dni kosztem prywatnym oświetlana. Dawniej koszt ponosili właściciele domu; dziś dzielą się nim dobrowolnie dwaj rzeźnicy, mający jatki w pobliżu.

Polichromiczna figura Chrystusa jest znacznie młodsza od kamienicy, którą zdoła. Liczy niewiele więcej nad lat sto. Jest to dzieło rzeczywistego artysty, odznacza się też prawdziwie artystycznymi zaletami. Wyrzezał je z drzewa Jakób Monaldi, Włoch, rodem z Medyolanu, sprowadzony do Warszawy przez Stanisława Augusta i postawiony na czele szkoły snycerskiej, przez tego króla założonej.

Podobna rzeźba zdołała i sąsiednią ka-

mienieć, ale w kolei czasów znikła bez śladu. Dziś tylko pasta wnąka w murze jest niewyraźnem jej przypomnieniem.

Co się tyczy samego domu „pod Panem Jezusem“, albo „pod Figurą“, należy on do najstarszych w mieście.

Libertacya z r. 1667 nazywa ten dom „Szeleżyński *alias* Drewnowski“. Widać ztąd, że należał niegdyś do rodziny Drewnów, dobrze zapisanych w kronice Warszawy. Jeden Drewno (Stanisław), komisarz warszawski i ławnik magistratu, w r. 1600 zmarły, ma piękną płytę nagrobną w Katedrze. Inny Drewno (Łukasz), zapewne syn poprzedniego, na pamięć potomnych zasłużył jako energiczny i poświęcenia pełen „burmistrz powietrzny“ Starej Warszawy w w. XVII. Urząd swój spełniał w czasie okropnej zarazy, która miasto nasze nawiedziła za Zygmunta III, w latach 1623 i 1624.

Libertacya wspomniana wydana została „urodzonemu Stefanowi, Pisarzowi nadwornemu dekretowemu wołyńskiemu, Metrykantowi kancelaryi W. Koronnej“. Uwalniała kamienieć jego „od gości *ex officio*, posłów cudzoziemskich, także żołnierzy podczas sejmu i bez sejmu i podczas wszelkich zjazdów publicznych“.

Dom „pod Panem Jezusem“ w końcu

wieku XIX był własnością Dobrowolskich, potem dostał się Müllerowi.

Drugą kamienicą libertowaną była ta, która dziś nosi nr. 172, w wieku zaś XVII znajdowała się w posiadaniu najpierw Fukiarów, następnie Czornów.

Kronika Starej Warszawy wspomina o dwóch Czornach, obu Janach, którzy urzędy magistrackie sprawiali. Pierwszy był w roku 1613 „szafarzem miejskim“; drugi, zapewne syn poprzedniego, doszedł najwyższej godności w magistracie, gdyż w r. 1688 obrany został burmistrzem Starej Warszawy.

W wieku XVIII ta kamienica przechodzi na własność Szubalskich, i w rękach tej rodziny pozostaje aż do pierwszej połowy wieku zeszłego. Szubalsey nie pojawiają się na urzędach. Po pilnem poszukiwaniu, jednego z nich zaledwie znalazłem pomiędzy ławnikami — w roku 1702, w gorącej epoce drugiego najazdu szwedzkiego.

Późniejsza kronika tego domu jest wesoła a przynajmniej hulaszcza. Za Augusta III odbywają się tu bale publiczne, maskarady, wesela i inne zabawy, w których urządzaniu owe czasy celowały niewyczerpaną pomysłowością. Wodzirejami tamtej szopki byli: Salvator i Hempel, dwaj sasi, mistrzowsko w rzemiośle swym wyćwieczeni.

Co do trzeciej kamienicy libertowanej,

nazwanej w konstytucyach (r. 1677) „Walbachowska, *ad praesens* Gizińska“, była nią prawdopodobnie kamienica, oznaczona dziś nr. 171, którą w lastracyi z r. 1655 zapisano jako własność Gizów, starej rodziny mieszczańskiej, nader często w dziejach miasta naszego wspomianej. Ta kamienica aż do połowy bieżącego stulecia należała do szpitala Ś. Łazarza; obecnie jest własnością prywatną.

Kamienica pod nr. 179 (narożna od Dana-ju) była od najdawniejszych czasów „miejska“. Aż do pierwszych lat bieżącego stulecia zapisywana jest w taryfach jako „kamienica miasta Warszawy“. Ta jednak, którą dziś widzimy w tem miejscu, wystawiona została dopiero w r. 1780 na gruzach poprzedniej. Na czole tej kamienicy znajduje się dotąd tarcza w płaskorzeźbie, ongi z wyobrażeniem syreny, dziś zupełnie zatarta. Tu przemieszkiwali najczęściej burmistrze Starej Warszawy; tu również urodził się i umarł powszechnie szanowany prezydent miasta, Dekiert.

Jedno też potoczne wspomnienie jest do tego domu przywiązane. W nim to znajdował się (i znajduje dotąd, ale z gruntu przerobiony) typowy szynk staromiejski, którego wnętrze, pełne charakteru i Teniersowej malowniczości, odtworzył Henryk Pillati na jednym ze swych najlepszych płócien.

Posesya oboczna (nr. 178), która ma

drugie czoło od Dunaju Wąskiego, nazywała się w wieku XVII „Balcerowska“. Pochodzenie tej nazwy zaciekawia.

Balcer to nie nazwisko rodowe lecz imię. Znaczy toż samo, co Baltazar. Trudno przypuszczać, żeby poważna rodzina mieszczańska miana takiego używać mogła. Komuż jednak w takim razie służyło?

Może odpowiedzią na to pytanie będzie kilka pozycyj z rachunków miejskich, w których pod rokiem 1657 (data najazdu szwedzkiego) zapisano w różnych miejscach, co następuje:

„Balcerowi od konia zdechłego gr. 6“. — „Balcerowi od pochowania umarłych i koni zdechłych fl. 2 gr. 12“. — „Balcerowi od trupów chowania nr. 22 fl. 1 gr. 6“. — „Balcerowi na chłopcy dla chowania zmarłych fl. 2“.

Był zatem widocznie ów Balcer mistrzem, czyli katem, do którego należały i podrzędniejsze obowiązki profosa.

Czy jednak lustracya z w. XVIII tego właśnie Balcera na liście posesyonatów umieszcza, nie ośmieliłbym się twierdzić napewno.

Właścicielem kamienicy czwartej od rogu (nr. 176) był niegdyś Orsetti. Ta kamienica ma nad drzwiami wykutego z kamienia baranka. Źwadze znawców polecają się piękne jej drzwi, z artystycznem okuciem żelaznem.

Kamienica pod nr. 175 jest zapisana

w najdawniejszej lustracyi, jako należąca do Jurkowskiego. W roku 1784 jest własnością „sławetnej“ Francowej. W taryfie z r. 1786 jako właściciel jej występuje Dmuszewski.

Pod numerem 173 lustracya z roku 1656 wskazuje kamieniec „Latosowską“, a pod 171 „Funkowską“. Zapisana w niej zaraz obok „kamieniczka Ptaszkiewicza przy murze“ („ante Ludwika“) dziś już nie istnieje. Część jej terytorjum zajął Bazar na rogu Nowomiejskiej i Podwala.

Po stronie przeciwnej, druga od rogu kamienica (nr. 156) była niegdyś własnością Dzia notów, spolszczonych włochoń, którzy zwali się pierwotnie Gianotti. W r. 1646 przeszła na rzecz Kolegiaty (właściwie na utrzymanie kaplicy, zwanej „Dzianotowska“). W późniejszych taryfach występuje jako kamienica kaplicy Ś. Trójcy. Aż do czasu, gdy stała się własnością prywatną, zarządzał nią senior księży Wikaryuszów.

Niewielką, czwartą od rogu posesyę (nr. 137) nazywa stara lustracya „kamieniczką Sawskich, pustą“. W epoce wojen, najazdów, morowego powietrza i pożarów gwałtownych, domy puste nawet w śródmieściu nie należały do osobliwości.

Kamieniec sąsiednią (nr. 158) posiadał pierwotnie Ginter, rajca magistratu Starej Warszawy. Potem była własnością księży Pauli-

nów. Ci księża posiadali równocześnie siedm innych posesyi pod następującymi numerami hipotecznymi: 501, 1837, 1840, 1951, 1954, 1958 i 1962. Od początku zeszłego wieku pozostaje w rękach prywatnych.

Jako posiadacze kamienicy pod nr. 159 (róg Krzywego Koła) występują: w w. XVII Tomasz Hawłoz, który około roku 1597 był rajcą Starej Warszawy; w XVIII Duval, słynny za Augusta III właściciel winiarni (mieściła się w nieistniejącym już domu „pod Gwiazdą“), ojciec pięknej Henryety a dziadek w prostej linii pani Orzelskiej, późniejszej księżnej Holstein-Beck; w XIX wreszcie Fastynowicz, Wiatrowski i inni.

W tej kamienicy, którą nazywano „pod Złotym orłem“, w roku 1763 otworzono drugą z kolei w mieście naszym kawiarnię. Utrzymywało ją w szczytlem mieszkanku na trzeciem piętrze siedm sióstr rodzonych. Dodajmy, że pierwsza kawiarnia, kilkoma laty weześniejsza, istniała za Żelazną bramą, na rogu Granicznej i Targowej, odwiedzana zaś była wyłącznie przez sasów. Na Gołębią poczęli chadzać i nasi, wdrapując się jednak na trzecie pięterko pokryjomu i z pewnem zawstyżeniem. Kawa była uważana jeszcze wówczas w pewnych sferach za owoc prawie zakazany, za narkotyk upajający a niebezpieczny, jak opium później albo morfina...

W tejże kamienicy mieszkał podobno czasowo ksiądz Załuski, założyciel słynnej biblioteki. Dostojnik kościoła a zarazem namiętny zbieracz książek, wiódł tu żywot anachorety, każdy grosz na zakup dzieł rzadkich przeznaczając.

Kamienica pod nr. 161 łączyła się bezpośrednio, jak już wyżej wspomniałem, z pierwszą Bramą Nowomiejską. Nosiła niegdyś miano „Wójtowska“, stała zaś właściwie w międzymurzu, to jest pomiędzy pierwszym a drugim murem, opasującym ongi Warszawę. Ściana, która ją dotąd od posesyi obocej (nr. 162/3) oddziela, jest jednym z tych dwóch murów (zewnątrznym). Mur drugi, wewnętrzny, zniknął całkowicie w tyłach ośmiu posesyj na Krzywem-Kole (nr. 190 do 196 i 160).

O posesyi zwanej „Gdańska piwnica“ kilkakrotnie już wspominałem, powracać więc do niej nie będę. Granicząca z nią kamieniczka pod Nr. 164 należy do najoryginalniejszych, jakie posiada Warszawa, jest bowiem poprostu: basztą starą, na dom mieszkalny obróconą. Zapisywano ją aż do pierwszych lat zeszłego stulecia, jako „kamienicę miasta Warszawy“; później przeszła na własność Stanisława Piekarskiego.

Ulica Gołębia miała niegdyś postać odmienną od dzisiejszej.

Przedewszystkiem poziom jej był o trzy stopy od obecnego niższy. Kiedy w roku 1854 prowadzono w tej części miasta roboty wodociągowe, znaleziono w trzystopowej głębokości pod warstwą bruku, na wysypce ułożonego, ogromne głazy, dawny bruk stanowiące. Była tam jakby ulica pod ulicą.

Taż sama niespodzianka spotkała kopiących w Rynku Starego Miasta i na Świętojańskiej. Ostatnia ulica miała bruk podwójny tylko na połowie swej długości, od strony Rynku. Bruk pierwotny leżał głębiej jeszcze, bo o 5 stóp poniżej obecnego poziomu.

Prawie we wszystkich domach na Gołębiej znajdowały się w dawnych wiekach sklepienie loszki, czyli, jak mawiano wówczas „sklepy“ podziemne, rzemieślnikom na warsztaty, kupcom na składy towarów służące. Wszystkie miały wejście wprost z ulicy.

W owych podziemiach mieściły się przeważnie pracownie ślusarskie, kuźnie i piwiarnie. Wejścia do nich, nie ogrodzone dostatecznie, przedstawiały wielkie dla przechodniów niebezpieczeństwo. Skłoniło to w drugiej połowie XVIII stulecia komisję brukową do polecenia właścicielom, czy dzierżawcom loszków, aby je codziennie, zaraz o zmierzchu, równo z drogą zamykali.

Dziś weale już ich tam niema.

Na zakończenie, kilka wspomnień potocznych.

W połowie zeszłego wieku, a więc w epoce, prawie bezpośrednio czasy nasze poprzedzającej, ulica Nowomiejska nie była, tak jak dziś, wyłączną siedzibą jatek rzeźniczych. Mieściło się na niej wiele innych sklepów, fabryk i warsztatów.

Tak zwanych „handli win i korzeni“ znajdowało się tu naówczas aż cztery: pod nr. 159 Puczyńskiego, pod nr. 161 Sokołowskiego, pod nr. 167 Wasilewskiego, pod nr. 172 Kacperkiewicza.

Pod nr. 176 istniała fabryka guzików Jana Kugla; pod nr. 160 fabryka narzędzi mazurecznych Józefa Horalika; pod nr. 175 fabryka mydła i świec Tobiasza Kryszewskiego.

W epoce dawniejszej, jeszcze za czasów istnienia Bramy Nowomiejskiej, w samej bramie miał księgarnię, jedną z najstarszych u nas, Szczepański. Tamże mieściła się równocześnie apteka.

Nareszcie owa słynna Gdańska piwnica, z którą złączyła się na zawsze pamięć świętej przeszłości handlowej naszego miasta, oraz bohaterskiego wtargnięcia Czarnieckiego do zajętej przez szwedów Warszawy, wplotła w owej epoce do wawrzynów swych dwa listki—bobkowe...

Tu niemiec pewien, którego nazwiska historia nie przechowała, wypiekał najpierwsze w Warszawie—rogale; tu także mieszkał włosz nazwiskiem Mangiani, najpierwszy również a przez długi czas i jedyny u nas wytwórca—salcesonów włoskich.

V.

O SZPITALU DZIECIĄTKA JEZUS I JEGO ZAŁOŻYCIELU.

I. CO BYŁO PRZED KSIĘDZEM BAUDOUIIN'EM ?

Stosunki, które poprzedziły wystąpienie u nas księdza Baudouin'a, nie przedstawiają się pomyślnie. W aktach sądowych i pamiętnikach doczytać się o tem można rzeczy ciekawych a smutnych.

Na zdrowym z natury organizmie Warszawy zaszezepili zepsucie cudzoziemey. Najpierw sprowadzeni przez Bonę włosi, potem towarzyszący dwom koronowanym „Maryom“ francuzi, wreszcie najazd saski, przez całe dziesiątki lat nad krajem ciężący, wyzuwali kolejno nadwiślańskiego mazura z jego rodzimej treści, która była prosta, szczerą i uczciwą.

Na długi czas przed wystąpieniem świę-

tobliwego misjonarza zdarzały się w Warszawie porzucania dzieci i dzieciobójstwa. Prawo karało te przestępstwa surowo, bo paleniem na stosie, topieniem i ścinaniem, nie mogło jednak złego wykorzezić.

Ksiądz Nieszporkowicz pisze w swych „Odrobinach“ o pewnej młynarzównie, która, służąc w Warszawie w roku 1615, dziecię swe, nieżywo urodzone, oknem wyrzuciła. Skazana za to na ścięcie, potem na utopienie, cudowi jedynie zawdzięczyła ocalenie życia.

Jedne czyniły źle z rozpusty i dla uchylenia się od kary; inne zniewalała do zbrodni nędza. W rękopisie zapisek magistrackich z r. 1710 znajduję wzmiankę o „ubogiej białygłowie, co z ubóstwa dziecię w rowie porzuciła“. (Ta nie była karana).

W księdze brackiej „Szpitala gnojowników“ (Ś. Łazarza) zapisano pod rokiem 1591, że w Warszawie „wiele ludzi po ulicach y w gnoiu chorych y drugich dzieci małych, zdrowych, nagich, na zimnie umierało“.

Już za Zygmunta III złe doszło do takich rozmiarów, że wywołało potrzebę interwencji—nie sądowej, karzącej, ale takiej, która niosła ratunek, bez dochodzenia, kto winien.

Traf zrządził, że gdy obcy przynieśli chorobę, a obcych też znalazło się i lekarstwo na nią. Przedstawiciele zagranicznych mocarstw, bawiący przy dworze królewskim prze-

rażeni widokiem moralnej i materyalnej nędzy naszego miasta, postanowili w jakikolwiek sposób jej zaradzić. Wynikiem postanowienia było założenie „Szpitala dla ubogich pielgrzymów (rozeiągano to pojęcie do ludzi bezdomnych wogóle), podrzuconych dzieci i innych sierot“.

Ta pierwsza instytucya, biorąca w opiekę podrzutek, powstała w ostatnich latach panowania pierwszego Wazy (pomiędzy r. 1623 a 1629). Otwarto ją pod wezwaniem Ś. Benona, patrona od morowego powietrza. Warszawa, dotykana w owym czasie licznymi epidemiami, miała do tego świętego osobliwe nabożeństwo.

Widzimy ztąd, że wielkie dzieło księdza Baudouin'a nie było całkowicie oryginalnem. Nie dla obniżenia zasług zaenego francuza, ale dla ścisłości kronikarskiej należy ten fakt uwzględnić. A dotąd tego nie czyniono. Nikt prawie dotąd z nazwiskiem Piotra Baudouin'a, misjonarza, nie łączył nazwiska Jerzego Leiera, Jezuity, choć ostatni o całe stulecie uprzedził pierwszego.

Co prawda, ojciec Leier prostował tylko ścieżki przed tym, który w sto lat później miał przejść po nich krokiem tryumfalnym. Ów pierwszy zakład publiczny dla kształcenia i wyżywiania „dzieci niepewnego ojca“ (*orphans incerto patre natis*), nie cieszył się długim

żywotem. Ogień — najzawziętszy i najstalszy wróg dawnej Warszawy — obrócił go w perzynę.

Piękną pamiątką tej instytucji jest przytoczony w dziele Wejnerta przywilej Władysława IV, potwierdzający dzieło ojcowskie i wzbogacający je nowymi dodatkami. Artykuł 5 tego przywileju brzmi:

„Wychowańcy z nieznanych rodziców lub nieprawego łoża, już tem samem, że w domu tym wykształcili się i wyuczyli, uważani będą za prawych i od nas ogłaszani za zdolnych do wszelkich rzemiosł i urzędów miejskich, gminowi w tej Rzeczypospolitej dozwalanych“.

Na półtrzecia wieku uprzedziło to dyalektyczne wojny i literackie zwycięstwa Damasa młodszego...

II. KTO BYŁ PIOTR GABRYEL BAUDOUIN I OD CZEGO DZIEŁO SWE ROZPOCZAŁ?

Duchowy rodowód księdza Baudouin'a można zamknąć w tych słowach:

„Święty Wincenty à Paulo był mu ojcem, mistrzem, przykładem. Syn, uczeń i następca, kochał go, czeił, naśladował“.

Dzieło zasłużonego twórcy szpitala Dzieciątka Jezus jest dziełem Ś. Wincentego, przeniesionem na inny grunt, w inne czasy i pomiędzy inne warunki. Oba dzieła narodziły



KSIAŹD BAUDOUIN.

(Projekt pomnika, wykonany przez L. Kucharzewskiego).

się z wielkiej miłości bliźniego i z równie wielkiej czułości na jego niedolę. Zakon misyjarski, którego Ś. Wincenty był założycielem, a Baudouin jednym z luminarzy, te cnoty na pierwszym miejscu u siebie postawił.

Wyjazd Baudouina do Polski był rodzajem „misyi“. Mimo blasku politycznego, jaki wówczas jeszcze otaczał Rzeczpospolitą, miała ona w swym ustroju wewnętrznym pewne znamiona, o których w kilkadziesiąt lat później powiedział Schulz, inflanteryk: „już nie azyatyckie, ale jeszcze nie europejskie“. Nad Sekwaną o tem wiadano.

Baudouin był członkiem rodziny zamożnej i dostojnej, młodzieńcem usposobienia żywego, łaknącym walki i czynu. Takie natury ogniste, wybuchliwe, są skłonne w równym stopniu do życia burzliwego i do aseczy.

Rodzinnem miejscem przyszłego kapłana było Avenes we Francyi. Zaledwie doszedł do lat młodzieńczych, roić zaczął o skierowaniu życia do celów niezwykłych, wielkich—jaką wszakże dać im formę, nie wiedział. Ciągnęła go przez pewien czas głucha cela kartusza, od tych jednak marzeń przerzucił się skokiem gwałtownym do bieguna wręcz przeciwnego i został—żołnierzem.

Jako młodzieniaszek, niespełna lat dwadzieścia liczący, pobrzękiwał przez pewien czas szablą i nosił błyskotliwy uniform przyboocznej

straży królewskiej. Przy poparciu możnej rodziny obiecywało mu to świetną przyszłość—jedna wszakże rekolekcyja, odbyta w misyjonarskim kościele Ś. Łazarza, tę bańkę mydlaną zdmuchnęła...

Licząc lat dwadzieścia jeden, to jest osiągnąwszy prawną pełnoletność, zrzucił wyszywany złotem mundur i wstąpił do misyjonarzy. Stało się to w roku 1710. W trzy lata później, otrzymał święcenia kapłańskie, a w lecie 1717 r. widzimy go już w Warszawie.

W owym czasie nasze miasto posiadało kilka zakonów żeńskich, sprowadzonych z Francyi i zapełnionych w znacznej części francuzkami. Były one pamiątką po dwóch królowych francuskich. Dwudziestoosmioletni ksiądz Baudouin został spowiednikiem wszystkich panien zakonnych pochodzenia francuskiego—przeważnie wizytek i sióstr miłosierdzia, zwanych „szarytkami“.

Ale to kierownictwo samień nie mogło zabrać człowiekowi ruchliwemu i energicznemu wszystkiego czasu, na pracę przeznaczonemu. Zbывając reszty użył na dwa cele: na wykłady w seminaryum Ś. Krzyża i na uczenie się języka polskiego.

W przerwach pomiędzy zajęciami, młody kapłan rozglądał się pilnie dokoła i badał ludzi oraz ich stosunki.

W tym czasie zaszedł wypadek, który —

jak głosi tradycya — wpłynął decydująco na dalsze jego życie i działalność. Przechodząc jedną z pustych, płotami obrzeżonych uliczek, których ówczesnej, rozległemi przedmieściami otoczonej Warszawie nie brakło, ujrzał psa, rozszarpującego w kącie jakąś krwawą, niekształtną masę. Gdy się zbliżył, pies uciekł, unosząc w pysku coś, w czem przerażony kapłan rozpoznał — główkę martwego dziecięcia.

Rzeczy takie za czasów nie należały do osobliwości. Miasto i kraj cały były wówczas miastem i krajem kontrastów. Znękane wojną domową i przechodami wojsk obcych, piły jednak i romansowały na zabój. Za zbytkami i rozpustą panów idzie zwykle nędza i upadek moralny ludu, nie więc dziwnego, że Warszawa roiła się żebrakami i złodziejami, a po zaułkach porzucone niemowlęta marły z głodu, lub stawały się pastwą zwierząt.

Okropny widok wzruszył do głębi wrażliwego kapłana. Ujrzał jedną z Łazarzowych ran społeczeństwa, które ukochał i które przywykł uważać za swoje. W tkliwym jego sercu zbudziło się współczucie; przywykły do rozwagi umysł, jął szukać leku na zło.

„Z natchnienia boskiego — pisze jego towarzysz i pomocnik — postanowił wówczas i mizerne te matki i dzieci ich niewinne a nieszczęśliwe ratować“.

Zgromadzenie misyonarskie poparło za-
cną myśl Baudouin'a, ale poparło tylko mo-
ralnie. Jeśli z funduszów kościelnych udzie-
lono mu jakiego zasiłku, to on był z pewno-
ścią nieznaczny. Pozostawała ciężka droga
kwestowania, czyli publicznej żebraniny.

Baudouin, mający wciąż przed oczyma
przykład Ś. Wincentego, nie cofnął się przed
wyciąganiem ręki do możliwych tego świata.
Zbierał dla siebie gorycz, poniewierkę, roz-
czarowania, i jak pszczoła, przerabiał to
wszystko na słodki miód dla nieszczęśliwych.

Przez czas pewien umieszczał opuszczo-
ne dzieci to tu, to owdzie, oddając je na wy-
chowanie ludziom obcym, albo improwizując
dla nich tymczasowe schronisko w zabudo-
waniach misyonarskich. Po kilku latach znoj-
nej pracy, posiadał już środki na kupienie
własnego domu. Nabył go wreszcie w r. 1732
i zaraz w nim szpital (właściwie: ochronę) dla
dzieci opuszczonych urządził.

Zakład, będący zaczątkiem później-
szego szpitala Dzieciątka Jezus, znajdował
się na Przedmieściu Krakowskim, w sąsiedz-
twie kościoła Ś. Krzyża i Dominikanów Obser-
wantów. Granta, na których się wznosił, na-
zywały się „Kabatek“ i należały do jurydyki
królewskiej, zwanej „Oboźnia“. Kamienica, ku-
piona przez Baudouin'a, była poprzednio wła-
snością Olborskich. (Późniejszy pałac Karasia).

Niema już dziś tej budowli. Zachował się tylko wzniesiony na jej miejscu gmach, znany powszechnie pod nazwą „pałac Karasia“.

Jakże cieszyć się musiał ten dobry człowiek, gdy już mógł wychowaćców swoich, po całym mieście rozproszonych, pod jeden dach zgromadzić! Zapewnił im opiekę, wygodę i wszystko, co do fizycznego i moralnego ukształcenia było potrzebne. Dozór miały nad nimi Siostry Miłosierdzia. Samych niemowląt było około dwustu. Szukano dla nich mamek w mieście i po wsiach okolicznych, a zdarzyć się mogło, że biedna matka wykarmiła tam dziecię własne, nie o tem nie wiedząc...

Baudouin cieszył się, ale nie spoczywał. Schronisko na Przedmieściu Krakowskiem nie wydawało mu się dziełem skończonym, raczej dopiero—wstępem do dzieła...

III. DALSZE KOLEJE I ROZKWIT DOBROCZYNNY IDEI.

„Ojciec mój i matka opuścili mnie, a Bóg przyjął mnie do siebie“.

Te słowa Psalmisty wypisane były ongi na czole szpitala Dzieciątka Jezus. Szkoda, że je przy późniejszej przeróbce usunięto, mieści się w nich bowiem myśl piękna i krzepiąca.

Pierwotny gmach szpitalny nie był po-

dobny do tego, który dziś oglądamy. Rozmiary jego były mniejsze, a liczne wieżyczki dawały mu pozór zamku obronnego. Podobiznę tego gmachu widzieć można na portrecie Baudouin'a, znajdującym się w szpitalu.

A nie tylko zewnętrzność szpitala była wojenna: posiadał on nadto swe własne wojsko. Był niem rodzaj milicyi szpitalnej, przywilejem królewskim dozwolonej. Ta milicya zaciągała wartę w bramach, odbywała straż nocą, słowem zachowywała się zupełnie po wojskowemu. Miała nawet swoje mundury—granatowe z żółtem. Epoka saska kochała się w mundurach...

Podobno poetą, który wymyślił dla szpitala piękne miano „Dzieciątko Jezus“, był — lud warszawski. Miewał on zawsze pod tym względem szczęśliwe natchnienia. Większość dawnych ulic warszawskich przez lud jest ochrzecona. *Vox populi* kłócił się często z nazwą urzędową i prawie zawsze brał nad nią górę.

Z ust ludu symboliczne „Dzieciątko Jezus“ przeszło do aktów, i urzędowy tytuł instytucyi począł brzmieć: *Hospitale infantium expositorum sub titulo Infantis Jesu*.

Jak wszakże do wybudowania szpitala przyszło?

Okolo roku 1747 szpitalik księdza Baudouin'a na Przedmieściu Krakowskiem otrzy-

mał kilka większych zapisów. W sereu energicznego kapłana zbudziło to nadzieję spełnienia marzonych planów. Wprawdzie to, co posiadał, było niezem w porównaniu z tem, czego potrzebował—miał już jednak o co „ręce założyć“.

Ale marzenia zacnego misjonarza sięgały daleko. Pragnął wybudować w miejscu otwartem, zdala od zabudowań miejskich, gmach olbrzymi, który-by starczył na potrzeby już nie tylko miasta, ale kraju całego. Potrzeba było na to sum wielkich, których dostarczyć miała -- dobroczynność publiczna.

Przy ówczesnym, maskaradowo-tanecznym nastroju społeczeństwa, myśl Baudouin'a była prawie utopią. Ale ten wielki filantrop, jak wszyscy niemal wieley ludzie, należał potrosze do fatalistów i — „mierzył siłę na zamiary“.

Nie szkie pobieżny, lecz całą książkę wypełniłby można opisem jego kilkunastoletnich trudów, walk i zabiegów. Oddany niepodzielnie jednej idei, poświęcał jej wszystek czas, wszystkie siły umysłu i sereu. Na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, od wyrobnika aż do króla, stawał kolejno z wyciągniętą ręką i skarboną.

W jednym miejscu przyjmowano go z błogosławieństwem, w innem z niechęcią masko-

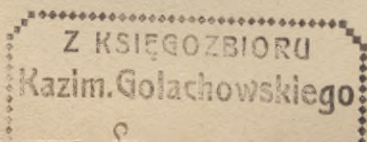
waną, w innym jeszcze z otwartem grabiaństwem. Legenda mówi o policzka...

Wiedząc, że dzieło miłosierdzia najskuteczniej pełni się przez kobiety, Baudouin zjednał sobie poparcie kilku wpływowych magnatek. Jedną z nich, hrabina Kollowrath, najwyższa ochmistrzyni dworu, urządziła na dochód szpitala loteryę fantową. Loterya była zabawą towarzyską, odbywała się zimą, na pokojach królewskich, w zamkniętem kółku arystokracji (bilet kosztował 3 dukaty), i przyniosła zasiłek stosunkowo nieznaezny.

Łamiąc głowę nad tem, w jaki sposób z grosza zrobić dwa, albo i trzy, idealny marzyciel uczynił się przedsiębiorcą, finansistą—niemal spekulantem. Kupował i odprzedawał grunta, domy, towary, chwycił się najrozmaitszych środków, przy których pomocy „robią się pieniądze“.

Próbcę z loteryą raz jeszcze powtórzył, ale na skalę większą i w formie odmiennej. Sojusznika pozyskał w ks. Stanisławie Konarskim, który właśnie czynił zabiegi o konwikt pijarski. Połączonemi staraniami wyjednali obaj u Augusta III przywilej na urządzenie loteryi, z której zysk miał iść w połowie na konwikt, w połowie na szpital podrzatków.

Owa loterya, pierwsza u nas w tym rodzaju, posiadała niejaki podobieństwo do loteryi klasycznej. Stosunek jednak biletów do



wygranych był tu inny, bo inaczej zysk z loteryi byłby albo bardzo mały, albo żaden.

Dokładną wiadomość o tem przedsięwzięciu finansowo-filantropijnem powziąć można z broszury owoczesnej p. t.: „Przywilej, Informacya y Planta o Loteryi, erygowaney na dokończenie Szkoły Kawalerskiej y Szpitala Generalnego na ubogie Dzieci, w Warszawie“.

Baudouin, choć nie miał jeszcze w kasie ani połowy potrzebnego kapitału, zabrał się w imię boże do dzieła.

Plac pod budowę szpitala nabył od zgromadzenia misyonarskiego. Był to szmat ziemi, zwany „włóka świętokazimierska“. Sytuację placu określa kontrakt w tych słowach:

„Wzdłuż tak, jako się między drogami od Folwarku Ś. Krzyża jedną, a od Grzybowa drugą, ku Ujazdowu prowadzącemi wyciąga, to jest łokci przeszło czterysta; wszczególnie zaś tak, jak jest przerzeeczona włóka między graniczącemi miedzami rozległa to jest łokci sto trzydzieści dziewięć i pół łokcia“.

Za ten plac zapłacił Baudouin 300 dukatów.

Kamień węgielny pod budowę nowego szpitala położono 24 czerwca 1754 roku.

A zaledwie to się stało, już lotna myśl kapłana wybiegła po za granice początkowo zakreślone. Obliczywszy się z potrzebami społeczeństwa i głosu serca usłuchawszy, Bau-

douin postanowił plac pierwotny znacznie rozszerzyć.

Nowy szpital nie miał być tylko domem sierot, ale—szpitalem „jeneralnym“.

Było to tak, jakby ktoś, upadając pod wielkim ciężarem, dla ulżenia sobie wziął na barki drugi ciężar znaczniejszej wagi.

IV. NOWE WALKI I NOWE ZWYCIĘZTWA.

Przywilej na wybudowanie w Warszawie szpitala „Jeneralnego“ albo „Głównego“ podpisał August III w dniu 28 maja 1758 r.

Cel zwiększony wymagał i środków większych, a ponieważ i mniejsze zdobywały się z trudem niezmiernym, przeto ludzie „rozsądni“ przepowiadali jęli całemu przedsięwzięciu niechybny upadek.

Stała się rzecz nieprzewidziana: do księdza Baudouin'a uśmiechać się zaczęło szezęście. Dary sypały się obfitsze, niż kiedykolwiek, przedsiębiorstwa wiodły się nad wszelkie spodziewanie, serea wielkich i małych skłaniały się coraz bardziej ku dziełu i jego twórey.

Anegdotkę, dobrze ów zwrot charakteryzującą, opowiada Bartoszewicz:

„Dnia jednego, gdy u króla zgromadzonych było wielu panów i duchownych i świeckich, zaczęto mówić z zajęciem o księdzu

Baudouin'ie i jego fabryce w obecności króla. Wtenczas król rzekł do zgromadzonych panów: „Oto, mości panowie, jedźmy wszyscy razem i zobaczymy, co ten ksiądz tam robi“. Stało się tak. Wsiadłszy król do pojazdu, pojechał, a za nim wszyscy panowie, i uformował się długi szereg sześć- i czterokonnych pojazdów. Przybywszy król z panami na miejsce rozpoczętych budowli, obszedł z nimi całe dzieło, podziwiając tak wielkie i wielkich nakładów potrzebujące przedsięwzięcie. Obejrzawszy wszystko, rzekł do obecnego ks. Baudouin'a: — A masz-że, księżę, fundusz na wybudowanie tak wielkiego gmachu?—Nie mam, n. panie, i ledwie mi z opatrności boskiej wystarczyło na zaczęcie — odpowiedział kapłan. — A na dalsze budowanie jakąż masz nadzieję? — podjął król. Wówczas ks. Baudouin, wzniosłszy oczy do nieba, odpowiedział: — Najjaśniejszy panie! całą moją nadzieję zasadzam na opatrności boskiej. Alboż to nie ta Najwyższa Opatrzność sprowadziła w. kr. mość na to miejsce z tak wielu j. o. i j. w. panami? Słyszając król te słowa czcigodnego kapłana, rozezulił się i uronił łez kilka. Podobneż uczucie ogarnęło panów, otaczających króla. Po krótkim zadumaniu, zwróciwszy się król do panów, wyrzekł:—No, mości panowie, trzeba księdzu dopomódz.

„I zaraz, z woli królewskiej zrobiono

podpisy na składkę, na której czele król podpisał się na kilka tysięcy dukatów; za królem poszli panowie na rozmaite sumy, tak, iż na parę kroć sto tysięcy złotych uczyniły te improwizowane składki“.

Do tegoż czasu odnosi się historia, czy też legenda o policzku, z zakończeniem: „To dla mnie—a cóż dla biednych?“ Legenda znana jest powszechnie, więc powtarzać jej nie będę. Zresztą Brodziński, Jaśkiewicz i Hoffmanowa zrobili to już o wiele lepiej, niż ja zrobićbym umiał.

Ważniejszą może od samej legendy jest sprawa jej autentyczności. Czy fakt opowiedziany w legendzie jest prawdziwy, czy też zmyślony? Dotychczas na to pytanie odpowiedzi stanowczej niema.

Sobieszezański legendę odrzuca. Twierdzi, że fakt istotnie odbył się, ale nie z Baudouin'em, lecz z jałmużnikiem włoskim, i nie w Warszawie, lecz w Turynie.

Bartoszewicz natomiast przechyla się ku prawdziwości faktu. Opierając się na tradycji, przechowanej w samym szpitalu, wymienia nawet sprawcę zniewagi. Miał nim być Franciszek Bieliński, pisarz wielki koronny. Portret tego pana możnego a gwałtownego pomieszczony jest dziś w galeryi—dobroczynców szpitala...

Cokolwiekby, legenda jest tak piękna,

że byłoby rzeczą nierozsądną dobrowolnie jej się pozbywać.

Wśród takich i podobnych wypadków wielkie dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego i społecznej przezorności szczęśliwie doprowadzono do końca. Ksiądz Baudouin miał wieczór życia cichy i pogodny, rozjaśniał go bowiem blask zasługi i światło ludzkiej życzliwości.

Twórca szpitala na resztę życia przeniósł się do zbudowanego przez się gmachu. Ostatnie lata poświęcił cichej dewocyi. „Żadnego dnia nie było—pisze cytowany już jego towarzysz i biograf— ażeby mszy świętej nie miał, albo przynajmniej, w czasie znacznej choroby, jej nie słuchał i podczas niej nie komunikował, co też w ostatnich dniach słabości swej praktykował, mając drzwi z izby do bliższego oratoryum. I w sam dzień śmierci, na pół godziny nim skonał, wysłuchawszy mszy świętej Pana Jezusa, i kilku dniami przedtem, rzekł w tej materji do jednego z kapłanów w te słowa: — Mieć mszę świętą, albo przynajmniej jej słuchać i komunikować, jest to jedyna pociecha moja i pożytek mój“.

Śmierć zacnego męża nastąpiła 10 lutego 1768 roku. „Życia swego świątobliwego, bez choroby, bez boleści, i prawie bez konania, przez samo sił osłabienie, wieku swego 89-go, szczęśliwie dokonał“.

Ciało księdza Baudouin'a spoczywa w grobach kościoła Ś. Krzyża. Na kamieniu w ścianę wmurowanym, położono mu skromny napis, którego może sam żądał:

D. O. M.

R. D. Gabriel Petrus Baudouin

primus rector hospitalis generalis Infantis Jesu, annorum 89, vocationis 58.

We współczesnych „Wiadomościach Warszawskich“ wydrukowano piękny wiersz łaciński, którym ksiądz Józefat Hylzen, biskup smoleński (brat historyka), uczył pamięć i zasługi zmarłego przyjaciela.

Hołd publiczny złożył mu też Krasiecki w rymowanym *epitafium*. Wiersz biskupa-poety wielokrotnie już był przytaczany, jest wszakże tak piękny, że go tu raz jeszcze powtórzyć warto:

Którego święta miłość bliźniego ujęła,
Mężu prawy! spoczywaj wpośród swego dzieła.
Bajeczna starożytność niech rycerzy głosi;
Nędzna sława, co światu nieszczęście przynosi.
Nie ten godzien pamięci, kto gnębił, kto zdzierał,
Nie ten kto łązy wyciskał, lecz—kto je ocierał.

V. TROCHĘ SZCZEGÓŁÓW KRONIKARSKICH.

Celem założenia szpitala Dzieciątka Jezus było: stworzenie instytucji leczniczej, opiekuńczej, dobroczynnej, któraby istniała samoistnie, we wszystkim sobie wystarczając.

Tam, gdzie ludzie cierpią, chorują i umierają, niezbędne są: kościół i cmentarz. Ksiądz Baudouin postarał się, aby jego zakład posiadał jedno i drugie *intra muros*.

Cmentarz powstał współcześnie ze szpitalem. Był to cmentarz smutny, bezimienny, bez nagrobków, bez chwaleb pośmiertnych, może tylko drewnianymi symbolami Męki Pańskiej przyozdobiony. Po wielu latach (w roku 1799), uczczono pogrzebanych tam skromnym, dziś już mocno zniszczonym pomnikiem „jeneralnym“. Napis na pomniku oblicza liczbę pochowanych od r. 1757 na *trzydzieści tysięcy*. Ciała ich „spokoju wiecznego“ nie otrzymały; w niecałe stulecie po pogrzebaniu poruszył je i z łona ziemi wyrzucił rydel kopacza, przygotowującego fundamenty pod budowlę.

Kaplicę szpitalną, tak obszerną i piękną, że można ją było kościołem nazwać, poświęcono w dniu 12 września 1762 roku. Poświęcenia dopełnił ks. Załuski, biskup kijowski.

Wspomniałem wyżej o galeryi „dobrodziejów“, którą szpital w portretach olejnych posiada. Galerya, z wielu względów ciekawa i posiadająca znaczenie historyczne, zasługuje, aby ją w dobrych kopiach odtworzono.

Prócz Baudouin'a, sportretowane są w tym zbiorze następujące osobistości: król August III; król Stanisław August; królewicz Ksawery;

ksiądz Hieronim Szeptycki, biskup płocki; ks. Karol Kreni; Józef Solłohub, wojewoda witebski; książę Michał Jerzy Poniatowski; książę August Alexander Czartoryski; Jan Klemens Branicki; Franciszek Bieliński (nie marszałek, lecz synowiec jego); Kazimierz Krasiński, starosta krasnostawski; Marcin Załuski, sufragan płocki; księżna Barbara z Duninów Sanguszkowa; z Sanguszków Krystyna Bielińska; Kunegunda z Sanguszków Czaeka; Anna z Ossolińskich Krasińska; Józefa z Morsztynów Ossolińska; Joanna z Sułkowskich Sapieżyna.

W kaplicy znajduje się nagrobek Hylzena, biskupa smoleńskiego, który zmarł w r. 1773.

VI. ZMIANY OSTATNIE.

Koniec wieku XVIII i początek XIX były dla Warszawy epoką klęsk. Bawialnie karczowały się albo zmieniały w koszary; pałace sprzedawano za bezcen kapecom i restauratorom, którzy przerabiali je na hotele i mieszkania prywatne. Natomiast kwitnęły, rozwijały działalność i rozszerzały się terytoryalnie—szpitale.

Okolo roku 1820 gmach wniesiony przez Baudouin'a nie wystarczał już na potrzeby miasta. Liczne przybudówki, które go w ciągu kilkadziesiąt lat obstawiono, czyniły go-

spodarstwo wewnętrzne trudnem i niewygodnem. Komisyja województwa mazowieckiego postanowiła szpital z grantu przebudować.

Przebudowy dokonano w roku 1824. Plan przygotował Alexander Gröfte, budowniczy jeneralny Komisyi Spraw wewnętrznych i policyi.

Szpital po przebudowaniu przybrał postać zupełnie odmienną. Rozwinął się a głównie wydłużył, wszystkie zaś dawniejsze romantyczne wybryki stylowe ustąpiły miejsca prawidłowej, nieco sztywnej i—cokolwiek nudnej, powadze.

Wówczas to dopiero gmachy szpitalne dociągniono aż do ulicy Świętokrzyskiej, a wejście główne, znajdujące się dawniej w rogu szpitala, umieszczono w samym jego środku.

Kliniki zaprowadzono u Dzieciątka Jezus z chwilą otwarcia Akademii Medycznej. W r. 1860 otwarto ambulatoryum kliniczne. Do klinik, prócz studentów, uczęszczali lekarze; odwiedzały je też, w charakterze gości, zagraniczne znakomitości świata lekarskiego.

Później nieco powstała klinika terapeutyczna i akuszeryjna.

W latach następnych, pod wspólnym dachem kupiły się tu: szpital właściwy, dom podrzutek, instytut szczepienia ospy, oddział kobiet obłąkanych, instytut położniczy, połą-

czony ze szkołą akuszerów wiejskich, i szkoła felczerów.

W „teatrze anatomicznym“ wykładano studentom medycynę oraz uczniom szkoły felczerskiej anatomię.

Przyjmowanie dzieci podrzuconych odbywało się przez czas długi za pomocą tak zwanego „koła“. Dzieci przynoszono zwykle nocą. Matka lub pośredniczka umieszczała niemowlę w rodzaju szafki, zwróconej otworem do ulicy, i pociągała za sznur od dzwona. Na to hasło dyżurna siostra miłosierdzia wykręcała ruchomą szafkę do siebie i wyjąwszy niemowlę, odsyłała je do właściwego oddziału.

Dyskretne „koło“ następnie skasowano. Dzieci oddawać dziś trzeba szpitalowi jawnie, dopełniając przytem pewnych urzędowych formalności i składając przepisaną opłatę. Tym sposobem te dzieci nie są już właściwie „podrzutkami“ i piętno tej nazwy hańbiącej powinno już być z nich zdjęte.

O działalności szpitala podaje Gołębiowski, pod rokiem 1827, taką treściwą notatkę:

„Było chorych mężczyzn 163, kobiet 203; sierot chłopców 138, dziewcząt 243; mamek 22 karmiło 27 niemowląt, a 1,230 oddano na wieś“.

Stan szpitala w chwili bliższej nam przedstawiają następujące, a źródła poczerpnięte cyfry:

W dniu 1 stycznia 1896 r. było chorych, pozostałych z r. 1895 — 548; przybyło 6,803, razem zatem w ciągu roku 1896 leczyło się 7,351. Wypisano 5,830; umarło 952; pozostało na rok 1897 — 549. Procent śmiertelności 12,95⁰/₀; dni szpitalnych 162,576.

W oddziale dzieci opuszczonych (podrzutków) było starszych dzieci z r. 1895—127; przybyło 271, zmarło 20. Dzieci przy piersi było 59, przybyło 1,839, zmarło 261. Rozdano kobietom wiejskim na wykarmienie 5,040; przybyło 1,404; zmarło 14.

W domu położniczym było z poprzedniego roku chorych 10; przybyło 642; zmarło 13, wypisano 681.

W przytułku rekonwalescentów pozostało 12; przybyło 320; wypisano 320; na rok 1897 pozostało 12.

W instytucie szczepienia ospy szczepi się ją w ciągu roku średnio 1,500 dzieciom. Prócz tego instytut rozdaje i rozsyła limfy na 30 do 40 tysięcy szczepień.

W ambulatoryum udziela się średnio 20,000 porad rocznie.

Gospodarstwo wewnętrzne przedstawia się jak następuje:

W r. 1895 szpital miał dochodu:

Z nieruchomości rb. 12,289 kop. 87; z kapitału rb. 8,124; od rządu rb. 2,825; z opłat za leczenie rb. 75,776 kop. 35¹/₂; z innych źró-

deł rb. 9,750 kop. 54. Ogółem dochód wyniósł rb. 108,767 kop. 14. W tymże czasie wydatki uczyniły ogółem rb. 108,767 kop. 14.

W roku 1896 ogół dochodu wyniósł rb. 166,284 kop. 38¹/₂, wydatki rb. 154,400 kop. 70.

Każdy chory kosztuje średnio szpital kop. 52,76 na dobę. Na dziecko przy piersi wydaje szpital dziennie kop. 54,70, na starsze kop. 40,20; na oddane na wieś kop. 4,42.

VI.

O POCZĄTKU WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOŚCI.

Rok 1812 pozostawił po sobie zwykłe lat krwawych potomstwo: żałobę, kalectwa, nędzę. Warszawa, leżąca na szlaku orłów Napoleońskich, widziała odwrót prawego skrzydła wielkiej armii, która przestała już być wielką. Miasto zapełniło się ludźmi, chorymi ciałem i upadłymi na ducha, rannymi i żebrakami. Zewsząd wołano o nóż chirurgiczny, o szarpie, o pieniądze, o chleb. Miejsca zaczynało braknąć na szpitale, które nazywano „lazaretami“, dla mąk Łazarzowych, które tam cierpiał niejeden.

Po chybionem i jałowem dziele dumy, przyszła kolej na owocne i zawsze do celu trafiające dzieło miłosierdzia.

To dzieło nie było obce Warszawie,

owszem, stanowiło jedną z jej praktyk częstych, rzecz nawet można: nieprzerwanych. Właśnie w ostatnim roku minionego stulecia, warszawianie utworzyli „Towarzystwo przyjaciół ludzkości“, natchnione i wywołane dobrym przykładem monachijczyków. Hasłem towarzystwa było: „głodnego nakarmić“, celem: dostarczać nędzarzom codziennego posiłku pod postacią tak zwanej „zupy ekonomicznej“ i sporego kęsa chleba.

Wynalazcą wymienionej zupy, która nie dotąd na swojej wartości higienicznej i dobroczynnej nie straciła, był hr. Benjamin Ramfordt, człowiek dziwnie ruchliwy, w jednej osobie: wojak, przyrodnik i filantrop. Urodzony w Ameryce, kształcił się w Anglii; odbywszy kampanię o niepodległość amerykańską, powrócił do Europy; ku schyłkowi życia przeniósł się do Bawaryi, umarł zaś we Francji. Bawiąc w Monachium, gdzie zajmował się organizacją armii bawarskiej i czyniąc doświadczenia fizyczne, wpadł na pomysł przyrządzania taniej a posilnej zupy przy pomocy hermetycznie zamkniętego „kociołka Papin’a“. Pomysł zastosowano zaraz w praktyce do celów filantropijnych, najpierw w Monachium, potem w innych miastach. Warszawa przyśwoiła go sobie w roku 1799. I stała się rzecz nieprzewidziana: o pracach uczonego hrabiego z zakresu fizyki, strategii i dyplomacyi

Z KSIĘGOZBIORU
Kazim. Gołachowskiego

świat zapomniał, zupa zaś „Rumfordzka“, na którą on sam najmniej zapewne liczył, zapewniła mu — względną, jak wszystko na ziemi — nieśmiertelność.

Niewiele wiemy o losach „Towarzystwa przyjaciół ludzkości“, które biedaków warszawskich posilało zupą rumfordzką. Kilka sprawozdań, zamieszczonych w gazetach ówczesnych, poucza nas tylko, że w pierwszych latach bieżącego wieku z dobrodziejstwa tego korzystało w Warszawie po 240 do 300 osób dziennie. Potem zamieszki polityczne sparaliżowały w zawiązku całe dzieło.

Kiedy okropności wojen Napoleońskich powołały do czynnego działania filantropię warszawską, członkowie tamtego właśnie towarzystwa utworzyli inne, które nazwało się krócej i prościej: „Towarzystwo Dobroczynności“.

W samą wigilię Bożego Narodzenia 1814 roku odbyło się otwarcie nowej instytucji. Pamiętna to data. Od tej daty nędzarz warszawski miał prawo podnosić nagięte ku ziemi czoło, bo mu powiedziano, że jest „rzeczą świętą“ (*res sacra miser*).

Jak w każdym dziele miłosierdzia, tak i tu, głównymi działaczkami były kobiety. Listę ich rozpoczyna hr. Zofia ordynatowa Zamoyska. Obok niej kupi się pięć pierwszych opiekunek towarzystwa: Gutakowska,

województwa, księżna Sapieżyna, księżna Wirtemberska, Teresa Kieka, Cecylia Beydale.

W składzie administracyi znajdujemy nazwiska: Adama księcia Czartoryskiego, starosty-wojewody, jako prezesa towarzystwa, hr. Ordynata Zamoyskiego, jako wice-prezesa. Prezesem wydziału I-go jest minister sprawiedliwości Wawrzecki; prezesem wydziału II-go doktor medycyny Berganzoni.

Listę członków wydziału I-go rozpoczyna Julian Ursyn Niemcewicz.

Towarzystwo zdobyło sobie odrazu miłość i poparcie społeczeństwa. Posypały się ofiary, których wykaz jest z wielu względów ciekawy. Występuje w nim sto dukatów hrabiego Pocięja i sześć tysięcy złotych polskich hr. Ostrowskiego, wojewody, prezesa senatu—nie brak wszakże i *półzłotka*, opatrzonego takim komentarzem:

„W czasie wielko - tygodniowej kwesty część jedna szanownych Jałmużnic, które tej pracowitej dla ludności podjęły się pielgrzymki, przyszła z kolei do jednego z wyższych oficerów, przed którego kwaterą stał sztybwarach.—Nie można—rzecze sucho żołnierz.—General nikogo puszczać nie kazał.—My nie z wizytą, ani we własnym interesie—odezwał się towarzyszący damom młodzieniec—kwestujemy dla biednych.—Dla biednych?—powtórzył tonem ułagodzonego grenadyera — ha, to

co innego... Generał nie mógł tego przewidzieć... Idźcie panie, a tymczasem przyjmijcie, na co zdobyć się może chudoba — rzekł i położył na tacy półzłotka“.

W pierwszym roku istnienia Towarzystwa dochody jego wynosiły złp. 120,609 gr. 22. W szczegółowych pozycjach są dwie znamienne. Pierwsza brzmi:

„Ze sprzedaży szarpi—złp. 11,025 gr. 4“.

Druga:

„Z teatru amatorów—złp. 17,856“.

Funduszami szafowano oszczędnie. Pierwszy rok zamknięty był remanentem złp. 40,028 gr. 9. Pomiędzy wydatkami zapisano: „Na wspomóżenie jeńców, powracających z niewoli, złp. 1,000“. Najwyższym wydatkiem było: „Wspomóżenie szpitali warszawskich“; użyto na ten cel całkowitego wpływu z kwesty wielkotygodniowej, w kwocie złp. 20,419.

Pomimo sympatyj ogółu i możnych protektorów, Towarzystwo w pierwszych latach nie mogło rozwijać się należycie. Stał temu na przeszkodzie brak odpowiedniego pomieszczenia.

W przedmowie, którą do pierwszego rocznika Towarzystwa napisał Niemcewicz, braki te są otwarcie wykazane. „Towarzystwo Dobroczynności — mówi autor *Śpiewów historycznych*—zna dobrze, ile jeszcze potrzeba, aby ten instytut do takiego przywieziony

był stanu, by ludzkości i społeczeństwu stał się istotnie pożytecznym. Ale skoro tylko otrzyma od najjaśniejszego pana dogodność domu i miejsce po temu, nie omieszka zaraz zająć się jak najlepszem onego urządzeniem, opatrzyć mieszkania dostatnio i wygodnie; założyć szafarnię; kuchnię i piekarnię na wzór Rumfordzkich urządzić, gdzieby chleb i żywność tanio, posilnie i zdrowo przygotowywanemi były; wyznaczyć osobną dla chorych infirmeryę, mieć własną pralnię; nakoniec zaprowadzić po wszystkich salach warsztaty i kołowroty, gdzieby biedni, pod dozorem majstrów pracując, nie znali szkodliwego próżniactwa i choć po części na utrzymanie swe zarabiać mogli...“

Przez cztery pierwsze lata Towarzystwo mieściło się częścią w zabudowaniach księży Franciszkanów na rogu Franciszkańskiej i Zakroczymskiej (które rząd praski w części już przerobił, zamierzając urządzić tam więzienie, a zakonników przenieść do Warki), częścią w gmachu Konwiktu Pijarskiego przy ulicy Miodowej (nr. 487). Niektóre sekeye musiały nawet szukać pomieszczenia za miastem, mianowicie w Woli Grzybowskiej pod Warszawą.

Do dzisiejszego gmachu na Przedmieściu Krakowskiem przeniósł się Towarzystwo w roku 1819. Ten gmach nie miał wówczas

swej dzisiejszej postaci. Nadał mu ją dopiero w kilkanaście lat później słynny Corazzi, który w pierwszej połowie naszego stulecia odegrał w dziejach budownictwa warszawskiego rolę tak wydatną, jak Hausman w Paryżu za drugiego Cesarstwa.

Obecone swe pomieszczenie otrzymała Dobroczynność w paściźnie po Karmelitach, których skromny kościółek stanowi dziś kaplicę Towarzystwa. Prócz tego część gmachu wznosi się na miejscu dawnego pałacu Kazanowskich.

O Karmelitankach, które w swoim czasie zajmowały w kronie Warszawy miejsce wydatne, dziś już mało kto wie i pamięta. Te zakonnice, zwane „Bosaczkami“, przybyły do naszego miasta w pierwszej połowie XVII wieku. Początkowo mieściły się w skromnym dworku drewnianym, a gdy przy pomocy dobrych ludzi zbudowały sobie około r. 1650 murowany klasztor, kule szwedzkie obróciły go niebawem w perzynę. Klasztor jednak razem z kościołem odbudowano i dobrze zaopatrzone, „Bosaczki“ bowiem cieszyły się opieką rodzin magnackich, a nawet panujących.

Mały kościół Karmelitanek, który Erndtel w swym opisie (*Varsavia physice illustrata*) nazywa „kaplicą“ (*sacellum*), posiadał dwie właściwości, wyróżniające go spośród

innych. Tu uczęszczali głównie cudzoziemcy, dla których wygłaszano kazania w języku francuskim (miewał je w początkach tego wieku Albertrandy w przytomności Ludwika XVIII); tu również, w grobach pod kościołem, chowano dzieci najznakomitszych rodzin. U Karmelitanek pochowano, między innemi, córeczkę Władysława IV. Ojciec uczcił jej pamięć pięknym pomnikiem, który jednak w czasie najazdu szwedzkiego zniknął bez śladu.

Po oddaniu gmachów klasztornych Towarzystwa Dobroczynności, Karmelitanki, których było jeszcze wówczas trzynaście, przewieziono do Krakowa.

Pałac Kazanowskich słynął w wieku XVII z przepychu i stanowił jeden z dziwów, już nie tylko miasta, lecz kraju całego. Opisywano go wielokrotnie. „Dziwem“ uczynił ten gmach dopiero Adam Kazanowski, starosta borysowski, marszałek wielki koronny, towarzysz nauk, podróży i... rozputy Władysława IV. Niezmierne bogactwa, z tego właśnie stosunku osiągnięte, włożył on w urządzenie pałacu, który był poprzednio skromnym dworem skromnego również Boboli.

Ostatnia okoliczność włożyła w usta rymopisa Jarzębskiego następujący naiwny okrzyk:

Gdyby zmartwychwstał Bobola,
Zawołałby z włoska: *Ola!*

Podkomorzy, urzędniku,
Przeszły miły namiestniku!
Pewnieś tu Zamek założył,
Boś koszt wielki na tołożył.
Nie dziwuję! Według świata
Wymyślają młodszy w lata,
Wszystko kształtnie *alla modo*,
Z cudzoziemska, *più commodò!*

Dopiero po przeniesieniu na Przedmieście Krakowskie, Towarzystwo Dobroczynności otrzymało ustawę. Wyszła ona z druku w roku 1820, nosi zaś datę 24 grudnia 1819 r. Podpisali ją: Niemcewicz, ówczesny „Prezes Rady administracyjnej a razem wydziału opiekuńczego i wyszukiwania fundaszów“, oraz sześć członków: Plater Ladwik, Łabieński Jan, Kossakowski Józef, ks. Węgierski Maciej, ks. Diehl Karol i ks. Lauber Karol. Treśćwa ustawa posiada tytułów 8, artykułów 36. Obowiązywała aż do roku 1892, w którym, stosownie do zmienionych potrzeb i warunków, przerobiono ją i uzupełniono.

W artykule 35 ustawy pierwotnej znajduje się szczegół ważny. Pomiędzy tymi, którzy „nie należą do przednich starań Towarzystwa“, wymieniono tam „złożonych chorobą obłożną lub zaraźliwą, których wyraźna jest do szpitalów publicznych kwalifikacya“. Dziś zastrzeżenie takie wydaje się nam zgoła zbytecznem, wówczas było rzeczą nie tylko potrzebną, ale — prawie zupełnie nową.

Dopiero w ostatnich latach XVIII wieku tak zwana „Komisya poliecy“ ustanowiła różnicę urzędową pomiędzy szpitalem - lecznicą a szpitalem-przytułkiem. Poprzednio, przez cały szereg lat i stuleci, te dwa pojęcia i te dwie rzeczy łączono u nas w jedno.

Najpierwsze warszawskie „szpitale“ były właściwie tylko przytułkami, gospodami, albo dosłownie: domami gościnnymi dla ludzi biednych (*domus pauperum hospitales*). Nazywano je także z grecka: *xenodochia* (czasem z dodatkiem: *peregrinorum*), co znaczy: gospody pielgrzymów.

Jeszcze w połowie XVIII wieku nazwa „szpital“ służyła w Warszawie wszystkim zgoła rodzajom zakładów filantropijnych. Posiadało zaś ich wówczas miasto aż dziewięć, co dowodzi, jak bujnie po wszystkie czasy krzewiły się u nas uczucia altruistyczne. Oto te zakłady:

1. Szpital dzieci podrzuconych (założony przez ks. Baudočina).
2. Szpital Ś. Łazarza (założony przez Skargę).
3. Szpital sierocy Ś. Benona.
4. Szpital Ś. Ducha przy kościele Ś. Marcina (księżcy Augustyanów).
5. Szpital Ś. Ducha przy kościele ks. Paulinów.

6. Dom Poprawczy (założony przez ks. Rostkowskiego).

7. Szpital ks. Bonifratrów.

8. Szpital Ś. Rocha.

9. Szpital Ś. Kazimierza.

Gdy chciano część tych szpitali „partykularnych“ skupić w jednym miejscu i oddać pod zarząd jednej administracyi, w projektowanym szpitalu „jeneralnym“ pomieścić się miało to wszystko, czem się zajmuje dzisiaj, tak bardzo wyspecyalizowana filantropia warszawska.

Wydana w r. 1758 broszura: „O założeniu Szpitala Jeneralnego w Warszawie; Do całego Narodu Polskiego y W. Xięstwa Litewskiego“ wyszczególnia dziewięć pozycyj, programem owego szpitala objętych. Tłómacząc je na język dzisiejszy, czyli nadając im nazwy, dzisiejszym oddzielnym instytucyom służące, wypada, że w „szpitalu jeneralnym“ miały znaleźć jednocześnie pomieszczenie: Dom podrzatków, przytułki położnicze, ochrony dla sierot, właściwy szpital dla chorób niezaraźliwych, przytułek dla starców i kalek, szpital dla obłąkanych, szpital dla wenerycznych, dom zarobkowy, areszt policyjny. Dodajmy dla ścisłości, że dla pierwszych pięciu oddziałów przeznaczono jeden gmach, a dla ostatnich czterech drugi.

Instytucya wszakże, najbardziej do dzi-

siejszego Towarzystwa Dobroczynności zbliżona (z wielu też względów podobna „Towarzystwu przeciwżebractwu“), powstała dopiero za Stanisława Augusta, za sprawą—cudzoziemca. Był nim baron Le Fort. Opracował on i około roku 1783 wprowadził w wykonanie plan, który zapobiegać miał radykalnie szerzącej się pladze żebractwa.

Przedsięwzięcie, popierane przez króla i możniejszych obywateli warszawskich, rozpoczęło się pod dobrą wróżbą. Za rogatkami Wolskimi stanął gmach, przeznaczony w połowie na przytułek dla niedołączonych kalek i starców, w połowie na dom pracy dla tych, co pracować mogli. Ludzie dobrej woli utworzyli towarzystwo, które stałymi zasiłkami zobowiązało się wspomagać nową instytucję. Zaraz w pierwszym roku ona liczyła 327 członków.

Posiadam ciekawe „Doniesienie“ starościńskie z r. 1785, które okazuje jak gorąco ta sprawa była popierana. Doniesienie, wydrukowane w trzech językach (polskim, francuskim, niemieckim), a podpisane przez ówczesnego starostę warszawskiego, Aloizego Fryderyka hr. Brühla, jest właściwie odezwą do ogółu o składki i ofiary.

„IMĆ Pan Generał Baron Le Fort—powiedziano tam — był najpierwszy, któremu przyszło na myśl przedsięwziąć ustanowienie

instytutu dla ubogich, dla zgromadzenia do niego prawdziwie samych ubogich, odłączenia onych od włóczęgów, dania pierwszym wyżywienia, wypędzenia drugich, albo ich przy-
naglenia do zarobienia sobie na żywność“.

Program, jak widzimy, zupełnie ten sam, jaki nakreśliło sobie nasze Towarzystwo przeciwzembracze.

Na nieszczęście, i baron Le Fort i jego dzieło zniknęli wkrótce z powierzchni Warszawy, jakby ich zdmuchnięto. Dziwna tajemnica to zniknięcie pokrywa. Nawet Sobieszczański, który miał w ręku specjalne do tej sprawy materiały, zagadki rozwiązać nie potrafił. I tylko poczeiwy gadała Magier stworzył na temat barona i zaszytych w łachmanach dukatów anegdotkę, która wszakże krytyki historycznej nie wytrzymuje, stwierdzając jedynie, że w błocie warszawskim po wszystkie czasy obficie leżały się plotki.

Dzieło Le Fort'a przepadło, ale zawarta w niem idea ocalała. Z tej to właśnie idei narodziło się, w ówierć wieku później, warszawskie Towarzystwo Dobroczynności.

Czem jest dziś to ostatnie dla Warszawy, mówić nie potrzebuję. Jest-że wśród moich czytelników choć jeden, któremaby obce były: zakres, wartość i znaczenie tej wielkiej i nieodzownej instytucji?

VII.

O DWORZE „POD GWIAZDĄ“.

Pod oskardem mularskim padła jedna ze starszych pamiątek naszego, odmładzającego się pracowicie, miasta.

Był nią dom „pod Gwiazdą“, na rogu ulic: Senatorskiej i Koziej.

W pojęciu współczesnego warszawianina malownicze godło tej posesyi nadała jej mieszcząca się tam, pod taką właśnie firmą, wielce popularna piwiarnia—w rzeczywistości to godło było znacznie od niej starsze, sięgało bowiem początków XVII stulecia.

A i właściwa historia Warszawy, jako stolicy kraju, rozpoczyna się od daty, niewiele wcześniejszej.

Warszawa w owej epoce, pod względem urządzeń administracyjnych i policyjnych nie była wcale ideałem miasta. Wszelkie tak zwane „porządki miejskie“ bardzo wiele pozostawiały do życzenia.

stawiały w niej do życzenia. Część tylko ulic posiadała nazwy urzędowe, o numeracyi domów mowy nie było. Nie było i być nie mogło, numeracya bowiem taka nastęrczałaby w wykonaniu niezwalczone prawie trudności. Warszawa ówczesna nie stanowiła jednolitej całości, lecz była luźnem skupieniem oddzielnych miasteczek, z których każde rządziło się na własną rękę. Było to podobne nieco do związku niemieckiego—przed Bismarkiem...

Gdyby komu przyszła była wówczas myśl oznaczenia porządkowymi numerami miejskich nieruchomości, musiałyby tworzyć oddzielną numeracyę dla Starej Warszawy, oddzielną dla Nowej Warszawy, oddzielną wreszcie dla każdej z osobna jurydyki.

Nie mogło więc przyjść do tego; nie mogło tembardziej, że nawet nazwiska głównych ulic, placów, przedmieść i kęp na Wiśle nie były ustalone, i że nawet najwydatniejsze miejscowości nazywano coraz inaczej, nie tylko w mowie potocznej, lecz nawet w aktach urzędowych.

Właściwa numeracya domów zaprowadzona została w Warszawie dopiero przy końcu XVIII stulecia. Uchwała tak zwanej „Komisyi brukowej“ z dnia 30 marca 1784 r. zaleciła ją mieszkańcom miasta w liczbie innych niezbędnych zmian i urzędzeń. Było to zarazem hasło do odebrania władzy sądo-

wniczej magistratom oddzielnych jurydyk i uczy-nienia ratusza Starej Warszawy ratuszem głów-nym całego miasta.

Jakże jednak radzili sobie nasi pra-pra-dziadowie z oznaczeniem miejscowości w cza-sach, poprzedzających ową uchwałę?

Radzili sobie w sposób prosty a do-wcipny.

Oto zamożniejsi i pomysłowisi obywatele umieszczali na swych posesjach jakieś znaki lub figury wyrzezane z drzewa, czasem wy-kute z kamienia, które nadawały już raz na zawsze pewną stałą nazwę dworowi, dworko-wi lub kamienicy.

Niekiedy te wyobrażenia były zupeł-nie przypadkowe; czasem jednak zostawały w związku z jakimś wydatnym faktem z ży-cia mieszczanina. Tak na przykład obywatel, trudniący się handlem zamorskim, umieszczał na swej posesyi rzeźbiony misternie okręt; inny, który na jednej z wypraw tureckich od-znaczył się, a może i łup przywiózł z niej bogaty, ozdabiał czoło swego domu głową turka i t. p.

Tak wyróżnione domy otrzymywały zaraz stałe przezwiska: „pod Okrętem“, „pod Tur-kiem“ i t. p., i służyły za punkty wytyczne dla całej dzielnicy miasta.

Mawiano wówczas:

— Słyszeliście? Pono w lochach ka-

mienicy „pod Bliźniętami“ pokazał się bazyliiszek!..

— Pytacie o Kosa, ruśnicarza? Mieszka teraz podle dworu „pod Krzysztofem“...

— Co macie szukać! „Pod Gąsiorkiem“ dadzą wam i izbę ciepłą do przespania, i antał dobrego wina na rozgrzewkę!..

I każdy wiedział, że w pierwszym razie jest mowa o kamienicy na rogu Starego Miasta i Dunaju; w drugim o domu przy ulicy Długiej, w bliskości dzisiejszego placu Kraśńskich; w trzecim o popularnej winiarni, połączonej z domem zajezdny, również przy ulicy Długiej.

Otóż w owej epoce, labującej się w długich określeniach, poza murami miejskimi, przy ulicy *Bykowej*...

— Przy jakiej ulicy? — spyta zdziwiony czytelnik.

— Powtarzam: przy ulicy *Bykowej*...

— Cóż to za nowa ulica?

— Weale nie nowa. Jest to taż sama ulica, która następnie, po wzniesieniu za Zygmunta III kościoła i klasztoru w miejscowości zwanej „Na piaskach“, nazywała się *Reformacka*...

— Ależ ja nie znam i żadnej *Reformackiej*!

-- Przepraszam, znasz ją, czytelniku; znasz ją jednak pod ostatnią — na dziś — na-

zwą: Senatorska. Otóż przy tej ulicy Bykowej - Reformackiej - Senatorskiej, wprost zieleniącej się dwoma rzędami rozłożystych drzew alei...

— Zkądże znów tu aleja?

— Zkąd, nie wiem; wiadomo mi jednak, że gdy zagęściły się na niej mniejsze i większe dworki (a dwa z nich, z modrzewia zbudowane do obecnej chwili istnieją) i gdy król Sobieski w roku 1684, na pamiątkę zwycięstwa odniesionego nad Turkami, wymurował tam klasztor dla sprowadzonych przez siebie zakonników, z tej alei utworzyła się ulica i tę ulicę nazwano *Kapucyńska*...

— Kapucyńska? Nigdy o takiej ulicy nie słyszałem.

— Jest to taż sama, której już na początku zeszłego stulecia, mianowicie w dniu 11 grudnia r. 1808, nadano tytuł *Napoleońska*, na cześć bohatera z pod Austerlitz...

— I ta nazwa obca mi jest zupełnie!

-- A więc, wyrażając się zrozumialej, choć nie historycznie: wprost dzisiejszej ulicy Miodowej, jeden z bogatych mieszczan warszawskich, lub też—co jest nawet prawdopodobniejsze—jeden z przyjezdnych magnatów, potrzebujących w porze sejmowej wygodnego pomieszczenia dla siebie i dla dworzan swoich, wybudował przestronny, drewniany

dwór, nad którym zawiesił drewnianą również, pozłacaną—gwiazdę...

Trudno dociec, co owego mieszczucha, rycerza czy też hreczkosieja, skłoniło do wybrania takiego właśnie astronomiczno-poetycznego znaku; być może wszakże, iż będąc mazurem, chciał blaskiem tego godła okazać światu, że wbrew przysłowiu, nie urodził się pod gwiazdą... ciemną.

Hipoteza to zresztą bardziej felietonowa, niż historyczna.

Nazwisko pierwszego właściciela dworu „pod Gwiazdą“ nie jest nam znane; wiemy natomiast, że w połowie XVII wieku dwór znajdował się w posiadaniu Grzegorza Krakowińskiego *vel* Brukarskiego (dwoistość nazwisk była wówczas bardzo zwyczajna), który jednak nie był snąc zamożnym i do miejsca przywiązany, kiedy go już w r. 1645 nowemu nabywcy odprzedał.

Co prawda, nabywca nie był pierwszym lepszym...

Dość wymienić nazwisko: Krasiński.

Był to mianowicie Jan Kazimierz Krasiński, podówczas kasztelan warszawski i płocki, a nieco później wojewoda płocki i — podskarbi wielki koronny.

Bartoszewicz w swych „Szkicach“ (tom I, str. 306 i następne) kreśli ciekawą sylwetkę tego magnata i dostojnika. Miał to być

człek cichy z pozoru i potulny, w rzeczywistości zaś obdarzony przenikliwym *praktycznym* rozumem i o przyszłości myślący.

Godność wojewody otrzymał od Maryi Ludwiki, w nagrodę za to, że pojął za żonę jedną z jej ulubienie, Amatę Andrault, hrabiankę de Langeron. Przez żonę i przez dostojną jej protektorkę wkradł się w łaski samego Jana Kazimierza, który go do wielu spraw używał i starostwami obdarzał. Podskarbiostwo otrzymał od tegoż monarchy, pokładającego w nim nieograniczone zaufanie.

Wojewoda i podskarbi umiał chodzić nie tylko około publicznych, ale też i około własnych interesów, czego dowodem olbrzymi majątek, który umierając, zostawił synowi Janowi Bonawenturze, inaczey Dobrogostowi.

Tu już tylko nawiasem wspomnieć wypada, że wspaniały gmach na placu Krasińskich, zwany do dnia dzisiejszego „pałacem Krasińskich“, a będący w swoim czasie rezydencyą prawie monarszą, jest właśnie dziełem owego Dobrogosta.

Syn—częstą na świecie koleją—odrodził się od ojca. Wyrzucił na wszelakie zbytki pełną garścią złoto, które rodzic po dukacie przez długie lata gromadził.

Ale wracajmy do dworu „pod Gwiazdą“.

Kasztelan warszawski, nabywszy drewnianą posiadłość, niebawem rozebrać ją kazał

i na jej miejsce wystawił dwór murowany, przestronny, wygodny, jaki w pierwotnym swoim zarysie, z małemi tylko zmianami, dotrwał do dni naszych.

Dwór, nie odznaczający się na zewnątrz niczem szczególnem, miał jednak komnaty przystrojone bogatymi „szpalerami“ (gobelinami) i urządzone z przepychem błyszczącym, choć oszczędnym, niezbędnym dla człowieka, który o wielkiej karierze marząc, musiał przyjmować w swym domu najwyższych dostojników Rzeczypospolitej.

Takie dwory, już z chwilą przeniesienia stolicy do Warszawy i zamieszkania w niej Zygmunta III, zagęściły się po przedmieściach warszawskich.

Z początku panowie lokowali się w dworach mieszczańskich, na czas sejmu wynajmowanych, gdzie bywało ciasno i niewygodnie, i gdzie splendoru szlacheckiego nie można było roztoczyć. Pan mieszkał w dworku, mając często po drugiej stronie (dwory, staropolskim obyczajem, przedzielała się na dwie połowy) krzyżującą rodzinę „łyka“; konie zaś, pojazdy i część większą służby musiał w inne miejsce odsyłać.

Stwierdzają to ówczesne pamiętniki, w których czytamy naprzykład:

„29 Oktobra (1614) przybyliśmy do Warszawy. Księżna (Dolska) prosto pojechała do

Kleeka, a ksiączę stanął u Kosieckiego w Rynku. Byłem razem z księciem, konie zaś moje i czeladź stała na Krakowskim Przedmieściu, nad Wisłą, w domu księcia Pana Podezaszego“ („Pamiętniki Samuela Maskiewicza“).

Krasiński, wznosząc na miejsce drewnianego dworu pałac murowany, miał na celu nie tylko zabezpieczenie się przed niewygoda, lecz zarazem przygotowanie sobie stałej rezydencji w mieście, które obrał za główne pole swych, daleko sięgających, kombinacyj.

W kombinacjach nie przerachował się... I on i syn jego zajęli w stolicy stanowiska najwybitniejsze. O podskarbiostwie Jana Kazimierza już wiemy; dodajmy, że i syn jego Dobrogost doszedł z czasem do wysokiej godności starosty warszawskiego.

W dworze „pod Gwiazdą“ mieszkał podskarbi do samej śmierci, to jest do roku 1668. Nim zamknął oczy na zawsze, pozwolił mu Bóg oglądać wielkie dostojęństwo, spływające na syna (referendarstwo wielkie koronne i starostwo warszawskie), oraz patrzeć na związanie się jego węzłami ślubnymi z Teresą Chodkiewiczówną, wojewodzianką wileńską.

Wesele młodej pary odbyło się z wielką wystawnością. Salony „pod Gwiazdą“ ledwie mogły pomieścić dostojnych biesiadników. Po-

loneza z panną młodą wiódł w pierwsze parę... jego królewska mość Jan Kazimierz.

Po śmierci ojca, Dobrogost Krasiński niedługo już przemieszkiwał we dworze przy ulicy Bykowej. Co starczyło ojcu, dorabiającemu się, nie mogło wystarczyć synowi, który przyszedł na gotowe. Dumny, puszący się, buńczuczny, postanowił wznieść sobie pałac, zaścianający bodajby królewską rezydencję. Miliony ojcowskie pomogły mu do urzeczywistnienia tego zamiaru, i wspaniały gmach, obwiedziony murem jak forteca, już w r. 1676 a więc w 8 lat zaledwie po zgonie rodzica, stanął na pustych dotąd placach, przy ulicy *Szerokiej*...

— Alboż jest w Warszawie ulica tego nazwiska?—przerywa mi znów nazbyt współczesny czytelnik.

— Jest — objaśniam go nawiasem — nie nazywa się już jednak dzisiaj Szeroka, lecz—*Długa*.

Z chwilą przeniesienia się Dobrogosta do nowego pałacu, dwór „pod Gwiazdą“ opustoszał. Opustoszenie uwydatniło się tem bardziej, gdy sąsiadujący z nim dwór Grzybowski (w tem miejscu jest dziś posesya Piotrowskich, zwana „domem Rezlera“) został w czasie najazdu Szwedów spalony i z ziemią zrównany. „Pod Gwiazdą“ mieściła się podówczas może tylko służba Krasińskich,

a może i obey zgoła ludzie bez dachu, którymi roiła się w tej epoce Warszawa...

Ambitny Dobrogost umarł około r. 1709.

Zostawił pięcioro dzieci, z których czworo w młodych latach zeszło z tego świata, przeżył zaś rodzeństwo tylko syn Stanisław, jemu też dostały się na wyłączną własność dobra, kapitały i pałace ojcowskie.

Wówczas też w dziejach dworu „pod Gwiazdą“ nowa zaszła zmiana.

W r. 1715 sprzedał go Stanisław Krasieński Michałowi Gassowi, proboszczowi węgrowskiemu.

Trudno dociec, na jaki użytek nabywał ksiądz dużą posiadłość w stolicy; być może jednak, że to była tylko operacya finansowa, niebawem bowiem widzimy dwór ten odprzedany—Szaniawskim.

Odtąd „Gwiazda“ przechodziła nieustannie z rąk do rąk.

Od Szaniawskich nabywają posesyę Szubalsey.

Od Szubalskich ona przechodzi do Zamoyskich.

Od Zamoyskich dostaje się Balickim...

Około tego czasu dwór „pod Gwiazdą“ czołowemi oknami widzieć mógł scenę awanturniczą, polityczno-powieściową, która rozegrała się tuż przed nim, w ciemny wieczór listopadowy.

Było nią porwanie króla Stanisława Augusta przez trzydziestu konfederatów, którzy zasadzili się nań na placu, przy zbiegu ulic Senatorskiej, Miodowej i Koziej — gdzie dziś wznosi się kiosk, afiszami oklejony.

Przebieg tej politycznej „awantury“ znany jest wszystkim; wszyscy też zapamiętali datę 2 listopada 1771 roku.

Gdy, pominąwszy polityczne znaczenie faktu, zważy się, że napad nastąpił między godziną 9 a 10-tą wieczorem, i że dopiero *post factum* miasto zaalarmowane nim zostało, kwestya wspomnianych już na początku „porządków miejskich“ przedstawi się nam we właściwym, nie wesołym zaprawdę, świetle.

Widoczne jest, że spiskowcy mieli potężnego sprzymierzeńca — w złem, a raczej podobno weale nieistniejącem, oświetleniu Warszawy.

I w samej rzeczy, pomimo bardzo pocieszających w tym względzie postanowień magistratu, kto w owych czasach zmuszony był do wyjścia wieczorem na miasto, a chciał mieć drogę przed sobą rozwidnioną, najpewniej osiągał to za pomocą... latarni lub pochodni, które przed nim własna niosła służba.

Wprawdzie już w roku 1755 ówczesny prezydent Warszawy, Jan Dulfus, zaopatrzył miasto w latarnie olejne i polecił palić je

w godzinach wieczornych nie tylko w bramach miejskich, lecz także przed gmachami ratuszowymi i na placach; wprowadzie w roku 1759 rozporządzenie wznowiono i obostrzono — wszystko to jednak nie przeszkadzało Warszawie tonąć w egipskich ciemnościach, które tylko niekiedy księżyc z łaski rozpraszal...

Sobieszezański, dobry znawca przeszłości naszego miasta, zapisuje w tym przedmiocie fakt bardzo znamienny:

„Musiano (w kilka lat po wydaniu zacytowanych rozporządzeń) przy latarniach oświetlających bramę postawić straż, swawolni bowiem ludzie albo je tłukli, albo całkiem zabierali“...

Któż w owych „swawolnych ludziach“ nie pozna protoplastów współczesnych nam „figlarzów“, przed którymi nie ostanie się ani jeden kwiat w ogrodzie Saskim, ani jedno drzewko wzdłuż ulicy posadzone, ani jeden szyld ozdobniejszy, który można rękami dostać i uszkodzić?

Dopiero po owym listopadowym wieczorze obudziła się większa czujność w tym kierunku, owocem zaś jej było rozporządzenie, nakazujące przybijać latarnie, co trzeci dom, na każdej ulicy, i opalać je połączonym kosztem właścicieli domów.

Ale i o tem rozporządzeniu niebawem zapomniano...

Wracając do dworu „pod Gwiazdą“, w krótkich już słowach zamkniemy jego kronikę, nie obfitującą odtąd w fakty większego znaczenia.

Jak już wiemy, ordynatowie Zamoysey, w których ręku dwór dość krótko pozostawał, sprzedali go Baliekim; od tych ostatnich w r. 1782 nabył go smutnej pamięci Szymon Kossakowski, hetman W. K. L.

Ale niebawem dwór powrócił znów do rodziny Baliekich, która odkupiła go od wierzycieli hetmana.

Na początku zeszłego stulecia, ponownie zmienił właściciela.

W objaśnieniu, dołączonem do znakomitego planu Warszawy Bacha (rytowanego w Dreźnie, roku 1808) znajdując dwór „pod Gwiazdą“ zapisany pod numerem 480, jako *pałac Kuźniców*.

Ostatnimi posiadaczami tego pamiątkowego gmachu byli Szymon Belli i jego sukcesorowie.

Tyle wspomnień historycznych.

W potocznej kronice Warszawy, dwór „pod Gwiazdą“ występuje przedewszystkiem, a może i wyłącznie, jako pomieszczenie wiecej popularnej piwiarni.

Końcowa karta jego dziejów, obficie piwem bawarskim zlana, zdaje się być ćwiartką bibuły, wklejoną do pergaminowego rękopisu. Pomieściłby się mógł na niej jedynie szkic rodzajowy *à la* Kostrzewski...

VIII.

O DOMU PRASTARYM PRZY ULICY BRZOSZOWEJ.

Architektoniczne *nouveautés* z końca i z początku wieku, najczęściej dzieci geszeftu, ożenionego z tandetą, rozpierają się dziś u nas na miejscach najwydatniejszych; czcigodnych zabytków przeszłości szukać trzeba po zaułkach...

Szukanie do łatwych nie należy. Nasze polskie zabytki, oprócz szacownej, wiekowej pleśni, pokrywa grubszą jeszcze warstwą — brud wiekowy.

Trzeba mieć szczerę i silną ukochanie doby wczorajszej, trzeba posiadać żelazną wytrwałość odkrywców, żeby pokonać wszelkiego rodzaju wstręty i przeszkody, jakie przy tych badaniach spotyka się na każdym niemal kroku.²

Historia kultury zapisać powinna przy-

godę, która w ostatnich latach XIX wieku spotkała ś. p. F. K. Martynowskiego w jednej z sień staromiejskich.

Zapalony starożytnik wstąpił tam, żeby nacieszyć się widokiem prześlicznej balustrady schodowej, zabytku polskiej ślusarszczyzny artystycznej z wieku XVI.

W chwili, gdy zatopiony całą daszą w tem arcydziele, odrysowywał je w swym notatniku, stróż miejscowy krążył dokoła, splawając i pomrukując coraz głośniej a gniewniej. Nagle, z podniesioną do góry miotłą, rzucił się na archeologa, krzyząc:

— A pójdiesz stąd, złodzieju! Dam ja ci cudze *kunty* przepatrować!

Martynowski został zwymyślany i siłą na ulicę wypchnięty. Może mu się nawet i miotłą dostało.

Mnie wprowadzie podoby wypadek nie spotkał, dużo jednak wstrętów pokonywać musiałem, chcąc prowadzić ciężkie dzieło odkopywania z pod lawy (czytaj: z pod brudu) polskiego Herkulanum, któremu na imię *Antiqua Varsovia*.

Już samo chodzenie po takich ulicach, jak Kamienne Schodki, Brzozowa, Bugaj i t. p., stanowi pewnego rodzaju bohaterstwo, cóż dopiero, gdy trzeba tam czynić pilniejsze oględziny, wstępować do domów, czynić zdjęcia fotograficzne, rozpytywać, zapisywać.



DOM PRASTARY PRZY ULICY BRZOWEJ.

Jest przy ulicy Brzozowej wielki dom, uderzający samą zewnętrżnością. Dość spojrzeć nań, aby poznać, że co najmniej *pięć stuleci* dźwiga na krzepkich barkach, na wyniosłem czole.

Nad wejściem do tego domu prastarego był niegdyś wmurowany kamień z herbem Baryczków i napisem łacińskim. Wspomniał o tym kamieniu wydawany w Warszawie przed pół wiekiem przez Bolesława Podczaszyńskiego „Pamiętnik Sztuk Pięknych“. Tam również powtórzono ów napis, który brzmiał, jak następuje: *D. O. M. Albertus Baryczka S. R. M. ab expensis avenariis, suo, amicorum et posteritatis usui, civitatis ornamento, a fundamentis posuit anno a partu Virginis 1629.* Opierając się na tym napisie, autor artykułu twierdził, że dom we wspomnianym roku został wybudowany.

Zanim ostatnie twierdzenie poddam krytyce, zaznaczam, że herbu i tablicy z napisem już niema.

Co gorsze, niema i drugiego kamienia, o wiele starszego i ważniejszego, który był wmurowany od strony podwórza. Na szczęście odrysował go był niegdyś z natury ś. p. Adolf Dietrich.

Ostatni kamień był i pozostał dla archeologów i krytyków — zagadką. Data na nim

szanowna: rok 1599. Litery w napisie mają kształt gotycki; sam napis brzmi: *Jesus* (dosłownie *Isuss*) *Maria*.

Tarcza ma kształt niezwykle: trzyma ją anioł z podniesionymi skrzydłami. Nie jest to znak herbowy. Poniżej tarczy wykuto znacznie później, zapewne w wymienionym na drugim kamienia roku 1629, herb Baryczków oraz inicjały A. B. (Albertas Baryczka). Robota niezdatna; pomysł niegodny aczeiwej i rozumnej rodziny starowarszawskiej.

Trudno odgadnąć, jakie koleje przechodziły te dwa, zgoła do siebie niepodobne, kamienie. To wszakże pewne, że jeden przeczy drugiemu. Jakże dom, istniejący już w roku 1509, mógł być wznoszony *a fundamentis* dopiero w 120 lat później?

A i styl tej niezwyklej budowli świadczy o jej starszem, niż wiek XVII, pochodzeniu. Niewiadomo, ile zmian, przekształceń, zbrzydzeń, szkód, pospolitości wniosła tam niszcząca wszędzie, a u nas zawsze zabójcza, fala czasu, ale z ogólnych, zasadniczych linii widzi się, że ten dom pamięta czasy książąt Mazowieckich.

Gdyby starożytności warszawskie były poddawane tym wszechstronnym, krytycznym, umiejętnym ocenom, które stosują się naprzykład do zabytków krakowskich, owa tablica

dostarczyłaby wątku do bardzo ciekawych dochodzeń.

Dom, nawet jak na starą budowlę warszawską, jest niezwykle wysoki. Posiada pięć pięter, choć zmieściłoby się tam ich sześć lub siedem. Już wszakże od drugiego piętra zaczyna się nakrycie dachowe. Na dachu pełno bocznych przystawek. Na różnych wysokościach „facyatki“.

Wogóle ten dom osobliwy niezem nie przypomina typowych kamienic z Rynku Staromiejskiego i ulic przyległych.

Kto wie, czy tablica z aniołem nie została z czoła domu wyrwana i przeniesiona w miejsce pośledniejsze; zastąpiono ją zaś tablicą o 120 lat młodszą, może również z innego domu przeniesioną. U nas pod tym względem działy się i dzieją rzeczy nadzwyczajne.

Już zresztą autor artykuła w „Pamiętniku Sztak Pięknych“ zaznacza, że tablica nosi ślady późniejszego wmarowania oraz ognia. Widocznie zatem dom był dotknięty pożarem, i zapewne po tej katastrofie nastąpiła zmiana tablic.

Czy dom, o którym mówimy (nr. hip. 110, policyjny 22), był zawsze zamieszkiwany?

Jest to w tym razie pytanie zasadnicze i dające podstawę nowym hipotezom. Do czynienia tych ostatnich upoważnia już poniekąd niezwykła zewnątrzność budynku, nieregularny

rozkład i mały rozmiar jego licznych bocznych okienek, wreszcie: położenie prawie nadrzeczne. (Pamiętajmy, że przed kilku wiekami Wisła płynęła znacznie bliżej miasta, że dzisiejsza t. zw. „Prochownia“ stanowiła właściwie przyezółek mostu i t. p.).

Przeglądamy stare, drukowane taryfy, rewizye gospód i inne odnośne materiały i znajdujemy w nich stwierdzenie swych przypuszczeń.

Początkowe dzieje prastarego budynku pozostają nadal pokryte tajemnicą; natomiast z zupełną już pewnością możemy twierdzić, że w wieku XVII i XVIII on był śpichrzem.

Jeszcze w r. 1784 pod tym numerem jest zapisywany „Śpichlerz jw. Szymanowskiego R. K.“ Później dopiero występuje w tem miejscu „dworek“ tegoż Szymanowskiego (następnie Podbielskiego), i ten dworek dopiero w początkach zeszłego stulecia, już za Księstwa Warszawskiego, staje się „kamienicą“.

Istnienie w tem miejscu śpichrza w wieku XVII stwierdza „Regestr rewizyey miasta Starey Warszawy“ z roku 1669. Tam przy opisie „ulicy, *Miedzy Śpichlerzami* nazwanej, idąc do Wisły na zawalę, ku fortecy mieyskiej“, wymieniono pod № 444 „dom Pana Gintera Juliusza *przy śpichlerzu*; izdebka mała, w której dziad mieszka, co śpichlerza pilnaje“.

Ale co na śpichrzu czyniłaby tablica

z aniołem? z imionami „Jezus“ i „Marya“ na tarczy?

Tu właśnie zaczyna się mrok, czekający na rozproszenie.

Zanim znajdzie się taki, co tego dokona, pozwolę sobie zapisać mimochodem wiadomość, usłyszaną od jednego z „brzozowian“, to znaczy: Brzozowej ulicy mieszkańców.

Szukając za wszelką cenę „punkta“ do zdjęcia fotograficznego, znalazłem się na drugim piętrze w domu, położonym naprzeciw, w mieszkaniu starego eks-krawca, dziś zapewne rentyera.

— A! — rzekł, otwierając przedemną uprzejmie okno—to pan chce zdjąć ten stary kościół?

— Kościół?! — powtórzyłem w najwyższym zdziwieniu.

— Ano, miał tam być kiedyś kościół. Kiedym był jeszcze małym chłopcem, mówił mi o tem jeden ksiądz sędziwy, pijar...

Z tą hipotezą nigdzie się dotąd nie spotykałem; nie zapisała jej też żadna z historyj naszego miasta.

Ale owym pijarem mógł być ksiądz Kurowski, pierwszy groda mazowieckiego historyograf, autor cennych, dotąd częściowo tylko wydanych „Pamiętek Warszawy“...

Przypisek. Artykuł niniejszy, wydrukowany w roku 1908 w *Tygodniku ilustrowanym*, zachęcił kilka miłośników Starej Warszawy do poszukiwania wspomnianej przezemnie tablicy z roku 1509. Poszukiwanie dało wynik nadspodziewanie pomyślny. Tablica została w kącie jakimś odnaleziona, i choć pęknięta, dobrze naogół zachowana. Znajduje się obecnie w zbiorach „Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości“.

IX.

O NIEDOSZŁYM PROJEKCIE „ULICY KRÓLA RZYMSKIEGO“.

Warszawa, odwiedzając corocznie Bielany, zastaje tam za każdym razem „wszystko, tak jak było“. I nie tylko: jak było, lecz — gorzej, niż było.

Lasek coraz rzadszy, drzewa coraz niższe, piaski coraz głębsze, kurz coraz nieznośniejszy. Pustynia podrywa coraz bardziej oazę; oaza staje się sama pustynią.

W początkach i w połowie zeszłego wieku na Bielanach działo się lepiej. Warszawa jeździła tam nie tylko raz na rok około Zielonych Świątek, lecz we wszystkie piękne dni wiosny, lata i jesieni. W „Kuryerze Warszawskim“ z owych lat spotyka się nieustannie wzmianki o zabawach, piknikach, podwieczorkach i t. p., odbywanych w lasku Bielańskim.

Masiał tam być wówczas obszerny, re-
chliwy, w jadło i napoje obfitujący, zakład
restauracyjny. Może nawet było ich kilka.
I nie mogły to być tylko „piwiarnie“, skoro na
Bielany jeździli wytworni panowie z wykwin-
tnemi damami, łaknęli zaś wszyscy w równej
mierze świeżego powietrza, jak świeżych kur-
cząt, raków, szparagów, lodów—nie zapomi-
nając, rozumie się, o węgrynie i szam-
panie.

Ułabione miejsce wycieczek, ozłocone
poetyką aureolą wspomnień historycznych,
postanowiono już przed stu laty przyprowa-
dzić do niejakuiego porządku, to znaczy: wy-
prowadzić cokolwiek ze stanu dzikości, któ-
rej tam wówczas było widocznie zawiele.

Lasek, dziś tak łatwy do przejścia „na
wylot“, był wówczas prawie puszcza nieprzej-
rzaną i do przebycia trudną. W gąszczach
nie brakło dzikich zwierząt i dzikszych jesz-
cze opryszków. Wszyscy niemal zbiegowie
z więzień lub też poróżnieni ze sprawiedli-
wością i ścigani przez nią przestępcy tam
przedewszystkiem szukali schronienia.

Zamierzano przeto gąszcze cokolwiek
przerzedzić, drogi w lesie rozszerzyć i wy-
równać, z „kniei“ uczynić „lasek spacerowy“,
stałe miejsce wytehnienia i zabawy dla mie-
szkańców stolicy.

A tu zauważyć trzeba, że Bielany były

wówczas względnie bliższe Warszawy, niż dziś, czyli raczej Warszawa była bliższa Białym Błonom o całą dzielnicę, dziś nieistniejącą, na której gruzach została zbudowana cytadela.

Myśl, może już za czasów pruskich powzięta, ale z roku na rok odkładana, doczekała się narodzin Księstwa Warszawskiego, pogańskiego niemal kultu Napoleona, wreszcie przyjscia na świat jego syna.

Ostatni fakt wprowadził ją na drogę do rychłego arcywystąpienia.

Wiadomo, że pomiędzy rokiem 1806 a 1812 Napoleon był dla Polaków bożyszczem. Nawet gdy bożyszcze upadło, jeszcze w wielu sereach polskich wznosiły się na cześć jego ołtarze.

Hymny, śpiewane u nas wówczas na cześć Bonapartego, były wprost hymnami religijnymi.

Naród, zwracając się do własnych prochów królewskich, zdobywał się na takie zadziwiający inwokacye:

Trzyście wieków w grobie zależany,
Wstań, Lechu, dzisiaj z wieczności siedliska!
Wstań, Bolesławie, Chrobrym od nas zwany!
Powstań Kaźmierzu, z śmierci legowiska!
Jeden swe berło, drugi kartę ziemi,
Ten znów praw księgę, co nadał krajowi,
Wszystkie swe dzieła, przez coście sławnemi,
Rzućcie pod nogi—Napoleonowi!

Lutnie i harfy głosu wyższego (zarazem: piskliwszego i fałszywszego) wydać chyba nie mogą...

Po wyczerpaniu wszelkich możliwych i niemożliwych objawów czci i miłości, Warszawa ofiarowała Napoleonowi—ulicę. Właściwie: ofiarowała nazwę ulicy, przemianowawszy ulicę Miodową na ulicę „Napoleona“. Przez lat kilka ta nazwa była urzędowa, i do-
tąd czytać ją można na kilku planach Warszawy z owego czasu pochodzących.

Gdy w roku 1811 Napoleonowi urodził się syn, postanowiono natychmiast ucześć i jego podobnym hołdem, stwarzając nową „ulicę Króla Rzymskiego“—na Bielanach.

Władze porozumiały się, projekt zatwierdzono—geometra Szpilowski otrzymał polecenie przygotowania odpowiedniego planu.

Te czynności wstępne, rozpoczęte w lipcu roku 1811, przeciągnęły się z nieznanym mi powodów, do wiosny roku następnego.

Szpilowski wykonał zlecenie. Plan jego posiadam w swych zbiorach i pisząc to, mam go przed sobą. Nagłówek planu, rażąco niegramatyczny, (zapewne ułożony przez rysownika, który podpisał się u dołu: „*Sturm fecit*“) brzmi tak:

„Plan Bielan z Projektem zrobienia Ulicy Króla Rzymskiego, sporządzona (tak) w Roku 1812 przez Geometra (tak) Szpilowski (tak)“.

Projektowana ulica-aleja zakreśla olbrzymie niezamknięte koło, którego idealne dopełnienie przechodzi przez klasztor Kamedułów. Wewnątrz tego koła znajduje się inne, mniejsze, będące właściwie łukiem półkolistym, mającym za cięciwę zewnętrzny mur klasztoru.

Są zatem w rzeczywistości dwie wielkie aleje, które łączą ze sobą sześć mniejszych ulic, biegnących w kierunku promieni koła. Aleja zewnętrzna ma w kilku miejscach półkuliste występy, przeznaczone na ustawienie posągów.

Całość przedstawia się pięknie i wspaniale.

Gdyby projekt został wykonany, z bezładnej gęstwiny powstałby prześliczny park, czyniący Bielany jedną z najpiękniejszych miejscowości podmiejskich. W tym kształcie prastary lasek oparłby się lepiej zniszczeniu, i dotrwał do naszych czasów w stanie ówczesnej, może nawet doskonalszej jeszcze, piękności.

Stało się inaczej.

W dniu 28 marca 1812 r. prefekt departamentu warszawskiego przesłał następujące pismo do „Prześwietnej Izby Administracyjnej Dochodów Korony Księstwa Warszawskiego“.

„W skutku odebranego zapewnienia od Prześwietnej Izby Administracyjnej pod dniem

5 lipca r. z., iż zechce być pomocną, aby w celu uwiecznienia pamiątki Urodzin Najjaśniejszego Króla Rzymskiego, w Łasku Bielańskim założoną była nowa ulica do przechadzki, mam honor komunikować P. Izbie sporządzony w tej mierze Plan przez Badaźniczego Departamentowego W-go Szpilowskiego, z prośbą wydania komu wypadnie potrzebnej dyspozycyi, aby, znosząc się z tymże W-nym Szpilowskim, przy nadchodzącej wiosnie mogły być przynajmniej sadzone nowe drzewa w półcyrkule i w ulicach oznaczonych na planie literami *b*, *a*, *e*, i żeby niemniej zasypane były doły, które znajdują się w miejscach, gdzie teraz bywają rozbite namioty, czyniąc przechadzkę bardzo niedogodną.

Koszt na uskuteczenie tego projektu nie może być znaczny, gdyż w samym Łasku znajdują się drzewa młode do obsadzenia nowych ulic pod literami *a*, *b*, *c*, a ze sprzedaży drzew ściętych w ulicach projektowanych pod literami *d* i *e* wyniknie dostateczny fundusz na zapłacenie ludzi do wykopania dołów na sadzić się mające nowe drzewka, jako też na uplanowanie i zrównanie gruntu.

Pochlebia sobie Prefekt, iż powód, dla którego zamyśla się upięknąć Lasek Bielański będzie dostateczny do nakłonienia Prześw.

Izby Administracyjnej, aby projekt ten mógł być jaknajprędzej doprowadzony do skutku.

Rzecz nie cierpi żadnej zwłoki, jeżeli jeszcze w tej wiosnie ulice nowe założone być mają.

Nakwaski“.

Jaki był dalszy przebieg sprawy?

W papierach swych znajduję tylko brulion odpowiedzi na odezwę Nakwaskiego, skreślony własnoręcznie przez Prezesa Izby Administracyjnej po niemiecku.

Prezes odpowiada odmownie.

Izba Administracyjna zawsze będzie gotowa ofiarować swą pomoc w arzezywistnieniu tak pięknego projektu, ale nie w tym kształcie, jak jej przedstawiono. Przysłany plan jest dla niej zbyt trudny, owszem, zgoła niemożliwy do wykonania.

Tu następuje wyszczególnienie owych niemożliwości.

Najpierw, Lasek Bielański jest własnością j. k. mości króla Saskiego i księcia Warszawskiego—rozporządzać się w nim dowolnie nie można. Co więcej, najjaśniejszy pan powierzył tę swoją ulubioną posiadłość szczególnej opiece „Królewskiej Kamery“.

Następnie, żądane odrzewianie ulic i przesadzanie drzew jest rzeczą trudną i niewdzięczną. Stare drzewa przesadzać się nie da-

dzą, w lasku zaś niema szkółki, któraby mogła dostarczyć młodych latorośli. Trzeba-by je sprowadzać z innych lasów królewskich, ale i wówczas nie osiągnięto-by celu, gdyż młode drzewka wśród tak wielkich gąszczów pozabawione światła, nie przyjęłyby się.

Dalej, jest rzeczą więcej niż wątpliwą, czy pieniądze uzyskane ze sprzedaży wyciętych drzew wystarczyłyby na pokrycie tak znacznych wydatków—tembardziej, że ojcowie kameduli mają w lasku swe poręby i wystąpiliby niezawodnie z opozycją i pretensjami.

Wreszcie, zdaniem „Kamery Królewskiej“, twórca planu a wraz z nim Prefektura za wiele obiecują sobie po zamierzonym przekształceniu Lasku Bielańskiego—wskatka bowiem wielkiej nierówności grantu oraz licznych wzgórz piaszczystych, ulice ani nie będą regularne, ani nie odkryją spodziewanych widoków...

Na tem kończą się moje źródła—a prawdopodobnie kończy się zarazem i historia całego projektu.

Przyszły niebawem wypadki ważniejsze, którym sprawy tak drobnego kalibru musiały zejść z drogi.

Projekt „Ulicy Króla Rzymskiego“, choć piękny w sobie, narodowi miły a miastu uży-

teczny, upadł—jakby dla okazania fatalności, ciężącej nad osobą nieszczęsnego księcia, któremu nie udawać się nie miało... •

A Lasek Bielański wciąż jeszcze na upórządkowanie czeka...

X.

O RZADKIEJ BROSZURZE, ZWALCZAJĄCEJ BEZIMIENNY PASZKWIL NA WARSZAWĘ.

Sobieszczański, pierwszy grantowny badacz Starej Warszawy, uprawiając niwę, dotąd przez nikogo prawie nie tkniętą, nie dobył z niej wszystkiego, co dobyć było można; na ile wszakże wystarczyło życie i siły jednego człowieka tego w zupełności dokonał.

I dla tego, napotkawszy broszurę z zaprzeszłego stulecia, nigdzie przez tego czujnego szperacza nie wspomnianą, mam prawo zaliczać ją do rzadkich. Nie rzuca ona wprawdzie nowego światła na żaden ze stwierdzonych dawniej faktów, dla samej już wszakże niepowседневnej formy, a i dla tego także, iż skreślona jest przez cudzoziemca, na pilniejszą zasługuje uwagę.

Broszura, jakkolwiek wydana w Polsce, napisana została w języku francuskim. Tytuł jej całkowity brzmi:

„*Varsovie vengée et son apologie, avec des réflexions morales, politiques et autres*“.

Nazwisko autora nie wymienione; miejsce zaś wydania oznaczono w sposób ogólnikowy: *en Pologne* (1742).

Jak wskazuje sam tytuł i jak szczegółowiej wyjaśnia przedmowa, ta praca podjęta została w celu odparcia i ukarania potwarzy, którą rzucił na Warszawę i jej społeczność inny, również bezimienny autor, francuz, czy też posługujący się francuszczyzną Niemiec, w broszurze zatytułowanej „*Varsovie ridicule*“.

Ostatnia była pamfletem politycznym i towarzyskim, utrzymanym w tonie paszkwiłowym, natehnionym prywatą.

Ów nieprzyjaciel Warszawy, jej mieszkańców i wogóle Polaków — jakiś Franzos, czy Sacher-Masoch XVIII wieku — zbyt czarno wszystko maluje, aby uwierzyć można było w szczerść jego przekonań i sądów. Nazywa Warszawę „*ville sans conséquence*“, twierdzi, że pozbawiona jest praw i obrony, porównywa ją w sposób złośliwy (?) do Rzymu i Paryża, a mieszkańców jej nazywa „szorstkimi, nieogłodzonymi grabijaninami“.

W pesymistycznym zapędzie nie przeba-

eza nawet... Wiśle, mianując ją hańbiąco „ściekiem i kałużą“...

Przypuszczać można, że zawód w jakiejś ambitnie wymarzonej karyerze, stał się głównym powodem napełnienia goryczą tego lichego pisarka. Przeciwnik jego objaśnia, że przypisując swój pamflet jakiemuś magnatowi, liczył na jego łaskę, łaska owa jednak ograniczyła się wyłącznie na tem, że magnat wręczył mu kwotę, wystarczającą na... natychmiastowy wyjazd z Warszawy i kraju. W każdym razie ciekawem byłoby wiedzieć nazwisko owego magnata, którego poglądy z poglądami paszkwilisty musiały, bądź co bądź, pozostawać w pewnem pokrewieństwie.

Obrońca pokrzywdzonego miasta nader gorąco i energicznie zabiera się do walki z przeciwnikiem. Smaga go nie tylko prozą lecz i rymami, a nie poprzestając na własnym dowcipie, ucieka się jeszcze o pomoc do poetów łacińskich, którymi suto swą pracę przystroił.

Po długich, wiele deklamacyjnych tyradach *ad hominem*, kreśli wreszcie dość szczegółowy obraz Warszawy oraz jej mieszkańców stałych i przyjezdnych (szlachty), nie szczędząc i miasta i obywatelom wszelkiego rodzaju „duserów“. Ta część jego pracy jest dla nas najciekawsza — jakkolwiek psuje ją

nadmierny panegiryzm, nazbyt wszystko apięk-szający i powiększający.

Autor zaczyna rzecz od szczyta — od osoby Augusta III.

„Co się tyczy jego pięknej powierzchowności,—wykrzykuje—gdzież znajdzie się człowiek urodziwszy od niego i w którym dzielność duszy odpowiadałaby tak wybornie wdziękowi zewnętrznemu, łączącemu szlachetność z uprzejmością?!”...

Zaraz po królu, zwraca się do szlachty.

„Szlachta polska — nauceza — wyróżnia się z pomiędzy szlachty innych narodów gładkiem obejściem i postępowaniem pełnem wytwornej swobody; przewyższa zaś francuskich nawet notablów wspaniałością pojazdów, mebli i pałaców oraz wykwintem stołu, który należy do najdelikatniejszych i najlepiej zastawianych w Europie“.

Skończywszy z dworacką czołobitnością, przechodzi wreszcie do właściwego opisu miasta, choć i tu nie rozstaje się na chwilę z właściwym sobie, a niewiadomo czy szczerym, entuzjazmem.

„W tej Warszawie—pisze—którą usiłują przedstawić nam, jako wartą śmiechu, wznosi się sto pałaców wspaniałych, przygotowanych najzupełniej do ugoszczenia stu książąt, a te wszystkie pałace, otoczone wielką liczbą do-

mów mieszczańskich, stanowią dopiero przedmieścia właściwej stolicy“...

W tem miejscu, mimo całego patosu, nie może powstrzymać się od krytycznej uwagi:

„Ulice tych przedmieść są szerokie, długie i wybornie wybrukowane; mogłyby jednak, prawdę rzekłszy, być lepiej nieco utrzymywane pod względem czystości“...

Widocznie przysłowiowe błoto warszawskie stanowiło zawsze nazbyt rażącą plagę naszego miasta, aby można było nawet w panegyryku, zamknąć na nie oczy. Jednocześnie wszakże pochwała autor bruki, co jest już czystą fantazją; nie tylko bowiem, wówczas, lecz i za Stanisława Augusta, a nawet w początkach XIX stulecia, dobre bruki stanowiły zbytek, na który pozwalał sobie zaledwie środek Warszawy. Gdzieindziej kładziono kamienie tylko po środku ulicy, pozostawiając po obu stronach przejścia dla pieszych weale nie zabrukowane.

W memoryale, podanym królowi Stanisławowi przy wstąpieniu na tron, objaśnia marszałek Bieliński, przewodniczący w tak zwanej *Komisji brukowej*, że „więcej, niż w czwartej części miasta, bruków nie dostaje“...

Pochlebia więc francuz miastu, tak samo, jak magnatom.

Zaznaczywszy, że przedmieścia połączone są bezpośrednio z miastem, od którego różni

je tylko to, że nie są murem okolone, opisuje Stare Miasto, a właściwie całą staromiejską dzielnicę w sposób następujący:

„Stare Miasto, jakkolwiek szczupłe w stosunku do przedmieść, posiada jednak w obrębie swym dużo ulic, zabudowanych *nieźle wyglądającymi* domami. Te domy otaczają w jednym miejscu rozległy plac, na którego środku wznosi się Ratusz. Niezliczona liczba kupców różnego rodzaju zajmuje się tu sprzedażą wszystkiego, czego tylko żądać kto może“...

O Zamku królewskim pisze:

„Pałac królewski znajduje się w obrębie murów staromiejskich, i składa się z wielu pawilonów, między którymi rozciągają się trzy przestronne dziedzińce, mogące pomieścić zadziwiająco ilość pojazdów, mających po sześć koni w zaprzęgu. Łatwo przekonać się o tem podczas odbywających się tu sejmów“...

„Co się tyczy wewnętrznego urządzenia pałacu, w komnatach jego wygodnie prze-mieszkiwać może król wraz z całą swą rodziną i głównymi ministrami. Oprócz tego znajdują się tam zawsze całe apartamenty przeznaczone na zgromadzenia posłów i senatorów; sala zwłaszcza, w której ci ostatni zbierają się wspólnie z królem, jest jedna z najobszerniejszych i najwspanialszych, jakie można sobie wyobrazić. Położenie pałacu,

podobnie jak obu miast (t. j. Starego i Nowego Miasta), należy wedle mego zdania, do najpiękniejszych w Europie, i prócz Konstantynopola, żadne inne miasto nie przewyższa pod tym względem Warszawy“.

O tem położeniu rozpisuje się szeroko, przyrównywając, pomiędzy innemi, nasz gród do... Neapolu.

„Warszawa — mówi — wraz z przedmieściami swemi rozciąga się na pół mili niemieckiej wzdłuż rzeki Wisły; a jakkolwiek zbudowana jest na rozległej płaszczyźnie (sici) panuje wszakże ponad rzeką w taki sam sposób, w jaki słynny Neapol panuje nad morzem Śródziemnem. Wisła, trzykrotnie tak szeroka jak Sekwana pod Paryżem, oddziela stolicę od niższej znacznie płaszczyzny, przedstawiającej widok cudownie piękny, o którym ten, co go nie widział, nawet pojęcia mieć nie może(!!!). Do drugiego brzegu rzeki przylega drugie miasteczko Praga, które możnaby słusznie zaliczyć do przedmieść Warszawy. Zdaje się też, że ono było w samej rzeczy przedmieściem w czasach, gdy most łączył je z Warszawą“.

O Nowem Mieście pisze, że od starego przedzielone jest jedynie zwyczajną bramą (*une simple porte*). Jest to określenie niedokładne. Pomiedzy Starą i Nową Warszawą wznosił się w opisywanej epoce potężny dwoi-

sty mur, który w innych punktach (głównie od strony Przedmieścia Krakowskiego), zaczynał już sypać się w gruzy, tu jednak trzymał się krzepko. Owa „zwyczajna brama“, przez którą ktoś nieświadomy wyobrażać sobie może coś, nakształt furty, była największą ze wszystkich, Bramą Nowomiejską, istniejącą w punkcie przecięcia się Podwala z ulicą Gołębią.

Ta brama, posiadająca wysoką wieżę czworograniastą, przedłużała się na zewnątrz na łokci 60, do wtórego zamknięcia, obronnymi murami, z których jeden, domami zabudowany, kończył się wieżą, drugi zaś trzema basztami (jedną z nich oglądać można było niedawno jeszcze w podwórzu posesyi zw. „Gdańska piwnica“). Oprócz tego, dla osłony szpitala Ś. Ducha, znajdował się tam jeszcze jeden mur z bramą. Wieże i brama rozebrane zostały dopiero w latach 1791 i 1794, a więc w lat pięćdziesiąt po wyjściu broszury. (Zobacz „Ślady dawnych murów otaczających Warszawę“, w „Bibliotece Warszawskiej“ z roku 1870).

„Nowe miasto — pisze dalej nasz apolo-gista—wydaje się na pierwsze wejrzenie dal-szym ciągiem Starego; w rzeczywistości je-dnak tworzy całość odrębną, gdyż posiada własny ratusz, własną policję i własnych urzę-dników. Oprócz swych świątyń parafialnych, posiada nadto piękne gmachy klasztorne. Księ-

za Teatyni zajmują tam na swój użytek gmach, który z wszelką słuszością nazwaćby można pałacem¹⁾. Ten gmach jest tak obszerny, że pomieścić może jego ekscelencyę nancyusza papieskiego, wraz z całym jego dworem. Szkoły pijarskie znajdują się wprost tego gmachu; wyminąwszy zaś je, wychodzi się na nowe przedmieścia, gdzie wspaniałe pałace następują jeden za drugim. Szczegółowy tych pałaców opis, dostarczyłby treści do grubego dzieła. Mnóstwo (?) szerokich i pięknych ulic, z przepychem zabudowanych, prowadzi nas niezznacznie (*insensiblement*) do Marywila“. (Autor nazywa tę miejscowość: *palais de Marieville*).

Opis gmachów marywilskich niesłusznie utożsamianych z dzisiejszym teatrem, (który zajął miejsce jednej tylko ich części), opracowany szczegółowo i z pewną malowniczością, przedstawia dość zajęcia.

„Ten pałac — są słowa broszury — jeden z największych w mieście, służy za mieszkanie wielkiemu kanclerzowi, którego jest własnością. Pomimo jednak, że właściciel na własną i swego licznego dworu potrzebę, zajmuje nader obszerne apartamenty, znajdują

¹⁾ Klasztor i konwikt Teatynów, wraz z niewielkim kościółkiem, mieściły się przy ulicy Długiej pod nr. 542a i b, tam gdzie dziś tak zwany „dom Elerta“.

w nim jeszcze wygodne pomieszczenie liczne rodziny mieszczańskie, oraz—zwłaszcza w czasie sejmów, — wielka liczba oficerów królewskich. Pałac, którego wszystkie oddzielne pawilony zbudowane są podług jednego i tegoż samego wzoru, posiada olbrzymi dziedzińiec, otoczony trzema rzędami arkad, wzniesionych w ten sposób, że można przejść je swobodnie z jednego końca w drugi, mając nad głową sklepienie a z boku widok otwarty“.

„W Marywila mieści się zadziwiająca ilość sklepów oraz bardzo wygodnych lokali, zajętych przez miejscowe kupiectwo. U kupców tutejszych, dostać można — przepłacając trochę, co prawda — wszystkiego, co stanowi przedmiot zarówno powszedniej potrzeby, jak zbytku“.

„Każdy, kto raz pierwszy w to miejsce przybywa, nie może oprzeć się złudzeniu, że znalazł się wśród małego miasteczka. Co do mnie, przyznaję z całą szczerością, że uległ tej iluzji, zwłaszcza na widok wznoszącej się tam wspaniałej kaplicy, posiadającej ładujący wygląd parafialnego kościoła. Kaplica, w której nabożeństwo odprawia się publicznie, służy głównie dla wygody niezliczonych tego pałacu mieszkańców“.

„Prócz kaplicy, znajdujemy w obrębie gmachu marywilskiego bibliotekę, nader zasobną w dzieła, zarówno liczne, jak starannie

dobrane. Właściciel zamierza oddać tę bogatą księżnicę na użytek publiczny; przyczem pragnie na wzór sławnych miast francuskich i angielskich, utworzyć przy niej stowarzyszenie uczonych“.

Ostatni szczegół jest ważny i nowy. Niestety magnacka łaskawość nigdy nie stała się czynem: ani owej publicznej biblioteki, ani tembardziej owego uczonego ciała, Warszawie oglądać nie dano...

Marnotrawny i nieoglądający się na jutro zbytek epoki saskiej stanowi przedmiot nowych zachwyków francuza.

„Cóż dopiero—wykrzykuje z zapalem—gdybym wszedł w szczegóły wewnętrznego życia wielkich panów polskich!—gdybym powiedział naprzykład, że dom każdego senatora jest małym dworem księcia udzielnego!“

„Nie znajdziecie tu ani jednego prawdziwego dygnitarza, któryby nie posiadał własnej gwardyi przyboecznej, dragonów, kozaków i wszelkiej broni, jaka mu się podoba. Przepych i wystawność w mieście, jak na wsi, przechodzi wszystko, co sobie wyobrazić można. Dość będzie, gdy powiem, że widywałem dostojników, których orszak podróżny składał się z trzydziestu pojazdów, w sześć koni każdy, oraz z eskorty przeszło czterystu jeźdźców szlacheckiego pochodzenia, nie mówiąc o odpowiedniej liczbie wszelkiego rodzaju służby.

Rzecz zresztą podobną *co dnia widzi się w Polsce*“.

Od szlachty przenosi swój zachwyty do mieszczan, od „urodzonych“ do „łyków“.

„Co się tyczy mieszczan warszawskich—mówi—niema wśród nich ani jednego prawie, któryby nie posiadał choćby małego, dwukonnego ekwipażu...“

Dużo miejsca poświęca klasztorom i zakonnikom warszawskim.

„Wszystkie niemal istniejące na świecie zakony posiadają w Warszawie jedno lub dwa pomieszczenia, a każde z nich odznacza się zewnętrznym przepychem i bogatym uposażeniem—przynajmniej w granicach, konstytucjami dozwolonych“.

„Kolegiata, przy której pełni służbę kościelną wielki poczet kanoników, wznosi się w samem prawie sercu Starej Warszawy i tak blisko Zamku królewskiego, że najjaśniejszy pan urządził w niej swą domową kaplicę, do której, wraz z całą rodziną, udawać się może bardzo wygodnie zakrytymi korytarzami“.

„Niemalą korzyść przynoszą sprawie wychowania dwa kolegia wspaniałe, do których z całego kraju młodzież się zjeżdża. Jedno z tych kolegiów prowadzone jest przez jezuitów; drugie zostaje pod zarządem zacnych i uczonych duchownych, od których nazwy bierze swój tytuł: szkoły pijarskie“.

Dalej wychwala autor zgromadzenie misyonarskie, zaznaczając, że jego to staraniem powstał szpital, obsługiwany przez szarytki (*soeurs grises*).

„Ponieważ ten szpital — dodaje — jakkolwiek obszerny, nie był w stanie pomieścić wszystkich biednych, którzy się doń cisnęli, znaleziono środki do urządzenia dwóch innych szpitali, zależnych od tamtego“.

Dobroczynnem było miasto nasze po wszystkie czasy, jak to się okazuje z następnym słowem autora:

„Ludzie biedni posiadają bardzo wiele źródeł pomocy tak publicznych jak prywatnych: a wstydzący się żebrać mogą nawet zapewnić sobie weale przyzwoite utrzymanie z zapomóg, jakie rozdają się peryodycznie w domach wielkich dygnitarzów i mieszczan zamożnych. W tem rozdawnictwie narodowość proszącego jest rzeczą podrzędną: wystarcza być biednym, aby doznać dobrego przyjęcia“.

Zakony żeńskie pozyskały również wielkie uznanie naszego francuza.

O Karmelitkach (klasztor ich i kościół mieściły się tam, gdzie dziś kaplica i inne zabudowania Towarzystwa dobroczynności) — pisze, że surowością klauzury wprowadzają go w zdumienie.

Wizytom oddaje sprawiedliwość, że jakkolwiek mniej od tamtych ciało swe umart-

wiają, stoją jednak na równi z niemi pod względem świątobliwości.

O Sakramentkach, których klasztorne zacisze zbliżka oglądał, mówi co następuje:

„Ten klasztor jest zbudowany w obrębie Nowej Warszawy, nad samą Wisłą. Na przestrzeni, oddzielającej zabudowania klasztorne od rzeki, urządzono piękne tarasy, trawniki i kwietniki, stanowiące przyjemne a szalenie od świata odgradzone miejsce przechadzki, godne wspaniałomyślności monarchini, której kosztem zostały zaprowadzone. Gmach, w którym mieszkają zakonnice, odpowiada w zupełności owym tarasom. Kościół sam, odznaczający się silną budową, posiada nadto wewnątrz ozdobione najeudowniejszemi (i) dziełami pędzla. Zgromadzenie składa się z trzydziestu dziewięciu znakomitego rodzaju“.

Ten zakon szczególnie zachwyca autora.

„Chciałbym skreślić — pisze — wierny obraz tego budującego i podziwu godnego życia, jakie wiodą świątobliwe damy, ale pióro zbyt słabe do takiego zadania, wypada mi z ręki. Przytem, obawiam się zadrasnąć ich skromność bezprzykładną“.

Wzmiankuje dalej o szczególnej opiece, jaką otacza zakon Sakramentek królowa, i o poufnych odwiedzinach, które siostrom zakonnym składają jej córki. Ta wzmianka unosi go też zaraz w sfery inne. Zaczyna palić ka-

dzidla rodzinie Augusta III, w której wszystko jest „wspaniałe, zadziwiające, szlachetne i bezprzykładne“. W żyłach królewien płynie krew „najczystsza w całym świecie i najszlachetniejsza; zdają się współzawodniczyć ze sobą i prześcigać wzajem w myślach i czynach godnych czei najwyższej“...

Po długiej litanii pochwał, uniżony dworak zdobywa się wreszcie na zadziwiający frazes: „Są one (królowny) tego rodzaju, że żadną miarą nie można wydać o nich dokładnego sądu“ (?). I dodaje jeszcze w sposobie zamknięcia:

„Cnota ich kierowana jest przez rozum; sprawiedliwość rządzi ich wspaniałomyślnością; dobroczynność ma przewodniczkę w roztropności“.

Sensu niewiele — ale co za dobór określeń!

Jeśli wysławianie córek królewskich obudza tak wielki dar krasomówstwa w naszym francuzie, o ileż wymowniejszym czynić go musiała osoba samego monarchy... I w samej rzeczy przechodzi on tutaj samego siebie.

Pochwałę Augusta III rozpoczyna swym zwyczajem od wyznania swej nieudolności wobec tak wielkiego przedsięwzięcia; zamiast jednak po tem wyznaniu naprawdę odłożyć pióro, na osiemnastu stronicach kreśli nadęty i przesadny panegiryk, w którym przyrównywa

pospolitego, ospałego sasa do największych mężów starożytności.

Zachwyca go w nim wszystko—nawet powierchowność, którą jak wiadomo, przypominał bardziej Bachusa, niż Apolina...

„Nie było dotąd śmiertelnika — woła z patosem — na którego licach łączyłaby się słodsza łagodność ze wspanialszą wyniosłością. Majestat, z twarzy jego bijący, wskazuje odrazu, że stworzony został do panowania innym; słodycz błyszcząca w oczach poucza, że przeznaczeniem jego: zdobywać sobie miłość i uwielbienie wszystkich“.

Czytając te dworackie pochlebstwa, prawie połowę broszury zajmujące, przypuszczać można, że dla nich to głównie cała praca została podjęta. A mogła mieć ona widoki powodzenia, gdyż cudzoziemcy, dobrze widziani na dworze, dochodzili wówczas bez trudu wielkiego do znaczenia i fortuny. Niemcom przedewszystkiem, a po niemczech: francuzom i włosom dobrze działało się za Sasów w Rzeczypospolitej, co stwierdził sam autor broszury, w następnej strofie jej rymowanego dzieła:

Mille et mille étrangers, tous gens d'un vrai mérite,
Viennent journellement y fixer leur séjour;
L'amour de la patrie en vain les sollicite
Et je n'en vois pas un songer à son retour.

Co prawda, te rymy, jeśli składają po-
chlebne świadectwo naszej gościnności, w nie-
zbyt korzystnym oświeceniu stawiają nadu-
żywających jej przybyszów. Tak zasmakować
w cudzym chlebie, żeby aż dla niego wyrzec
się własnej ojczyzny — nadto już przypomina
hasło: *ibi patria ubi bene*.

A do tej kategorii łatwo przystosowują-
cych się filozofów musiał należeć i nasz
chwalca—widocznie bowiem bardzo mu na tem
zależy, aby pozyskać możliwych przyjaciół i za-
pewnić sobie w stolicy w Rzeczypospolitej wy-
godne leże...

Jednak czując, że przy tylu słodyczach
nie zawadzi choćby maleńkie ziarnko pieprzu,
ośmiela się przy końcu swego obrazu War-
szawy, wyrazić—w formie własnego pragnie-
nia i uprzejmej dla innych rady — kilka kry-
tycznych uwag.

Pisze mianowicie:

„Ze wszystkiego, com powiedział, jasno
wypływa, że nigdy jeszcze żadna satyra nie
była tak całkowicie pozbawioną słuszności
i sensu, jak owa, którą na tem miejscu zwał-
czałem. Poprosta, pojąć nie można, jak autor
owej satyry mógł w sposób tak zdumiewają-
co niezrozumiały wszystko w niej wywrócić
na nieel! Wszelako wyznać trzeba, że aby
uczynić pobyt w tej stolicy jeszcze przyje-

mniejszym, wypadaloby wypełnić dwa dotychczasowe jej braki“...

Jednym z owych „braków“ nazywa niedość częste przebywanie w Warszawie Augusta III, (co jest fałszem, gdyż leniwy sas, który po ojcu swym ani żywej wyobraźni, ani ruchliwego umysłu nie odziedziczył, przez całe lata nie ruszał się ze swego pałacowego gniazda); za drugi, słuszniej daleko, uważa: porządki administracyjno-policyjne, na których miastu naszym po wszystkie czasy zbywało.

Tu, w formie nader oględnej, zaznacza przedewszystkiem, że organy wykonawcze miejscowej magistratury nie są dość silne, aby zmusić mieszkańców do utrzymywania domów i ulic w czystości.

Jaką była owa czystość pociąga fakt, że na ulicy Błońskiej, *vel* Szerokiej, *vel* Długiej, częściowo tylko zabrakowanej, przed Arsenalem czyli „Cekhauszem“, (gdzie dziś Dom badań), znajdowała się wielka nakształt sadzawki i *nigdy nie wysychająca* kałuża!

O tem jednak dworski francuz nie wspomniał.

Zaznacza dalej, że zaprowadzenie latarni, któreby rozjaśniały noce ciemności, również „wydaje mu się“ rzeczą potrzebną; uważa też, że prócz nich, przydałyby się miastu i patrole, nad bezpieczeństwem publicznem czuwające...

Ostatnie życzenie nie prędko zostało

spełnione. Patrole wojskowe, które w porze nocnej przebiegały miasto, strzegąc mienia i życia obywateli, zaprowadzono dopiero w roku 1792. A musiały być wówczas już gwałtownie potrzebne, skoro podróżnik Schulz, zwiedzający w tej epoce Warszawę, pisze:

„Niema tu ani stróżów nocnych, ani patroli, policya nie dowiadaje się o ludziach przybywających do miasta, wskatka czego bezpieczeństwo publiczne pozbawione jest wszelkiej opieki, kradzieże zwiększają się nieustannie, a i o morderstwach już słyhać“...

Resztę broszury *Varsovie vengée*, wypełniają wiersze moralizatorskie, niemające żadnej z główną jej treścią łączności.

XI.

O ULICY WĄZKIEJ.

Warszawa, z każdym dniem staje się... wygodniejszą. Chciałem napisać: piękniejszą, ale mi się pióro na tym wyrazie poślizgnęło. Zresztą pojęcia piękności są względne, i nie każdy z warszawian jednakowo ją sobie wyobraża.

Otóż Warszawa staje się wygodniejszą. Rzecz to pocieszająca. Szkoda jednak, że na ofiarę wygodzie poświęca się u nas tak wiele zabytków przeszłości i często drogocennych pamiątek.

Stare gmachy znikają z powierzchni naszego miasta tak szybko, że wkrótce wielowiekowy gród mazowiecki będzie wyglądał jak salon dorobkiewicza. W takim salonie wszystko błyszczy, bo nowe, bo nie pozostawione przez ojców i dziadów, lecz świeżo po sklepach skupowane.

Niedawno Warszawa straciła jedną ze swych dawnych uliczek—niepozorną, cichą, ale posiadającą urok archaiczności, a nawet na swój sposób malowniczą.

Uliczka, łącząca Podwal z Długą i głównie dla wygody pieszych służąca, miała szerokości nie więcej, niż dziesięć kroków, nazywała się też słusznie: Wązka.

Wązkość tej przecznicy, a właściwie tego zaułka, przez dwa wieki nikomu nie wadziła. Piesi chadzali środkiem lub pod murami, poszturgując się wzajem więcej lub mniej delikatnie; dorożkarze przy wymijaniu się dawali upust swemu niewyczerpanemu krasomównstwu—i było dobrze.

Ale co wystarczało piechaczom i dorożkarskiej „sałacie“, nie mogło wystarczyć tramwajom. I właśnie dla wygody tramwajów uliczka Wązka przestała *de facto* istnieć. Rozszerzono ją tak bardzo, że dziś miałaby słuszniejsze prawo do miana „Szeroka“.

Ofiarą wygody padła w tym razie wielka posesya, której boki zajmowały całą jedną połąć uliczki, i która posiadała dwa czoła, weale do siebie niepodobne: jedno od Podwala, drugie od Długiej.

Wspomniałem o dwuwiekowym istnieniu uliczki Wązkiej. W istocie, ona nie była ani młodsza ani starsza nad te lata. Może w wieku XVI i wcześniej biegła tędy zwyczajna,

płotami ogrodzona dróżka, krórá, wydostawszy się za mur miejski przez bramę „Boczną“ (a wylotu Dunaja), kierowali się ludzie ku ulicy „Szerokiej“ albo „Błońskiej“ (dziś Długa), istnienie jednak właściwej uliczki zaczyna się dopiero z początkiem wieku XVIII.

W tym to czasie, mianowicie w r. 1702, przy ulicy Błońskiej, właśnie na samym rogu owej dróżki, stanął piękny pałac. Wybudowali go zamożni mieszczanie Witthofowie, do patrycyatu Starej Warszawy liczący się, skupiwszy grunty drobnych posiadaczy, leżące w bezpośredniem sąsiedztwie klasztoru ojców Paulinów.

Budowa pałacu trwała dwa lata, co dowodzi, że nam już wówczas na dobrych i energicznych rzemieślnikach nie zbywało.

Witthofowie (spolszczani obyczajem ówczesnym na Wittów), w pałacu swym nie zamieszkali. Mieszczanie *Antiquae Civitatis Varsoviensis* nigdy w pałacach nie mieszkowali. Piękny gmach, zaraz po ukończeniu, został przez nich darowany Szulendorfowi. Popęd do darowizn był Witthofom jakby wrodzony. Jeden z nich obdarzył Jezuitów wielką narożną kamienią w Rynku, w której oni pomieścili swe *Collegium*.

Ale i Szulendorfowi, który należał w połowie przynajmniej do mieszczanstwa, było nieswojsko w siedzibie pałacowej. Niebawem

odstąpił ją (nie w podarku zapewne) Konstantemu Szaniawskiemu, biskupowi kijowskiemu. Wówczas dokonano pierwszej przebudowy gmachu, który w zmienionym kształcie dotąd stoi, mieszcząc w sobie obecnie Sąd Handlowy.

Około roku 1721 przebudowany pałac nabywa od księcia biskupa Jan Szembek, kanclerz wielki koronny.

W posiadaniu Szembeków gmach pozostaje przez pół wieku blisko, poczem przechodzi na własność Stanisława Mycielskiego, starosty lubiatowskiego.

Żadne z wymienionych dotąd nazwisk nie utrzymało się w pamięci warszawian. Ten zaszczyt przypadł w udziale dopiero szóstemu nabywcy posesyi, którym był Filip Raczyński, generał wojsk Rzeczypospolitej. Przypadł może dlatego, że on sam nazwisku swemu dał rozgłos, kładąc je na czole nabytego i powtórnie przebudowanego gmachu.

Przez długie lata, wielki, metalowy napis głosił światu, że ten gmach to „Pałac Raczyńskich“. Później generał rozmyślił się i nazwał swą posiadłość skromniej: „Dom Raczyńskich“.

Wówczas i biegnąca bokiem pałacu uliczka nazywała się: Raczyńska.

Nazwisko rodziny, która miała głośnych i zasłużonych społeczeństwu przedstawicieli,

długo przechowywało się w tradycjach ludu warszawskiego. Dziś jeszcze znaleźć można w dzielnicy staromiejskiej obywateli dawnej daty, dla których Sąd Handlowy mieści się w „pałacu Raczyńskich“.

W rzeczywistości ten pałac nie istnieje już od roku 1828. W owym czasie kupił go rząd na pomieszczenie Komisji Sprawiedliwości.

Cały lewy bok uliczki Wązkiej (wehodząc od Długiej) wypełniają oficyny tej wielkiej posesyi.

Mniej głośną i w mniej głośne nazwiska obfitującą jest kronika posesyi przeciwległej, zburzonej i na zawsze już z planu miasta wymazanej.

Ta posesya była już stąd niezwykła, że pochyły grunt, na którym ją wzniesiono, był zniwelowany za pomocą wysokiego nasypu od strony Podwala. Na tym to nasypie znajdował się rodzaj ogrodu wiszącego, do którego wechodziło się od ulicy furtką, po stromych, drewnianych schodach. Przechodzącą uliczką Wązką widzieli w tem miejscu, na wysokości pierwszego piętra, wychylające się zponad parkanu duże, stare drzewa. Była to jedna z osobliwości Warszawy, dzięki której ten punkt miasta przypominał uliczki miast południowych, rozzielenione wysokimi tarasami.

Dziś wznosi się na tem miejscu, na zna-

cznie uszczuplonej przestrzeni, najpospolitszy w świecie dom dochodowy.

Ciekawa posesya, którą zburzono, choć posiadała jeden numer hipoteczny, składała się w rzeczywistości z dwóch odrębnych połów.

Od ulicy Długiej wznosiła się zwykła duża kamienica, z zadziwiająco obszernym dziedzińcem, z którego wykrajanoby tuzin co najmniej dzisiejszych podwórzowych studzienek.

Od Podwala był wspomniany tarasowy ogródek, a w głębi ogródka wielki dwór o przestronnych komnatach, gdzie przez całe lat dziesiątki mieściła się piwiarnia.

Kamienica nie należała do bardzo starych. Wzniesiono ją w pierwszych latach zeszłego stulecia (wymieniona po raz pierwszy w taryfie z roku 1807), posiadała też w swej zewnętrzności wszystkie znamiona owej epoki.

Wystawił kamienicę Karoli, on też był posiadaczem i drugiej części posesyi, mianowicie owego „dworu“, choć o tem taryfy z końca XVIII w. nie wspominają.

Jest to ten sam Krystyan Karoli, zegarmistrz i mechanik warszawski, którego portretował Orłowski w ciekawej, odnalezionej niedawno akwareli (podobiznę jej podały krakowskie „Wiadomości archeologiczno-numizmatyczne“ Bartynowskiego p. n.: „Orłowski w gronie swych przyjaciół warszawskich“)

i do którego ciekawe listy rymowane pisywał Marcin Molski.

Taryfy z lat: 1784 i 1797 wymieniają jako właścicieli dworu: Kicińskiego generała i Przysuchowskiego (właściwie Przyszychowskiego; ciekawe o nim szczegóły znaleźć można w „Teofraście Polskim“ Henryka Rzewuskiego); zapewne jednak byli to tylko długoletni dzierżawcy dworu, po dzisiejszemu „lokatorowie“.

Ten dwór posiadał jedno wspomnienie, które ma za długą kronikę bezbarwnych szczegółów wystarczy.

Tu przez długie lata mieszkał Stanisław Trembecki.

Wielki, dotąd przez jednego tylko Mickiewicza właściwie poznany i uznany poeta, pod drzewami tego ogrodu, które tak obojętnie zrabano i w ogień rzucono, dni całe spędzał na czytaniu klasyków łacińskich oraz naszych pisarzy „okresu złotego“, częściej jeszcze na samotnych, głębokich rozmyśleniach o początku i końcu nie tylko republik, lecz i świata całego...

Dotychczas po anegdotycznych, a nawet, niestety! i krytycznych historyach naszej literatury, pokutuje *karykatura* Trembeckiego: hulaki, pojedyńkarza, kobieciarza, przedajnego dworaka i nieponia... Czas wielki, aby na podstawie zgromadzonych już dowodów, wy-

malował kto prawdziwy wizerunek poety, takiego, jakim był w rzeczywistości, w owym, cichym podówczas, drzewami ocienionym, a później pijackim hałasem szynkowni sprofanowanym, dworze.

Szkoda mi tego dworu i tych drzew!

Już dla tego, że w tych miejscach największy polski poeta wieku XVIII, „częstkę swej duszy zostawił“, one były uświęcone, i należało się im poszanowanie.

Ale trudno. Wygodzie tramwajów stać się musiało zadość. Jest to dla naszych czasów, a przede wszystkim dla naszego miasta, *suprema ratio*.

XII.

O SEWERYNOWIE.

Przez sześć dni w tygodniu na Sewerynowie panuje pustka i milczenie. W jesienne i zimowe wieczory dołącza się do nich ciemność, sprzyjająca włóczęgom, niebezpieczna dla przechodniów.

Ale przedewszystkiem: co to jest Sewerynow?

Każdy z mieszkańców wie, że ta nazwa służy placowi, a raczej dwom placom, leżącym po obu bokach obszernej, nie tyle wysokiej, co długiej, i nie tyle pięknej, co praktycznej, posesyi, której właścicielem jest dziś książę Czetwertyński.

Nazwa narodziła się prawie równocześnie z posesyą, liczy więc prawie tyleż lat, co ona, to znaczy: niewiele więcej ponad półwiecze.

Gmach, dziś tam stojący, wybudował hr. Seweryn Uruski, i jego to imię atrwało się w nazwisku tego całego „obejścia“. Nie wybudował wszakże gmachu od zrębów (*a fundamentis*, jak ongi w Starej Warszawie mawiano i na tablicach kamiennych wypisywano) zastał już bowiem gotowe i zręby i mury — wszystko co prawda, w ruinie.

Kronika niniejszego gmachu, wypchanego lokatorami jak śledziami, i ztąd znaczny dochód przynoszącego właścicielowi, nie posiada kart ciekawych — chyba tę jedną tylko, że tu kiedyś, w ciasnym mieszkanie, z liczną rodziną i liczniejszym jeszcze księgozbiorem, dusił się i pracował znakomity Julian Bartoszewicz, i że tu zapewne przyszedł na świat jego syn Kazimierz, utalentowany publicysta i historyk. Natomiast ciekawe są dzieje owych „ruin“, na których ta pakowna posesya wyrosła.

„Dynasami“ nazywamy dziś jedynie miejsce, w którym osiedli cykliści warszawscy. Przed półwieczem, zanim jeszcze hr. Uruski ochrzcił swój gmach i place przy nim własnym imieniem, powyższa nazwa i do nich się stosowała.

Wszystko, co leży w czworoboku, zamkniętym ulicami: Aleksandryą, Oboźną, Topielą i Tamką, prawy syn Warszawy nazywał

niegdyś: „Denasowskie“, „Dynasowskie“, lub wreszcie: „Dynasy“.

Źródłosłowem tych wszystkich imion było nazwisko rodziny książęcej de Nassau, znanej naszemu ogółowi choćby tylko z opowiedanej przez Wojskiego w „Panu Tadeuszu“

Historyi o dziku Nalibockich lasów
I o kłótni Rejtana z księżciem Denasów...

Ów „książę Denasów“ jest tym właśnie, o którego nam tu chodzi — tym, co upamiętnił się w historyi Warszawy przechowaną do dziś nazwą.

Zapalony myśliwy, podróżnik, hulaka, pojedykacz, przygód niezwykłych poszukiwacz, ów książę uosabiał dość pospolity w XVIII wieku typ tak zwanego *aventurier*, co się u nas niedość ściśle tłómaczy przez „awanturnik“.

Niezwykły żywot księcia opowiedział zajmująco Bartoszewicz w „Znakomitych mężach XVIII wieku“ — dziele, w którym jest wszystko doskonałe, prócz... tytuła. Bo czyż można naprzykład „znakomitym mężem“ zwać magnata, który całe życie przestrzelał, przepił, przeawanturował, a przechwalając się z zabijania oszczepami lwów w Afryce, stehórzył sromotnie przed niedźwiedziem w puszczy litewskiej?..

Książę de Nassau, spolszczony przez Mickiewicza, w duchu języka naszego, na Denasowa, ożenił się z wdową po wojewodzie podlaskim, jmépanią Karoliną Gozdzką. Do wiana wojewodziny należał, między innymi, obszerny dwór drewniany w Warszawie, stojący na wyniosłym wzgórzu nad Wisłą. Był to dwór piękny i mocny, cały z modrzewia, sięgał zaś swym początkiem pierwszych lat XVII—może ostatnich XVI — wieku.

Ten dwór, niebawem po powtórnym ślubach wojewodziny, spłonął.

Książę-małżonek upodobał sobie miejsce, z kąd piękny roztaczał się widok na powiśle i zawiśle; na świeżem pogorzelsku kazał budować nową dla siebie siedzibę. Miał to być już nie dwór, lecz pałac; za materiały do niego nie modrzew brano, lecz cegły, marmur, bronz.

Z pałacem księcia stało się, niestety, to samo, co z jego przygodą litewską w opowiadaniu Wojskiego: nie miał być nigdy dokończony...

Książę zmarł w 1809 roku, gdy budowa była zaledwie do połowy doprowadzona. Niebawem za mężem poszła żona. Dzieci nie było — niewykończony pałac, będący raczej ciężarem, niż dobrodziejstwem, odziedziczyła wychowanka, pani Batiagin, która, rozumie

się, o kończeniu kosztownego przedsięwzięcia ani pomyślała.

I wówczas to do osobliwości Warszawy przybyły „Dynasy“, rzecz w swoim rodzaju jedyna: ruiny pałacu, który nigdy nie był pałacem...

„W ruinach pałacu Dynasowskiego (opowiada w jednej ze swych przygodnych notatek ś. p. Julian Heppen) mieszkali biedni ludzie, między innymi niejacy Gwizdalewicz, którzy trudnili się wyrobem garnków. Cała przestrzeń dokoła nie była ogrodzona, a przystęp do niej główny stanowiła ulica Aleksandrya. Rosła tu trawa i zielsko, gdzieś tam napół uschłe drzewko; pasły się krowy i kozy; na sporym stawie latem pływały gęsi i kaczki, w zimie była ślizgawka...“

Dodajmy, że w obszernych podziemiach pałacu odbywały się schadзки tajemne — podobno pozostające w związku z wolnomularstwem, przez cesarza Aleksandra I urzędowo i nas skasowanem.

Jak odludne i dzikie było to miejsce dowodzą dwa potoczne ale znamienne fakty. Dynasy były schroniskiem włóczęgów poróżnionych z prawem i sztubaków pokłóconych z... nauką. Pierwsi mieli tu swoje nocne obozowiska, drudzy przybywali za dnia, podczas godzin szkolnych na „palanta“ oraz inne gry

i zabawy. Jedni i drudzy czuli się na Dynasach dostatecznie zabezpieczeni od pościgu. Jednocześnie na pochyłości wzgórza cała armia bosonogich obdartasów uzbrojonych w łopaty ryła głębokie rowy i doły. Byli to warszawscy piaskarze, zwani inaczej „piaskauery“, zaopatrujący się w piasek „polowy“.

Całe dziesiątki lat trwała ta idylla...

W najdawniejszych drukowanych taryfach warszawskich, numery hipoteczne 2779 i 2782 są zapisywane dwukrotnie, przy dwukrotnem również wymienieniu jaśnie oświeconego księcia de Nassau jako właściciela.

Od 1807 roku, a więc jeszcze przed śmiercią księcia, nr. 2782 rozdziela się wyraźnie na 2782a i 2782b, przyczem, obok „pałacu“ książęcego pojawia się „dom drewniany“ jakiegoś Bauera. W 1821 roku przy pałacu czytamy nazwisko pani Butiagin (piszą je również Bataquin). Bauer wciąż trwa przy swym skromnym, drewnianym domku. Ale w dziesięć lat później domek staje się już kamienią, i w ręku tegoż Bauera widzimy go jeszcze w 1850 roku. W końcu — jak to bywa zawsze przy wytrwałości i rzadności — ten domek rodzi inne, większe od siebie domy, bogacąc taryfy późniejsze literami *c*, *d* i t. d.

Tymczasem „Dynasy“ zmieniły właściciela. Pani Batiagin czy Bataquin wychodzi za mąż za hr. Cetnera, a dzieci jej sprzedają osobliwe ruiny jakiemuś Szweneichowi. Szweneich trzyma je zaledwie dwa lata i odprzedaje hr. Sewerynowi Uruskiemu—od którego zaczynają się dzieje dzisiejszego, właściwego Sewerynowa.

*

*

*

Hr. Uruski, nabywając ruiny pałacowe, nie miał bynajmniej zamiaru wyprowadzania z nich nowego pałacu. Posiadał już go zresztą gdzieindziej. Trochę ekonomista (w praktycznym znaczeniu tego wyrazu) założył sobie cel bliższy i użyteczniejszy: postanowił uczynić Sewerynow jednem z ognisk handlowych Warszawy.

Być może, iż w projektach hrabiego nowy gmach i przylegające doń place miały stać się nowym „Marywilem“ — owym kotłem olbrzymim, w którym gotowało się ongi, zarówno dnem jak nocą, wszystko, czem za pieniądze nasycić można różnorodne smaki i głody—gdzie „traktyernie i księgarnie, artyści i rzemieślnicy, tandeciarze i bankierzy pospołu się mieścili...“ Cokolwiekby, sam

kształt i rozkład gmachu wskazują, że miał być—bazarem.

W opisie Warszawy z r. 1852 o numerze 2779 powiedziano: „Pałac hr. Urskiego Seweryna (dawniej *Denassowskie*). — Gościnny Dwór.—Sklepy dla kramarzy. — Jatki rzeźnicze.—Rynek Sewerynow.—Targ dla przekupniów i fur z produktami przybywających“.

Plany hrabiego tylko częściowo dały się urzeczywistnić. Stały im na przeszkodzie dwie okoliczności: sąsiedztwo „Ordynackiego“, gdzie ruch handlowy oddawna się skupiał i z każdym dniem potężniał, oraz położenie, choć wygodne i dogodne, ale — na uboczu.

Warszawiacy i warszawianki nie lubią zbaczać. Drogą prostą, szeroką, „pryncypalną“, zajdą choćby na koniec świata, a przynajmniej... na Nalewki—konieczność wszakże zrobienia kilku kroków w prawo lub lewo już ich zniechęca.

Próba ze sklepami nie udała się. „Gościnny Dwór“ upadł, przekazując nazwę i treść swą dawnej halli targowej za Żelazną Bramą. Jatki rzeźnicze istnieją, lecz tylko w pewnych godzinach otwierane i znoszące z trudnością współzawodnictwo „Ordynackiego“. Furry, właściwie wozy, stawają niekiedy w dniu powszednie, czekając (zwykle bardzo długo), czy kto z ich usług nie skorzysta. Pod dłu-

gą kolumnadą osiedli zwykli „lokatorzy“, przeważnie rzemieślnicy, poprzeraławszy sklepy na warszaty i mieszkania... Z całego programu ocalał tylko i nadspodziewanie rozwinął się: „Targ dla przekupniów“—choć i jego dni już policzone.

XIII.

O KOŚCIELE BRYGIDEK.

W roku 1892, przy zbiegu ulicy Długiej z Nalewkami, zostały rozebrane t. zw. „Warstwy artyleryjskie“. Warstwy mieściły się w murach dawnego kościoła i klasztoru. Do tej posesyi należał także wązki zaułek od strony ulicy Długiej, murem i bramą zamknięty, a oznaczany zwykle mianem: „uliczka bez nazwy“.

Słów kilka o tym kościele i o tym zaułku.

Aż do połowy wieku XVI znajdowały się w tem miejscu rozległe pastwiska miejskie. Zwały się „Wygon“, albo „Stegno“, po łacinie *Expulsorium civile*. Pod tem nazwiskiem są często w starych aktach i lustracyach Warszawy wspomniane.

Ulica Nalewki była wówczas gościńcem. Jako gościniec wspomniana jest też znacznie później, bo jeszcze za Jana Kazimierza.

Otóż przy owym gościńcu, w punkcie jego zetknięcia z ulicą Szeroką albo Błońską (dziś Długą), około r. 1540, sławetny Jan Karnof, złotnik i rajca warszawski, wystawił kaplicę drewnianą pod wezwaniem Świętej Trójcy.

Stała ta kaplica nietylko po za obrębem właściwego miasta, ale nawet po za granicami jego przedmieść. Służbę kościelną pełnił tu kapelan, utrzymywany z fundaszów, pozostawionych na ten cel przez założyciela.

W pierwotnym, skromnym stanie dotrwała kaplica Ś. Trójcy do czasów Stefana Batorego, który ją większym otoczył blaskiem. Rycerski monarcha wznosił przy niej murowany szpital wojenny, i całą posiadłość murem krzepkim opasał. Ów szpital nie był, jak się zdaje, lecznicą, lecz czemś w rodzaju domu inwalidów. Wszystkie szpitale warszawskie miały w początkach przeważnie charakter przytułków; o tym zaś pisze nawet wyraźnie Braun (*Theatrum Urbium etc.*, Kolonia, 1593—1615), że był „na pomieszczenie wysłużonych żołnierzy przeznaczony“.

Panowanie Zygmunta III przyniosło nową zmianę w losach kaplicy. Ten monarcha, ze szczególnem upodobaniem zaludniający miasto zakonnikami i zakonnicami, sprowadził do Warszawy panny Brygidki i dał im w posiadanie kościół oraz klasztor, który za-

pewne powstał z przerobionego na ten ce szpitala.

Z tym faktem łączy się historia pobliskich ulic: Nowolipia i Nowolipek. Brygidki, przeniesione do Warszawy ze wsi Lipie (w ziemi czerskiej), przezwąły obszerne swe grundy, klasztorowi przyległe, Nowe Lipie, co zmieniło się następnie na Nowolipie. Gdy zaś później, już w początkach wieku XVIII, zabiegliwe i dziwnie w procesach sądowych zamłowane zakonnice wiodły ze szpitalem Ś. Łazarza długi spór o grundy, sądy, ustanawiając granicę pomiędzy posiadłościami jednej strony i drugiej, grantom szpitalnym nadały, dla odróżnienia, nazwę Nowolipki.

Dla kościoła i klasztoru wiele czyniła rodzina Leszezyńskich, właścicieli pobliskiego Leszna, będącego niegdyś wsią, dziś ulicą warszawską.

Andrzej Leszezyński, arcybiskup gnieźnieński, pierwotną drewnianą budowlę zamienił na murowaną. Nagrodą za tę ofiarę było *Salve Regina*, odmawiane na jego intencję przez zakonnice codziennie po nieszporach.

Jakaś Leszezyńska, o której bliższych szczegółów nie podaje nawet „Słownik malarzów polskich“ Rastawieckiego, wymalowała do wielkiego ołtarza obraz, przedstawiający Ś. Trójcę.

Gdy podczas wojen szwedzkich kościół

i klasztor wiele ucierpiały, Stanisław Leszczyński znacznym kosztem szkody ponaprawiał.

Jan Przesław Leszczyński, starosta warszawski i wschowski, jeden z dobrodziejów zakonu, pogrzebiony był w grobach kościelnych.

Podług księdza Kurowskiego, autora rozproszonych tu i owdzie „Pamiętek Warszawy“, w klasztorze Brygidek nie bywało nigdy pańien zakonnych więcej nad dziesięć. Przed samem zamknięciem klasztoru ta liczba spadła do sześciu.

Jednak przypuszczać można, że owa zamiejska pustelnia pustelnią w ścisłym znaczeniu nie była. Nie brakło jej ani zaludnienia, ani gwaru. Przedewszystkiem, prócz zakonnic właściwych, awijało się tam sporo nowicyuszek oraz wszelkiego rodzaju półzakonnych, półświeckich towarzyszek i służebnic, które przy ogniu świętym tak bardzo wygrzewać się lubią; następnie, w obszernych zabudowaniach klasztornych przebywały zawsze na dewocyi zamożne szlachejki, nie mogące się również obywać bez skromnego choćby dworu.

Posiadłość klasztorna była rozległa i murem szczelnie zewsząd zamknięta. Przy klasztorze znajdował się ogród piękny, dostarczający obficie warzyw, owoców i kwiatów.

Praktyki religijne nie były wyłącznem

zajęciem świątobliwych panienek a zwłaszcza ich ksieni. Klasztor, uposażony licznymi gruntami, które to na własną korzyść uprawiał, to w dzierżawę wypuszczał, miał z konieczności ciągłe stosunki ze światem. O pieśniackiej żyłce zakonnie już wspomniałem; prócz tego, dla wielu spraw sam klasztor stanowił sądowe forum.

Wynikało to ztąd, że panienki, zaokrągliwszy swą rozległą posiadłość licznymi a szczęśliwymi nabytkami, i nazwawszy ją „Nowolipie“, wyodrębniły się następnie od miasta, tworząc własną *jurydykę*.

Jurydyki, jedna z najcięższych plag dawnej Warszawy, były jakby miastami w mieście. Każda żyła i rządziła się własnym trybem, posiadała własny magistrat i w wielu sprawach ostatnią wyobrażała instancję.

Władza miła jest sercu każdego, nawet tych, co Bogu pokorę i wyrzeczenie się światowych marności ślubują... Brygidki nie zaniedbały ze swej władzy korzystać jak najrozleglej.

Co czwartek, obszerne *parlatorium* klasztorne zamieniało się w salę sądową, do której mieszkańcy Nowego Lipia przychodzili lub byli przyprawdzani, w celu popierania pretensyj swych, bronięcia się, świadczenia w sprawach cudzych i słuchania zapadłych wyroków.

Sala wyglądała niezwykle, przypominając tajemnicze „rady“ Wenecyi, lub krzyżackiego Malbarga. Tam sędziowie występowali zamaskowani, tu—zgoła niewidzialni.

Ksieni wraz z sekretarką siedziały za gęstą kratą. Przez otwory kraty mogły wszystko widzieć, ich jednak niczyje oko nie dostrzegało. Niewidzialny głos zadawał pytania; niewidzialny głos odrzucał lub przyjmował obronę; niewidzialny głos ferował wyroki.

Przed kratą, przy stołach oddzielnych, zasiadali: kapelan i pisarz. W głębi, za baryerą, było miejsce dla obwinionych oraz świadków. Przy drzwiach trzymali straż pachol-kowie klasztorni.

Sobieszezański (w szkicu p. t. „Nowolipie i Nowolipki, ustęp z przygotowanej do druku *Historii Warszawy*“) pisze, że przed ten osobliwy trybunał były wyprowadzane i ostatecznie przezeń rozsądzone sprawy o „pobicie, złorzeczenie, oszukaństwo, pijaństwo, niemoralne życie, przywłaszczenie cudzej własności i nieregularne płacenie czynszów“.

Tenże autor dodaje (a to już wygląda jak cień w tym patryarchalno-jowialnym obrazie), że pisarz sądu klasztornego, którym był zwykle blizki krewniak ksieni, korzystając z przymusowego odosobnienia władzy najwyższej, sam się najczęściej za nią podawał,

naiwnych nowolipian na własną rękę gnębiąc i wyzyskując. Gdy im to wszakże zanadto dokuczyło, szli na skargę do przełożonej, gdzie — jak mamy prawo spodziewać się — zawsze im sprawiedliwość wymierzana bywała.

Inne też jeszcze miewała spory pobożna kongregacya tym razem bardziej charakterowi swemu odpowiadające. Klasztorowi przysługiwało tak zwane *jus asyli*, to jest prawo zapewniające nietykalność (*immunitas ecclesiastica*) winowajcom, którzy się pod jego opiekę uciekli.

Z tego prawa korzystano podobno bardzo rozlegle, a litościwego serca panienki czyniły, co mogły, aby wielkich grzeszników raczej łagodnymi środkami nawracać, niż posyłać okrutnie pod miecz katowski. Być może, iż litość unosiła je niekiedy za daleko, ze szkoda dla rozumnej sprawiedliwości, a nawet i z uszczerbkiem dla praw kanonicznych, dość pod tym względem surowych — z owej przesady wszakże nie trudno rozgrzeszyć te, którym przebaczać kazały: reguła zakonna i serce niewieście.

Znany z przeciwnych poglądów marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński prowadził z Brygidkami częste i energiczne spory, wydzierając im ową *gibier de potence* — spory jednak kończyły się najeczęściej zwycięstwem zakonnic. Uparty marszałek, aby

postawić na swoim, uciekać się musiał do podstępą. Ukrywał w pobliżu klasztoru straź miejską, następnie starał się wszelkimi sposobami wywabić nieprzyjaciela w pole. Gdy naiwny kryminalista dał ucho wabikowi i nos za mury wychylił, pachółkowie miejscy spadali nań, jak jastrzębie, i unosili do wieży marszałkowskiej, z kąd już go nawet sam biskup poznański, główny opiekun i rzecznik Brygidek, wydostać nie potrafił.

Jarzębski w „Gościńca“ tak nam maluje niewybrednymi rymami obraz kościoła około połowy wieku XVII.

Kościół Ś. Trójce na Długiej ulicy.

Świętej Trójce kościół leży,
 A przy nim gościniec bieży,
 Maluchny i dawne rzeczy:
 Trzy ołtarze piękne grzeczy,
 Ambona z boku, a w ścienie
 Drobne kraty czynią cienie.
 Za temi panny śpiewają,
 Bogu cześć, chwałę dawają.
 Są to świętej zakonnice
 Brygity, jej służebnice.
 Przy nich szpital potężniejszy
 W mury, ale nie możniejszy.

W jednej z zewnętrznych ścian świątyni znajdował się aż do ostatnich czasów kamień z napisem:

Dorota Duklińska i Maryanna Okoniówna,

zmarłe w czasie grasującego powietrza w Warszawie.

Była to pamiątka strasznej zarazy, która nawiedziła Warszawę w pierwszych latach XVIII wieku, a zarazem pamiątka wielkich, prawdziwie chrześcijańskich poświęceń, jakie Brygidki złożyły wówczas na ołtarzu miłości bliźniego.

Gdy Warszawa przedstawiała jakby jeden olbrzymi cmentarz, gdy połowa ludności w lasy uciekła a dotknięci morem pozabawieni byli całkowicie specjalnej pomocy lekarskiej, Brygidki (pospołu z innymi zakonniami i zakonnikami) leczyły ciała, koiliły serca, dusze na drogę wieczności przysposabiały...

Ale do zapowietrzonych bezkarnie zbliżać się nie można; wkrótce też mór przedostał się do klasztoru i straszne czynił w nim spustoszenia...

W rękopiśmiennych rachunkach Wilhelma Czamera, ówczesnego burmistrza (prezydenta) Starej Warszawy, znajduję taką potężnie w swym lakonizmie tragiczną notatkę:

„17 Octob. (r. 1710). Chłopa, co chodził do Wilkowa, dając znać, iż yusz ostatnia Panna zakonna u Ś. Troycy umarła powietrzem... fl. 6“.

Ostatnia!... A więc legły na stanowisku wszystkie co do jednej szlachetne rycerki Krzyża. Cześć im!

Jak już wspomniałem, kościół Ś. Trójcy razem z klasztorem Brygidek przestały istnieć na długo jeszcze przed ostatecznym rozrzuceniem zabudowań.

W roku 1807 zakonnice przeniesione zostały do klasztoru Panien Wizytek, gmachy zaś ich obrócono na koszary. Nieco później urządzono tam przytułek dla wysłużonych oficerów oraz wdów po poległych na wojnie żołnierzach. Wreszcie, za Księstwa Warszawskiego, w dawnym kościele Ś. Trójcy, oddanym dyrekeyi artyleryi, pomieszczona została fabryka broni.

Kronikarze potocznych dziejów miasta zapisują, że warszawianie śpieszyli tłumnie do owej fabryki, aby oglądać dziw nad dziwami: pierwszą machinę parową, która nad Wisłę zawitała.

O „uliczce bez nazwy“ to mam przede wszystkim do powiedzenia, że—miała nazwę. Nazywała się ta uliczka: Wyjazd.

W najdawniejszej z drukowanych taryf Warszawy (z r. 1784) nie zapisano Wyjazdu na liście ulic istniejących, co dowodzi, że już wówczas był to zaułek, w połowie swej długości zamknięty. Ślad wszakże uliczki i nazwy zachował się między innymi w bardzo dobrej taryfie, wydanej przez J. Glücksberga w r. 1832. W rubryce zatytułowanej: „Wiadomość o dawnych ulicach, teraźniejszym spi-

sem nieobjętych, wypisana z akt municypalnych M(iasta) S(tarej) W(arszawy)“, zaznaczono tam:

„*Wyjazd* — za posesyami nr. 561, 562 i t. d.“

Prócz tego w samej taryfie znajduje się wzmianka:

„Pomiędzy posesyami nr. 559, 560 i 561 egzystowała dawniej uliczka obok ogrodu Rządowego, *Wyjazd* zwana, która wychodziła na Nalewki“.

Nieuprzejmym murem, który w drugiej połowie zeszłego wieku tę uliczkę zagrodził, była oficyna pałacu Ogińskich. Ten pałac, przechodząc przez różne ręce (był kolejno w posiadaniu: Łyszkiewicza, Czeczковского, Hallmana, Aloy, Karolego), stał się wreszcie własnością rządu. Jako pamiątka po pierwszym właścicielu, pozostała przywiązana do tego miejsca nazwa „Ogińskie“.

XIV.

O KOŁATKACH, GAŚNIKACH I JUDASZACH.

Wyrażenie „dzwonić do bramy“, tak za dni naszych pospolite, w dawnych wiekach nie było warszawianom znane. Istniały dwa tego powody, oba zupełnie wystarczające. Najpierw—nie było wówczas bram. Następnie—nie było wówczas dzwonków.

Ściśle mówiąc, mieliśmy już przed wiekami jedno i drugie, ale nasze dawne „bramy“ i „dzwonki“ nie miały tego, co dziś, znaczenia.

Bramą albo „broną“ nazywano się niegdyś wyłącznie wejście do miasta, w murze obronnym istniejące. Źródłosłowem bramy czyli brony jest „obrona“. Bramy miejskie były rodzajem fortów, zaopatrzonych w fosy, mosty zwodzone, strzelnice, a nadto w zbrojną załogę i straż, pilnującą wejścia.

Dzisiejsze bramy wjazdowe nazywano „wrota“. W mieście posiadały je tylko: pałace magnatów, gmachy publiczne i klasztory. Istnienie bramy było zawarunkowane istnieniem dużego dziedzińca, domy zaś mieszczkańskie w Starej Warszawie poprzestawały na małych, do studzien podobnych podwórkach.

Nakoniec wejście do kamienicy, zwane po dzisiejszemu bramą (i w większości wypadków bramą będące), nosiło w dawnych wiekach miano „farta“ (pisano ten wyraz „fórta“, wymawiano „forta“).

Wszystkie kamienice staromiejskie, zarówno w Rynku, jak w ulicach przyległych, posiadają farty. Te farty są prosta mocelemi, dębowymi, grubą blachą żelazną okutymi drzwiami. Umieszczone w mniejszym lub większym zagłębieniu, mają zawsze obramienie kamienne oraz przejrzysty „supraport“, zwykle misterną ślusarszczyzną ozdobiony.

Otóż przy takich fartach miejsce dzisiejszego dzwonka zastępowała przez długie wieki „kołatka“. Chcąc się w owych czasach dostać nocą do domu, nie dzwoniło, lecz kołatano. Kołatki były dwojakiego rodzaju. Składały się albo z młotka, na łańcucha lub „powrozie“ zawieszzonego, którym uderzano w umyślne, blachą wyłożone wgłębienie, albo też z ruchomej, żelaznej lub mosiężnej, niekiedy bardzo ozdobnej, antaby, którą ujmo-

wało się ręką i stukało w przybitą tuż pod nią blachę.

Kochanowski w swych „Żalach fôrty“, takimi słowy każe jej na nocne niepokoje narzekać: „Użałuj się kto dobry, a potłucz zawiasy, i mnie samą wrzuć w ogień! bo prze te niewczasy dobrze już nie szaleję, ja, fôrta strapiona... Co tu za mej pamięci powrozów stargano, wrzeciędzów ukręcono, młotków skołatano! Teraz już głowicami (szabel) łotrowstwo mię tłucze, a ubogi gospodarz chowa pod się klucze“. Musiało być owo kołatanie w najwyższym stopniu nieznośne, skoro późniejszy nieco od Kochanowskiego Stanisław Grochowski zanosí do króla suplikę rymowaną p. t. „Skarga obciążliwa sna nocnego“, gdzie mówi:

...Pełno kołatania,

Tak, że niejedna głowa boleje bez spania.

...Większa pono bezpieczeńność w puszczy, między lasy
I między dzikim zwierzem, niż tu, gdzie sądowe
Pałace, gdzie majestat, gdzie miejsce sejmowe...

Jeszcze przed dwoma, trzema dziesiątkami lat łatwo było w Warszawie, w dzielnicy staromiejskiej odnaleźć prastarą, przez czas oszczędzoną kołatkę. Ś. p. Adryan Głębocki, malarz a zarazem miłośnik i skrzętny poszukiwacz pamiątek historycznych, odszukał i dla *Tygodnika Ilustrowanego* odrysował kilkanaście

tych cennych zabytków przeszłości. Dziś już one prawie doszczętnie zniknęły.

Jedna z ostatnich kołatek znajdowała się na Rybakach, na bramie ogrodu klasztornego Panien Sakramentek. Dostrzegłem ją tam kiedyś i wraz z całą bramą odfotografowałem. Gdy w kilka miesięcy później fotografowano tę bramę (która przy rozszerzaniu ulicy miała być usunięta) na użytek któregoś z pism ilustrowanych, już na tem zdjęciu kołatki nie było. Co się z nią stało, nie wiem. Może zachował ją kto na pamiątkę, a może — powędrowała na Pocijów do składu niepotrzebnych rupieci.

Kołatka u Panien Sakramentek była żelazna, bez wszelkich ozdób, budowy zupełnie prostej. Składała się z antaby, zawieszanej nad przybitą do bramy blachą. Wykwintniejsza robota i droższy metal skusiłyby już dawno „amatorów cudzej własności“, w których tamte strony obfitują.

Gdy mowa o pamiątkach warszawskich, to zapiszmy przy sposobności zniknięcie innej, również podobno w swoim rodzaju jedynej. Był nią „gaśnik“, czyli kamień z okrągłymi wyżłobieniami, służącymi do gaszenia pochodni. Leżał ten kamień do ostatnich dni obok bramy wielkiej posesyi, zwanej „dom Grabowskich“, będącej przedtem pałacem Teppera. Leżał, nikomu przez dziesiątki i setki lat nie

wadząc; nowy właściciel, zapewne dom swój „modernizując“, kazał tę niepotrzebną starożyzną wyrzucić. Zaopiekowało się nią „Towarzystwo miłośników Starej Warszawy“ i zapewne od zagłady ochroni.

Wielki dom, przed którym omawiane kamienie leżały, zachował do naszych czasów swój pierwotny, nieco dziwaczny kształt... skrzyni kasowej. Ten kształt, według tradycyi, nadać miał swej posesyi bankier Tepper, wznosząc ją około roku 1775. Czy kamienie przez niego dopiero zostały tu umieszczone? Przypuszczam, że nie. Ulica Miodowa już od czasów Sobieskiego była gęsto zabudowana pałacami magnaekimi. A i weześniej nawet, bo w pierwszej połowie XVII wieku, stał w tem miejscu dom, który Jarzębski w swym „Gościńcu“ nazywa „kamienica Firlejowska“, mówiąc o nim: „Mijam Miodową przecznicę, aż tam widzę kamienicę, *Firlejowską* tak nazwaną, z ogrodem, obmurowaną“...

Jest rzeczą niemal pewną, że już tamta kamienica była w kamienne „gaśniki“ zaopatrzona. Posiadały je domy wszystkich dygnitarzy, którzy dostojnych gości u siebie przyjmowali, a należał przecie do ich liczby Henryk Firlej, biskup płocki, podkancelerzy koronny. Po śmierci Firleja, posesorami kamienicy byli również biskupi: najpierw krakowski, później przemyski. Następnie posesya

przechodziła z rąk do rąk, i posiadali ją kolejno: Winkler, pisarz skarbowy koronny, Juszyński, cześnik podolski, Leallier, szambelan królewski, wreszcie Sołtyk, biskup krakowski. Od ostatniego nabył ją bankier Tepper i gruntownie przebudował. Ale prawie wątpić nie można, że już owe gaśniki pochodniowe znalazł na gruncie, i dla siebie oraz dla następców swych zachował.

Oświetlenie Warszawy jeszcze w pierwszej połowie zeszłego wieku było bardzo lichy. Poprzednio, aż do roku 1771, wcale go nie było. W najlepszym razie oświetlano tylko bramy miejskie, początkowo kagańcami ze smolnego łuczywa, następnie latarniami olejnymi. Z tego właśnie powodu nie tylko dygnitarze lecz i zamożniejsi mieszczanie, wybierając się w odwiedzinę w porze wieczornej, byli przeprowadzani przez służbę z pochodniami. Magnaci mieli szybkonogich „laufrow“, którzy biegli przed pojazdem, trzymając w ręku pochodnie zapalone.

Gdy pan bawił w gościnie, służba czekała przed bramą, pochodnie zgasiwszy. Aby przy gaszeniu ogień nie został zaprószony, umieszczane były przy domach kamienie z wydrążeniami, w których płomień przyduszano.

Zamykam tę notatkę wzmianką o jednym jeszcze, również zapewne ostatnim zabytku

przeszłości, znajdującym się na Krzywem-Kole pod numerem 12 (hipotecznym 187).

Tym zabytkiem jest tak zwany „judasz“, zastępujący ongi dzisiejsze oszklone okienka w bramach, dowcipniejszy wszakże od nich i... chytrzejszy (stąd nazwa). „Judasz“ na Krzywem-Kole składa się z trzech otworów, z których dwa górne były przeznaczone dla oczu, a dolny dla ust. Te otwory, od ulicy prawie niedostrzegalne, zakryte były od wewnątrz klapą ruchomą, która, według potrzeby, dawała się podnosić i opuszczać.

XV.

O TEM, CO ZNAJDOWAŁO SIĘ ONGI NA DZISIEJSZYM PLACU ZAMKOWYM.

Przy kopaniu tak zwanego „kolektora staromiejskiego“, stanowiącego jedną z głównych arteryj wielkich robót kanalizacyjnych, natrafiono na placu Zamkowym, w pobliżu kolumny Zygmunta, na cegły, bale drzewne,—nawet na ludzkie i zwierzęce kości.

Ludek warszawski tem odkryciem wiecej był zdziwiony, nie umiejąc wytłómaczyć sobie jakim sposobem na „pustym“ placu mogły znaleźć się ślady budynków oraz resztki istot żyjących...

Niniejsza kartka, wskrzeszająca kilka momentów z przeszłości naszego miasta, wyjaśni ową pozorną zagadkę i pouczy nieświadomych, że plac Zamkowy nie zawsze był pusty.

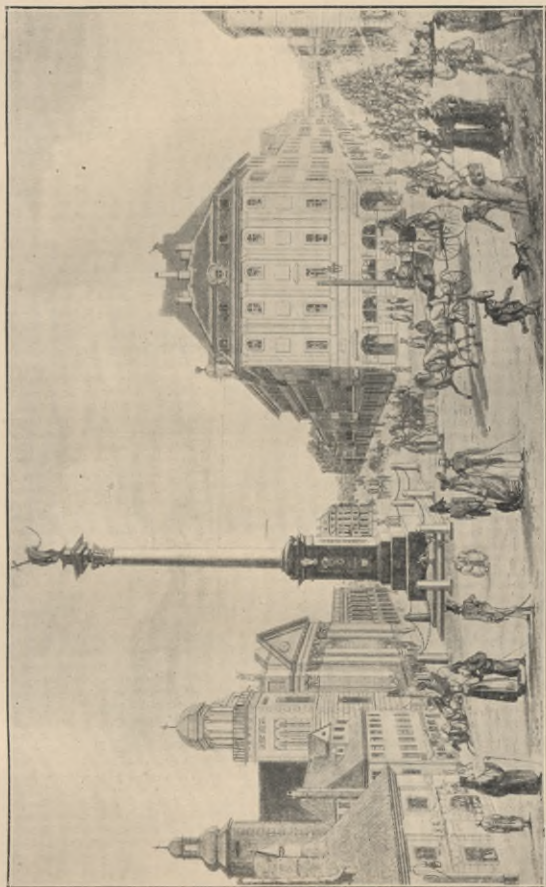
Przedewszystkiem zaznaczyć tu trzeba, że już w roku 1853, przy czynieniu przekopu do nowych (dziś już starych) wodociągów, napotkano w tem samym miejscu ślady robót dawniejszych, również wodociagowych, które w pierwszej chwili były dla miasta niespodzianką.

Ale niespodziankę niebawem do kategorii faktów spodziewanych sprowadzono. Znaczący przeszłości naszego miasta wyjaśnili, że owe stare rury, w głębi placu Zamkowego znajdujące się, były szczątkami wodociągu, który zbudowany został w roku 1696 z polecenia Zygmunta III, w wyłącznym celu dostarczania dobrej wody do picia Zamkowi królewskiemu.

Do owego czasu siedziba monarsza pozbawiona była zupełnie wody studziennej, możliwej do picia, co na wypadek oblężenia Zamku i odejścia go od miasta--a w owych czasach nie było o to trudno — postawiłoby załogę zamkową w położeniu rozpaczliwym

Źródło, dostarczające wody do tego wodociągu, znajdowało się przy cmentarzu (dziś szpitala) ewangelickim, to jest w obrębie posesyi nr. 2483 przy ulicy Karmelickiej.

Stary wodociąg był utworzony z jednej tylko linii rur, która biegła przez plac Zamkowy, wyginając się łukiem w samym jego środku; następnie przez Senatorską, Miodo-



PLAC ZAMKOWY PRZED ROKIEM 1830.
(Podług akwatynty Fryderyka Dietricha).

wą i „Szeroką“ (dziś Długą) sięgała Karmelickiej.

Rury drewniane, sosnowe, spojone z sobą rurami żelaznymi takiej tylko szerokości jak otwór, były zakopane w głębokości sześćcia stóp bez dwóch cali, licząc od poziomu dzisiejszego braku.

Ów zresztą wodociąg nie istniał samodzielnie; był tylko świeższym wypastkiem dawniejszej, podwójnej linii wodociągów, które z tychże samych źródeł zaopatrywały w wodę całą dzielnicę staromiejską.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, nierzadkim zresztą wśród wojennej, pełnej powikłań zawieruchy, dobrodziejstwo, z którego korzystała Warszawa, obróciło się właśnie przeciw niej. Stało się czasu wojen szwedzkich.

W r. 1704 szwedzi wzięli szturmem Warszawę i rozlokowali się w niej na dłuższy pobyt; niebawem wszakże z oblegających zmienili się w oblężonych, gdyż wojska saskie otoczyły ich i weszły do miasta.

Wówczas oddział szwedzki generała Horna zamknął się w Zamku i, przeciąwszy rury dostarczające wody reszcie miasta, pozostawił tylko ów odrębny wodociąg, który doprowadzał wodę wyłącznie do gmachu królewskiego.

Odkopane w r. 1853 szczątki zamkowego wodociągu pozostawiono napowrót w zie-

mi, nie przypuszczając, że w trzydzieści trzy lat później znowu będą poruszone.

Stary zatem wodociąg stanowi pierwsze dzieło ręki ludzkiej, na które późniejsi kopacze z konieczności natknąć się musieli.

Drugim dziełem są fundamenty Bramy Krakowskiej oraz dwóch murów, które ongi plac Zamkowy przez całą szerokość przecinały.

Brama Krakowska, w roku 1817 rozebrana, znajdowała się tuż przy ulicy Ślepej, była zaś główną siedzibą straganiarek, cisnących się tu z owocami, pieczywem, śledziami i t. p.

Tworzyły tę bramę dwa budynki czworograniaste, odległe od siebie na 25 łokci.

Pomiędzy jednym murem a drugim znajdowała się przestrzeń szeroka na dwadzieścia kilka łokci, gdzie wolno było budować się, pod warunkiem, aby budynki nie były wyższe od murów.

Zabudowany też był cały niemal środek placu, w tem miejscu, gdzie dziś wznosi się kolumna Zygmunta—która, według współczesnych świadectw, stanęła w odległości *ośmiu* łokci koronnych od murów starej Warszawy, a *czterdziestu* takichże łokci od Bramy Krakowskiej.

Właściwie takie zabudowywanie placu, z zacieśnianiem wolnej przestrzeni i utru-

dnianiem przystępu do Zamku królewskiego, było nadażyciem, i już w r. 1580 magistrat warszawski o to nadażycie zaniósł zażalenie do króla Stefana Batorego.

Król wydał wówczas rozkaz, datowany w Wilnie 3 czerwea roku 1580, w którym uważając, że „grozi niebezpieczeństwo całemu miastu oraz jego swobodom i spokojności przez wystawienie domków tuż przy murze miejskim, obok bramy prowadzącej na Przedmieście zwane Krakowskie, około kościoła i klasztoru bernardyńskiego“, poleca zbadać: o ile właściciele owych domków są w prawie trzymania ich na gruncie podmurowym i następnie albo przez polubowne nabycie, albo też drogą wywłaszczenia owe budynki usunąć.

Oryginał rozkazu monarszego, po łacinie pisany, znajduje się w aktach dawnych Warszawy; musiały zaś do wydania rozkazu przyczynić się istotnie ważne powody, gdyż czytamy w nim między innymi:

„Nie tylko rozpoznaliśmy, że owe budynki, opanowawszy mury, mogą stać się niebezpiecznymi dla obrony miasta, ale także w ubiegłych tylko co czasach przekonaliśmy się, że stały się one narzędziem spełnionych zaburzeń i wywalenia czyli raczej wyrąbania bramy miejskiej“.

Wolę monarszą, tyle korzystną dla dobra całego miasta, wprowadzono niebawem

w wykonanie — nie upłynęło wszakże jeszcze lat pięćdziesiąt, gdy już w aktach radzieckich, pod rokiem 1624, znajdujemy ślad, że stanął tam dom niejakiego Kłoczyńskiego, graniczący po obu stronach z dwoma innymi domami, należącymi do dwóch kuśnierzów: Dłużyckiego i Siennickiego.

Gdy zatem Władysław IV powziął zamiar wystawienia kolumny swemu rodzicowi, musiał przedewszystkiem plac wybrany pod nią, poza murem miejskim, z tłoczących się w tem miejscu budynków oczyszczać.

Z oczyszczaniem miał monarcha niemało kłopotu. Gdy po otworzeniu potrzebnego widoku, wypadało koniecznie rozwalić kilka budynków, stojących na gruncie, należącym do panien Bernardynek, te, pomimo formalnego sprzedania budynków i zrzeczenia się praw własności, usiłowały nie dopuścić do ich ruiny.

Do sporu zakonnice z królem i miastem wmieszał się nuncyusz papieski, Philonardus, który z postronnych przyczyn niechętny był podówczas dworowi Władysława IV. Nuncyusz, używszy za narzędzie swej niechęci biskupa poznańskiego, Andrzeja Szoldrskiego, sprawił, że biskup zagroził rozwalającym klątwą i ekskomuniką...

Mimo to król od zamiaru swego nie odstąpił; domy zostały rozwalone, a nuncyusz,

poznawszy zapóźno niestosowność swych pogroźek, publicznie prosił monarchę o przebaczenie.

W ten sposób oczyszczono nareszcie plac—nie na długo jednak.

Brama Krakowska wraz z częścią muru miejskiego, do niej dotykającą, była szczególnym magnesem, przyciągającym przekupniów i rzemieślników.

Niebawem znów się usadowili na miejscu, z którego poprzedników ich spędzono, i raz jeszcze, przy pomocy powagi panującego, wyrzucać ich stamtąd masiano.

Zaraz po smutnej pamięci wojnach szwedzkich, plac Zamkowy zabudował się gęsto a bezładnie przez zbiedzonych mieszczan, którzy cisnęli się pod mury miejskie, jakby instynktownie opieki w nich szukając.

Przy ogólnej nędzy i powszechnem спустoszeniu, klecono naprędce już nie domy, lecz małe i krzywe lepianki, które bezkształtnym wieńcem okoliły wyniosły kolos kolumny Zygmontowskiej.

Było to nadażycie, gdyż przestrzeń gruntu pod murami oraz tak zwane „między-murze“ (*pomerium extramurale*) stanowiły własność publiczną — magistrat jednak pobłażliwie na to patrzył, uwzględniając wyjątkowe położenie mieszkańców. Jest to już zresztą

zwykła właściwość wszelkich kataklizmów wojennych, że cały porządek administracyjny z gruntu wywracają.

Dopiero po uciszeniu się burz i zwierzchniem przynajmniej wyrównaniu szczyrb, zrzędzonych w gospodarstwie miejskiem przez szwedzkie najazdy, pomyślano o ponownem oczyszczeniu placu Zamkowego.

W roku 1681 król Jan Sobieski, rozkazem dyplomatycznym, wydanym w Wilanowie, utworzył oddzielną komisję, która tą sprawą energicznie zająć się miała.

Ciekawy dokument, czynności owej komisji upamiętniający, zaznacza, że nieprawie wzniesione budowle tak już brutalnie cisnęły się na kolumnę Zygmunta III, iż zasłaniały zgoła całą jej podstawę oraz umieszczone na niej tablice z napisami.

„Ponieważ — mówi ów dokument — dla tych budowli rozgłośna chwała wstawionych zdarzeń Najjaśniejszego niegdyś błogiej pamięci Zygmunta III przodka naszego, nie może być od przechodzących rozezytywana, a nawet grozi stąd zniszczeniem temu pomnikowi; starać się więc będziecie i rozkażecie znieść je i rozwalić, przy zabezpieczeniu całości i powagi tego pomnika“.

W tymże samym dokumencie znajdujemy wzmiankę o złym stanie rur wspomnian-

nego wyżej wodociągu, przyczem dowiadujemy się, że w jednym miejscu przechodziły one przez piwnicę posesyi „sławetnego“ (*famatus*) Barankiewicza. Niewątpliwie ta posesya wzniesioną została już po zaprowadzeniu wodociągu, nienormalność więc ową teraz kazano naprawić i kierunek rur zmienić.

Tyle co do szczątków architektonicznych, które pod powierzchnią placu Zamkowego odnajdują się dziś lub odnajdować mogą.

Oprócz nich, przekopy kanalizacyjne wydobyły na wierzch pamiątkę smutniejszą, mianowicie kości ludzkie ze zwierzęcemi zmieszane.

Nie sięgając zbyt już zamierzonej przeszłości, mianowicie napadów Litwy, Prus i Rusi, które ongi gród książąt mazowieckich mężnie wytrzymał, a którym miejsca blizkie murów i samego Zamku za pole zapasów służyć musiały, wspomnieć trzeba o toczonych w tym punkcie miasta walkach ze szwedami.

Jak wiadomo, dwa szwedzkie najścia, pięćdziesięcioma laty od siebie przedzielone, kraj nasz wycierpiały, a w każdym z nich zmuszony był stolicę z rąk nieprzyjaciół siłą wydzierać.

W 1656 roku wojska Jana Kazimierza, obległszy Warszawę zajętą przez szwedów,

zmusiły nieprzyjaciela do skupienia się w szesypłym stosunkowo obrębie starych murów, z pomiędzy których ostatecznie wypłoszyć go usiłowały.

Wówczas to hafiec ochotniczy, z samej prawie młodzieży złożony, wykonał bohater-ski acz nierozważny atak na Bramę Krakowską, najsilniej właśnie przez szwedów strzeżoną.

Atak odparto, a prawie wszyscy z owych uniesionych gorączką młodości bohaterów trupami swymi zapełnili po brzegi głęboką fosę przed murami, lub też przy wdzieraniu się na palisadę, trupem padli. Szwedzi z wysokości murów z łatwością razili ich gęstą strzelbą muszkietową.

Najprawdopodobniej przeto tych to dzielnych młodzieńców kości rydle dzisiejszych kopaczów na bruk wyrzucają.

W owej gorącej przeprawie wielkie też niebezpieczeństwo groziło kolumnie króla Zygmunta. Kule nie tylko muszkietowe, lecz i armatnie szzerbiły ją i rysowały od góry do dołu, grożąc wywróceniem i strzaskaniem—nadspodziewanie jednak wytrzymała wszystko bez większej szkody.

W pół wieku później powtórzyły się w temże samem miejscu krwawe zapasy.

W roku 1704, w sierpniu, po raz drugi wojska polskie musiały odbierać Warszawę

szwedom. W stolicy zamknął się wówczas bitny wódz szwedzki Arwid Horn, oblegał go zaś król August II.

Trzy dni trwały ataki, kończące się mniejszym lub większym tryumfem dla oblegających; czwartego wreszcie dnia król kazał przypaść gwałtowny szturm do Bramy Krakowskiej, wiedząc, że w tym punkcie mury są nadrajnowane dawniejszemi natarciami.

I znów zatem krzyżowały się w tem miejscu kule, i trupy wojowników padały naokół, a wyniosły obelisk marmurowy chwiać się zdawał pod nawałem śmiertelnych pocisków.

Nie runął jednak i teraz—jakby go losy umyślnie na to zachowały, aby mógł widzieć zwycięstwo naszych a porażkę nieprzyjaciela, który we dwa dni później Zamek i miasto opuścił.

Nie możemy kreślić tu wszystkich przemian, jakie w ciągu wieków postać dzisiejszego Placu Zamkowego przybierała—wyprowadziłoby to nas daleko poza ramki krótkiego szkicu—musimy wszakże zaznaczyć, że i przeciwna strona placu (od strony Wisły) w ubiegłych wiekach przedstawiała się zupełnie inaczej, niż dziś.

Przedewszystkiem otwarty widok na Zamek datuje się od czasów nowszych, gdyż

dopiero od roku 1817 i 1818, w których jednocześnie ze zwaleniem Bramy Krakowskiej rozrzucono też drewniane i murowane budowle, zakrywające całkowicie bramę pod wieżą zegarową.

W tymże samym czasie rozebrano też całą jedną część gmachu zamkowego zwaną „Gród“, w której niegdyś odbywały się sądy starosty warszawskiego. Dopiero skutkiem tych gruntownych przemian rozszerzyła się przestrzeń wolna około Zamku i kolumny Zygmuntońskiej, wytwarzając właściwy dzisiejszy plac Zamkowy.

Plac pomiędzy Zamkiem a węglem Przedmieścia Krakowskiego nie był ongi otwartym, jak dziś; zapełniały go ogrody i budynki.

W tem też miejscu istniały dwa żeńskie klasztory sąsiadujące z sobą, a zarazem graniczące o miedzę z klasztorem Bernardynów, mianowicie: Klaryski, zwane „Bernardynkami“ oraz „Panny i Wdowy dewotki“.

Ostatnie zgromadzenie zostawało pod szczególną opieką Zygmunta III. Zwano je po łacinie trojako: *Viduae et virgines devotae*, albo *Viduae et pupillae devotae*, albo wreszcie: *Foeminae viduae et pupillae*.

Mało znany, nawet dawniejszym historyografom Warszawy, ten klasztor powstał około r. 1563. Założycielem jego był Dawid

Zaremba, kanonik warszawski, który pierwsze trzy zakonnice tej reguły do miasta naszego sprowadził.

Podobnie jak Bernardynki (które z czasem, stawszy się właścicielkami wielu okolicznych domów i placów, utworzyły w tem miejscu własną jurydykę) weszły i Dewotki w posiadanie znacznych przestrzeni gruntu, które następnie, po ich jednowiekowym istnieniu, przeszły na własność jurydyki pałacu zwanego „Pod blachą“.

Klasztor „Pani i Wdów Dewotek“ znajdował się w najbliższem sąsiedztwie klasztoru Bernardynów i na pochyłości góry; klasztor zaś Bernardynek bliżej Zamku, na samem wzgórzu.

Te dwa zgromadzenia nie żyły ze sobą w zupełnej harmonii. Spory, które wiodły o tytuł własności jakiegoś pola czy ogrodu, oparły się aż o Stolicę apostolską, rozsądzone zaś zostały ostatecznie przez prymasa Macieja Łubieńskiego. Decyzją owego sądu polecono Dewotkom, aby budynek na kwestyonowanym placu opuściły, i „na innem miejscu mieszkanie sobie według sposobności postawiły, płotem wysokim i gęstym od panien zakonnych takowe odgrodziwszy“.

Ów opór, szczegółowo zbadany i opisany, dostarczyłby może materiału do drugiej „Monachomachii“ rodzaju żeńskiego.

Jarzębski w następnych rymach upamiętnił odrębne istnienie zakonu, który dawniej niesłusznie łączono w jedno z zakonem panien Bernardynek.

Przy nich¹⁾ niżej tam są *Wdowy*
Dewotki, z Bogiem rozmowy
Zawsze mewają codzienne,
Służebnice nieodmienne.

Od czasu ostatnich wojen szwedzkich ginie wszelki ślad „Pani i Wdów dewotek“. Prawdopodobnie, przy najgorętszych w tym punkcie miasta zapasach, zabudowania klasztorne zostały zburzone i z ziemią zrównane; mieszkanki zaś ich albo znalazły śmierć pod gruzami, albo też rozproszyły się po świecie szerokim.

Gdzie dawniej leżały głuche zacisza klasztorne, ożywiane chwilami tylko dźwiękiem sygnaturki kościelnej, lub śpiewaną przeciągłym chórem pieśnią nabożną, tam dziś biegnie wspaniały Nowy Zjazd, wielkowiejskim zgiełkiem huczący, dwkami tramwajów rozdzwoniony...

¹⁾ To znaczy przy Bernardynkach.

XVI.

O POGRZEBIE KSIĘCIA GENERAŁA ZIEM PODOLSKICH.

Warszawskiemu kościołowi Ś. Krzyża przypadło w udziale gościć u siebie wielkich nieboszczyków i patrzeć na wspaniałe obchody żałobne. W nowszych czasach pomiędzy innymi wyruszali stąd w drogę wieczności: Moniuszko i Odyniec, pogrzeby ich jednak, choć tłumne i bogate, błedną wobec tych, jakimi wiek XVIII i początek XIX uczciły swych wybrańców.

Prócz obchodów, które możnaby nazwać „narodowe“, dawna świątynia ks. Misyonarzy widziała inne, w połowie lub w całości prywatne, a jednak błyszczące przepychem niezmiernym. Bartoszewicz w swej monografii kościoła Świętokrzyskiego wspomina o wspaniałych egzekwiach, które wdowa po Stanisławie Denhoffie, het. p. l., wyprawiała

swemu mężowi w cztery lata po zgonie (1732 r.). Nie przeszkodziło jej to wkrótce potem wyjść za Czartoryskiego...

Obok tego obchodu postawićby można inny, tem sławny, że pamięć jego uczczono—medalem. Stosunek był tu odwrotny: nie żona mężowi, ale mąż oddawał hołd żonie. Tomasz z Bękowa Czapski, starosta knyszyński, goniądzki, radzyński, bratjański i t. d., w roku 1774, chowając w grobach misyonarskich ukochaną małżonkę Maryę, wyprawił jej pogrzeb okazały a zarazem symboliczny.

Dokoła bogatego katafalku stało z gromnicami w rękach pięćdziesięciu i jeden ubogich oraz dwanaścioro dzieci—wszyscy przybrani w jednakową, na ten obrzęd umyślnie sprawioną, barwę. Liczby oznaczały: 51 lat wieku nieboszczki oraz 12 pozostałego po niej potomstwa. Każdy z orszaku miał na piersiach zawieszony medal, na którym znajdowało się imię i nazwisko zmarłej, rok jej urodzenia i śmierci, wreszcie prośba o modlitwę.

Do wspanialszych i głośniejszych liczył się też pogrzeb ks. Augusta-Aleksandra Czartoryskiego, wojewody ruskiego, męża wspomnianej przed chwilą Denhoffowej, który zmarł w Warszawie (1782 r.) i w kościele Ś. Krzyża został pochowany. Od tej daty Czartoryscy groby misyonarskie poczęli uwa-

zać za rodzinne. To właśnie stało się powodem, że w czterdzieści lat potem, tu a nie gdzieindziej odbył się niebywałej świetności pogrzeb ks. Adama Czartoryskiego, który poniżej opiszemy.

Niecałe dziesięciolecie przedzielało tę uroczystość żałobną od innej, która przewyższyła ją jeszcze, jeśli nie przepychem, to smutkiem. W dniu 9 września 1814 r. do kościoła ks. Misyonarzy wprowadzono na czasowy spoczynek zwłoki bohaterskiej pamięci ks. Józefa Poniatowskiego. Ostatnia z rycin, zdobiących „Śpiewy“ Niemcewicza, przedstawia—dość nieudolnie zresztą — tę chwilę pamiętną.

Adam-Kazimierz-Joachim-Ambroży-Marek na Klewaniu i Żakowie książę Czartoryski, nazwany „Generał Ziem Podolskich“, feldmarszałek wojsk austriackich, kawaler orderu „Złotego Rana“ etc., zmarł w Sieniawie 20 marca 1823 r. Starzec to już był, blisko całe stulecie na barkach dźwigający. Śmierć ta—jak zauważono pięknie w mowie nagrobnej—„acz nie zadziwiająca w tak sędziwym wieku, przez wspomnienie atoli na życie enotliwe, na ważne usługi, na ten ostatni zabytek dawności naszej, rzewniej była opłakiwana, niż zgon młodzieńca najświetniejszych zalet i najpochlebniejszych nadziei“.

Pierwszą wiadomość o śmierci księcia

generała zamieściła *Gazeta Warszawska* dnia 25 marca (dzienniki nie miały jeszcze wówczas obsługi telegraficznej!). Na czele numeru, pod rubryką „wiadomości krajowych“ zapisano ten fakt w słowach następujących:

„Sprawdziły się, niestety, smutne przeczucia, często żalosne dochodzące nas wieści. Mąż wiekiem, cnotami, zasługą najdosłojniejszy, J.O. Xiążę Jmć Adam *Czartoryski*, dawniej Generał Ziem Podolskich, Kawaler orderu Złotego Runa, Orła Białego i innych, żyć przestał. Zsunął się z tej ziemi wiek prawie cały w bezdenną przepaść wieczności“.

Był to wstęp do kilkudziesięciowerszowego nekrologa, podpisanego literami: *J. U. N.* Dla nikogo z wykształceńszych czytelników nie było tajemnicą, że te litery oznaczają wychowawcę, przyjaciela i współpracownika zmarłego: Juliana Ursyna Niemcewicza.

Poeta, sam już siedemdziesięciu lat dożywający, gorącemi, wprost z serca płynącemi słowami uczcił pamięć wielkiego nieboszczyka. Nie było to dziennikarskie „wspomnienie pośmiertne“, które się kreśli w pośpiechu, na zimno, zastępując szczery żal i prawdziwe uczucie gotowymi, stokrotnie już używanymi frazesami...

Czujemy żywo krwawiące się serce w prostym, nie teatralnego w sobie nie mającym wykrzykniku:

„Ileż uczuć głębokich i tkliwych, ileż przemijających nadziei i długich nieszczęść, ile wylanych dobrodziejstw, ile poświęcenia się i czynów szlachetnych przypomina nam strata tak ciężka“!

A jak znów solennie brzmi ten zwrot osobisty, w którym sędziwy przedstawiciel literatury i narodu składa świadectwo prawdy:

„Jeślim usiłował być dobrym obywatelem, jeśli bez wstydu i skazy zstąpię do grobu—Tobiem to winien“...

Dopiero w tydzień potem *Gazeta*, odznaczająca się lakonizmem, powraca do tego przedmiotu. W n-rze 37, z dnia 11 kwietnia, podaje krótkie uwiadomienie, że zwłoki księcia Czartoryskiego mają być przywiezione do Warszawy dnia 19 tegoż miesiąca (termin ten został o dwa dni opóźniony) i że pochowane będą w grobie kościoła Ś. Krzyża.

Pojawiają się następnie częstsze i dłuższe artykuły, księcia i jego śmierci poświęcone. W numerach 59 i 60 znajdujemy dość szczegółową relację z pochodu żałobnego orsząku, który z nabalsamowaniem ciałem księcia posuwał się zwolna od Sieniawy ku Warszawie. Był to pochód tryumfalny a zarazem taki, jakiego dziś, gdy najdostojniejsi nawet nieboszczycy „ekspedyowani“ są koleją,

w szczelnie zakrytych wagonach, niczyje oczy już nie zobaczą.

Na pierwszą wieść o zgonie księcia, do pałacu sieniawskiego poczęły cisnąć się tak liczne tłumy, że aż musiano silną strażą obwarować komnatę, w której zwłoki spoczywały. Wystawiono je *coram publico* dopiero na czwarty dzień po zgonie. Katafalk wzniesiony był w olbrzymiej sali pałacowej, wybitej całkowicie kirem. Na tem ponurem tle rysowały się wyraziście cyfry i herby zmarłego oraz trzy wielkie białe krzyże nad trzema ustawionymi umyślnie ołtarzami. Mnóstwo świateł i zieleni otaczało błyszczącym wieńcem żałobne wzniesienie.

Książę był ubrany w mundur feldmarszałkowski, w rękę trzymał krucyfiks; a nóg jego leżały: kapelusz, szpada, laska i owiązane krepą ostrogi.

Po rogach katafalku stały cztery czarne taburety z bogatemi poduszkami, na których ułożono orderzy nieboszczyka. Był tam order Złotego Runa, Ś. Andrzeja, Orła Białego i Ś. Stanisława. Na przedzie znajdowały się laski feldmarszałkowskie i laska marszałka sejmowego.

W głębi sali księża różnych zakonów odmawiali głośne modlitwy bez przerwy, w ciągu dnia i nocy.

Straż wojskowa zajmowała trzy stano-

wiska: jedno przy zwłokach, drugie przy drzwiach sali, trzecie u wejścia do pałacu.

Czwartego dnia po wystawieniu odbyła się eksportacya. Wyprowadził ciało ksiądz Gołaszewski, biskup przemyski, w towarzystwie ks. Snigórskiego, który był takimże biskupem, ale obrządku greckiego. Na czele orszaku postępowały zakony oo. Dominikanów, Bernardynów, Reformatów i Franciszkanów. Potem szły cechy z Sieniawy i miast okolicznych, szkółka miejska i t. d. Gromady czterech kluczów, składających niegdyś hrabstwo Jarosławskie, z pochodniami i świecami, napępniały po obu stronach drogę od pałacu do kościoła.

Wspaniały karawan ciągnęło sześć par koni, okrytych kapami i mających pęki czarnych piór strusich przy głowach. Trumnę oraz znaki orderowe nieśli najznakomitsi obywatele ziemi Przemyskiej. Zaraz za trumną postępował książę Adam, syn nieboszczyka, wojewoda, senator polski, z małżonką swą Anną z ks. Sapiehów. Otaczała go najbliższa rodzina, wśród której znajdowali się dwaj wnukowie zmarłego (po siostrze Izabeli księżnej Lubomirskiej): hrabiowie Alfred i Artur Potocey z żonami (pierwsza z domu Czartoryska, druga Branicka).

Przed ruszeniem orszaku, piękną mowę wygłosił ksiądz Franciszek Siarczyński, ka-

nonik warszawski, proboszcz jarosławski, znany autor „Dziejów panowania Zygmunta III“ i innych dzieł historycznych.

Jak był miłowany książę generał przez wszystkie klasy społeczne, dowodzi zachowaniem się ludności żydowskiej. Żydzi nie tylko uprosili, aby duchowieństwu ich było wolno uczestniczyć choćby zdala w eksportacyi, ale nadto urządzili dobrowolnie całotygodniową żałobę, zamykając na ten czas kramy i wstrzymując się od wszelkiej czynności handlowych.

Obywatelstwo przemyskie postanowiło nosić żałobę przez sześć tygodni i odprowadzić zwłoki księcia aż do Lwowa.

„Widziałem—pisze świadek naoczny—jak wielu z przytomnych starało się dostać jakąkolwiek po księciu pamiątkę, bądź ułamek jego pisma, bądź rysunek jaki z pokoju. Byli tacy, co powłokę z krzesła jego na cząstki dzielili; inni odłupywali kawałki od stołu, na którym z domownikami jadał“...

Szczegóły przeprowadzenia zwłok przez Galicyę opuszczamy, pilno nam bowiem do Warszawy. Jednak zapisać musimy dwa fakty większego znaczenia. Pierwszym jest odprowadzenie konduktu aż do granicy przez oddział wojska austryackiego, zmieniający się na nocelegach i popasach. Drugim — oddanie zmarłemu takiegoż hołdu przez wybór mło-

dzieży szlacheckiej, która, „mimo zimna i pory wilgotnej, po staropolsku barkami okryta, otaczała wóz żałobny“.

Współczesny sprawozdawca pomiędzy innymi ochotnikami wymienia: Ludwika i Józefa hrabiów Jabłonowskich, Zygmunta hr. Łosia, Rudolfa Albinowskiego, Karola Wiszniewskiego, Antoniego i Jana Jaruntowskich, Nereusza Hoszowskiego, Ksawerego Petrowicza, Konstantego Bojarskiego, Mansweda i Józefa Skrochowskich, Antoniego Szelechowskiego, Czarnołuskiego, pałkownika Szumlańskiego, Eastachego i Michała Jawornickich, barona Karnickiego, Zarębskiego. Łączyły się też z orszakiem i damy, jak np. baronowa Sadlo, Grzemska, Urbańska, Zarębska i wiele innych.

Nareszcie wspaniały pochód wkroczył w granice Królestwa kongresowego. Prawie na samym wstępie — pomiędzy Lubiczem a Tomaszowem — powitany został przez Andrzeja hr. Zamoyskiego, który był wnukiem księcia generała. Hrabia otoczony licznym orszakiem sług i oficyalistów, przyjmawszy zwłoki dziada pod swoją opiekę, towarzyszył im aż do samej Warszawy.

Wszędzie po drodze na spotkanie orszaku wychodzili kapłani i lud, a muzyka dzwonów, odzywających się w bliższych i dalszych wsiach i miasteczkach, brzmiała bez przerwy.

Ostatnim etapem było Słazewo. Kon-

dukt, stanąwszy tu w sobotę wieczorem, zatrzymać się musiał z przyczyny dnia uroczystego do poniedziałku. Uczestników pochodu właścicielka Służewa gościnnie w swym pałacu podejmowała.

Tu przybyli z Warszawy znajdujący się tam członkowie rodziny księcia: hr. ordynat Zamoyski z synami, hr. Aleksander Potocki, w. koniuszy koronny z synem, hrabina Stanisławowa Potocka z wnuczką. Towarzyszyło im wielu przedstawicieli arystokracji rodowej.

W poniedziałek, d. 21 kwietnia, o godzinie 11 rano, kondukt stanął przy rogatkach Mokotowskich.

Oczekiwał już tam wielki książę Konstanty, naczelny wódz wojsk cesarsko-królewskich. Otaczali go wszyscy generałowie oraz kapelani i urzędnicy armii.

Uszykowana też była przy rogatkach parada wojskowa, mająca oddać ostatni hołd dostojnemu nieboszczykowi. Składały ją:

1) Pierwszy batalion pułku litewskiego gwardyi królewskiej; batalion grenadyerów złączonych wszystkich pułków garnizonu warszawskiego. Ten oddział zostawał pod komendą generał-majora Richtera, dowódcy brygady gwardyi cesarskiej.

2) Pierwszy szwadron podolskiego kirasyerskiego pułku gwardyi cesarskiej; pierwszy szwadron pułku ułańskiego cesarzewicza;

pierwszy szwadron pułku strzelców konnych gwardyi królewskiej, pierwszy szwadron pułku pierwszego ułanów, będącego na garnizonie w Warszawie. Dowodził tym oddziałem generał brygady Karnatowski, dowódca pułku strzelców konnych gwardyi królewskiej.

3) Bateria pozycyjna artyleryi konnej gwardyi królewskiej, pod komendą pułkownika Szweryna.

Przy każdym z batalionów znajdowała się chorągiew i muzyka pułkowa.

Całą paradą wojskową dowodził hr. Wincenty Krasieński, generał dywizyi, dowódca gwardyi cesarskiej i królewskiej, w Warszawie znajdujących się.

Honory wojskowe należące się feldmarszałkowi państwa sprzymierzonego oddane zostały zmarłemu w chwili, gdy karawan, wiozący ciało, minął rogatki.

W tym czasie władze wojskowe i cywilne, duchowieństwo mające dopełnić obrządku pogrzebowego, i to, które tylko miało asystować obchodowi, warszawskie klasztory i instytuty, uszykowały się przed karawanem w następującym porządku:

1) Wice-prezydent manicypalności i policyi m. Warszawy, Lubowidzki. 2) Oddział żandarmeryi. 3) Adyutanci placu. 3) Komentant m. Warszawy, generał-porucznik Lewie-

ki. 5) Sieroty szpitala Dzieciątka Jezus. 6) Ubodzy z Towarzystwa dobroczynności. 7) Zakonnicy klasztorów warszawskich. 8) Duchowieństwo świeckie. 9) Kapelani wojskowi. 10) Prałaci i biskupi. 11) Ks. biskup Marugiewicz, sufragan warszawski.

Ordery i inne znaki honorowe zmarłego niesione były przez adyutantów wielkiego księcia naczelnego wodza. Za karawanem szła rodzina nieboszczyka.

Wielki książę Konstanty postępował pieczo, na czele generałów i oficerów oraz urzędników wojskowych, otoczony licznym orszakiem senatorów, ministrów i przybyłych na pogrzeb obywateli. Towarzyszył w ten sposób ciału aż do samego kościoła Ś. Krzyża.

Gdy pochód zatrzymał się przed kościołem, powtórzone zostały honory wojskowe, jakimi witano zmarłego przy rogatkach.

Po ukończeniu honorów, generałowie zdjęli trumnę z woza żałobnego. Tak w zdejmowaniu, jak w niesieniu trumny, pomagał im osobiście wielki książę Konstanty.

Zaraz potem wojsko, stanąwszy w szyku bojowym, złożyło ostatnie pożegnanie ciała trzykrotną salwą z ręcznej broni. Po każdej salwie słyszeć się dawało jedenaście wystrzałów działowych.

U drzwi kościoła przyjął trumnę arcycy-

biskup, prymas Królestwa, a po ustawieniu trumny na katafalku, rozpoczęło się nabożeństwo żałobne.

Katafalk wzniesiony podług planu Zygmunta Vogla, artysty, członka Towarzystwa przyjaciół nauk, był dziełem niepospolicie pięknem. Armatury, chorągwie, lampy, urny żałobne, tarcze herbowe, ozdobne świeczniki i kwiaty składały się na całość poważną i majestastyczną. Wielki portret księcia (z lat młodych, gdy podobny był bardzo do swego ciotecznego brata, Stanisława-Augusta) zajmował miejsce najwydatniejsze; na kolumnach znajdowały się tarcze z Pogonią, herbem Czartoryskich. Podobizna tego pięknego katafalku dochowała się w rzadkiej współczesnej litografii Letronne'a.

Po ukończeniu śpiewów żałobnych, zabrał głos Niemeewicz. Poeta zdążył już zapanować nad pierwszym wzruszeniem, które mu przed miesiącem podyktowało rzewny, łzami gorącemi skropiony nekrolog; mowa jego przyozdobiła się teraz zwrotami krasomówczymi; do pracy nad nią, obok głęboko zbolalego człowieka, przystąpił biegły w swoim zawodzie artysta. Jednak nie jest ta mowa tylko popisem retorycznym: są i w niej łyżki prawdziwe, ujęte w kunsztowną, literacką oprawę.

„Podnosząc tylekroć głos żałobny--zaczął

sędziwy poeta — przy śmiertelnych zwłokach najzasłużeńszych w ojczyźnie mężów, a czując oddawna, pod ciężarem wieku i dolegliwości, upadające siły moje, postanowiłem nie odzywać się więcej w tych tak bolesnych uroczystościach. Przemogły ten raz ostatni wdzięczność i obywatelstwo te tak słuszne niezdolności mojej obawy“...

Poeta, jako „wychowaniec i świadek życia księcia Czartoryskiego“, czuje się obowiązany „uronić łzę jedną i złożyć na grobie jego smutną cyprysa gałązkę“.

Obowiązek spełnił godnie. Mowa jest piękna i warta, aby ją przy sposobności przedrukowano. Wypisujemy z niej kilka zdań, głęboko odczutyh i obmyślanych:

„Jest to prawda, stwierdzona dziejami, że czyny i sława publicznego człowieka całkiem prawie zawisły od położenia, w jakim się ojczyzna jego znajduje. Jeśli kraj, w którym los rodzić mu się przeznaczył, jest potężny, rządny, kwitnący, jak łatwe laury zwycięstwa i obywatelstwa palmy! Lecz kiedy wyrokiem zagniewanych Niebios ten kraj, za winy przodków, na upadek i poniżenie jest już skazany, jeśli najgorętsza żądza dźwignienia go, służenia mu dzielnie, już jest niewczesna, jak ciężka walka między chęcią i niemożnością, między szlachetnym zapalem i drętwiąjącem zrażeniem! Wtenczas

to samo usiłowanie już zasługą, już cnotą się staje.

Książę Adam żył w tych właśnie smutnych i przygnębiających czasach. Ostatnia chwała wojenna Polski zajaśniała pod murami Wiednia. Potem — nierząd i zepsucie przywiodły podległość, tak, iż leczyć nawet rany, odwracać źródła złego częstokroć tylko i niespodziewanie można było. Książę wiedział, że przyczyną upadku naszego była ciemnota, postawił więc przed sobą, jako główne zadanie: „rozpędzić zgubne ciemnoty, poprawić nadużycia trybunałów i usunąć ciężkie wady politycznych ustaw naszych“.

Kończyła się mowa zwrotem solennym i rzewnym:

„Słusznie o Tobie powiedzieć można, co księgi święte powiedziały o patriarsze swoim: skończyły się długie lata Mojżeszowe, i umarł w krainie Moabskiej, i płakali go długo synowie izraelscy. Tak i Ciebie długo płakać będą Polacy; płacze i wdzięczny wychowaniec Twój — co wkrótce pójdzie za Tobą“.

Nazajutrz odbyło się u Ś. Krzyża wielkie nabożeństwo żałobne. Od wczesnego rana odprawiały się przy wszystkich ołtarzach msze za duszę zmarłego; wszystkie też zakony odśpiewały „wigilie“. Podczas głównego nabożeństwa, celebrował arcybiskup-prymas Królestwa, przeszło stu artystów mazyecznych,

pod dyrekcyą Elsnera, wykonało *Requiem* Mozarta. Wielki kondukt śpiewany był przez arcybiskupa oraz czterech biskupów: Woronicza, Prażmowskiego, Lewińskiego i Czyżewskiego.

Tegoż dnia wygłosili jeszcze mowy: biskup krakowski Woronicz i W. Miklaszewski.

Następnie trumna zniesiona została do kościoła dolnego, i tam, w grobie przodków księcia, złożona. Tę ostatnią posługę spełnili pozostali jeszcze przy życiu „kadeeci“, to jest wychowawcy dawnej Szkoły rycerskiej, która zmarłemu swój byt zawdzięczała.

Przez dłuższy czas po uroczystości pogrzebowej echa jej odzywały się w gazetach współczesnych. Między innymi „Gazeta Warszawska“ w n-rze 66 pisała:

„Jak znakomita cześć pamięci Męża tego wyrządzona była przez wojska polskie, pod dowództwem najjaśniejszego cesarzewicza wielkiego księcia Konstantego, jak wielkomyślnie ten pan ucześć raczył enoty księcia Czartoryskiego — ogłoszonym już to zostało w poprzedzających numerach Gazety; a moje słabe pióro nie poważy się na opisanie tego, na co [świeżo patrząc, Warszawa nigdy pewnie, z Polską razem, o tem nie zapomni“.

W n-rze 73 tegoż pisma znajdujemy wzmiankę o zamiarze wystawienia księcia po-

mnika przez dawnych wychowañców Szkoły rycerskiej.

Pomnik ks. Adama Czartoryskiego (po-
piersie lane z bronzu na podstawie marmu-
rowej) stanąć miał w przysionku Biblioteki
publicznej, „jako w gmachu, w którym óweza-
sowa młodzieź kształciła się do usług krajo-
wych pod okiem pomienionego Męża“.

KONIEC.



INDEKSY.

INDEX

I.

MIEJSCA I ZDARZENIA, KTÓRE SIĘ W TEJ PRACY OPISUJE.

Cyfry poprzedzone rzymską dwójką (II) odnoszą się do tomu II-go;
wszystkie inne do I-go.

A.

Abrahamowska ulica, 242.
„Adonaj“ 219.
Akademia duchowna 90.
Akademia medyczna, II
141.
Alchemicy, 31.
Aleksandrya ulica, 221.
Antiqua Varsovia, II 176.
Apteka jezuitów, 83.
Apteka „Królewska“, II 83.
Apteka na Ś-tojańskiej, II
82.
Architekci, 31.
Archikonfraternia literac-
ka, 195.
Arcybiskupa gnieźnień-
skiego władza, 6.
Arsenał, 46, 304.
Artykuły marszałkowskie,
17.
Artyści malarze, 32.
Augustyanie, 178. II 60, 69.
„Austerja“ na Bugaju, 301.

B.

Baba, bóstwo słowiańskie,
128.
Bagno ulica, 291, II 17.
Balet, 58.
Bank handlowy, II 38.
Bankierowie, II 14.
Baryczkowska ulica, 89,
242, 247.
Baszty, 17, II 116.
„Bazar“, 290. II 90, 114.
Bazylianie, 246.
Bazylikańska ulica, 245.
Bednarska ulica, 226.
Belweder, 306.
Berga hr. ulica, II, 37.
Benonici, 46.
Bernardynki, 30.
Bernardyńska ulica, 15,
220, 245.
Biblioteka publiczna, 55.
II 281.
Biblioteka klasztorna Do-
minikanów, 91.

Biblioteka Załuskich, 63.
 Bielany, II 183.
 Bieliny, 221.
 Bieda ulica, 248.
 „Biletowe“, 288. II 20.
 Bitna ulica, 249.
 Błońska ulica, 222.
 Błoto warszawskie, II 197.
 Błotnista ulica, 222.
 Boczna ulica, 229.
 Bolesć ulica, 233. II 88.
 Bonifratrzy, 48.
 „Boratynki“, 130.
 „Bosaczki“, II 151.
 „Boża Męka“ murowana,
 220.
 Bożydar, 222.
 Bractwo miłosierdzia, II
 60, 78.
 Bractwo niemieckie, II
 68, 69.
 Bractwo łuczników, II
 102.
 Brama albo „brona“, II
 243.
 Bramy miejskie:
 Biała albo Wiślana, 17,
 166, 211, 225.
 Gnojna 17.
 Krakowska, 17, 64, 250.
 II 32, 257, 260.
 Nowomiejska, 27. II 32,
 91, 92, 99, 116, 200.
 Poboczna, 17. II 32,
 215.
 Brama tryumfalna, II 44.
 Browar Łazarzowski, 230.
 Brudno 71.
 Bruki, 61. II 117.
 Brygidki, 30, 46, 303, 304.
 II 232.
 Brzozowa ulica, 166, 176,
 177, 179, 225, 226, 229.
 II 181.

„Buda“ przy ul. Wesolej,
 300.
 Bugaj ulica, 225.
 Bug, 20.
 Burmistrz „powietrzny“,
 41. II 110.
 Bursa muzyków, II 69.
 Bursa żaków, II 69.
 Bydgoszcz, 132.
 Bykowa ulica, 222. II 162.

C.

Car z braćmi przywiezie-
 ni do Warszawy, 37.
 Cekausz, 47, 218. II 210.
 Cegielnia króla St. Au-
 gusta, 307.
 Celna ulica, 166, 203, 211,
 225. II 88.
 Ceny mieszkań, 210.
 Chińska ulica, 252.
 Chrystus „cudowny“, 37,
 88.
 Chwałiszewo v. Waliszewo,
 222.
 Ciasna ulica, 223.
 Cicha ulica, 252.
 Ciechanów, II 55.
 Cła lądowe i wodne, 20.
 Cmentarze:
 przy kość. Dominika-
 nów, II 91, 92.
 przy kość. Gwardjac-
 kim, 204, 293.
 przy kość. Paulinów,
 II 91.
 przy kość. Ś. Jana, 227.
 przy szp. Dz. Jezus,
 II 139.
 przy szp. Ś. Ducha,
 II 93.
 Powązkowski, 188.
 Ewangelicki, 282.
 Luterański, 260.

straconych 14.
 zmarłych na zarazę 15.
 Żydowski 243.
 X. X. Karmelitów bo-
 sych, 257.
 „Cmentarz Powązkow-
 ski“, 186.
Collegium nobilium, 55.
Cuchthausowa ulica, 223.
 Cytadela, 249.
 Czujna ulica, 253.
 Czysta ulica, 230.
 Czersk 10.

D.

Dach szklany, 151.
 Dawna ulica, 253.
 Długa ulica, 15, 48, 222.
 „Dobroczynności Towa-
 rzystwo“ 63. II 145 —
 157.
 Dolina szwajcarska, 247.
 Dom Eichlera, 239.
 Dom Grabowskich, II 246.
 Dom podrzutków, II 141.
 „Dom poprawy“, 223, 294.
 II 155.
 Dom zajezdny, II 14.
Domus professa, 31.
 Dominikanie, 30, 48, 64,
 II 91.
 Dominikańska, 255.
 Dorożki, 61.
 Drezno, II 40, 41.
 Drna, 215. II 91.
 Drukarnia A. Ryllego,
 150.
 Drukarnia Dufoura, 168.
 Drukarnia „Koresponden-
 ta Warszawskiego“, II
 83.
 Drukarnia Korpusu Ka-
 detów, 168.
 Drukarnia „Loteryjna“,
 169.

Drukarnia Lutostańskie-
 go, 150.
 Drukarnia Pukszy, II 83.
 Drukarnia „pod znakiem
 Poetów“, 142.
 Drukarnia Rakoczego, —
 142.
 Drwęca, 20.
 Drottöngholm, miasto na
 wyspie Löffön, 28.
 Drzasna rzeczka, 261.
 Dunaj Wązki, II 113.
 Dunaj ulica, 15, 27, 49,
 219. II 56, 112.
 Dworek „Pacienburg“, —
 285.
 Dworek „Pólków“, 260.
 Dwór Gdański, II 92.
 Dwór Grzybowskich, II
 168.
 Dwór Leśniowolskich, —
 284.
 Dwór „pod Gwiazdą“, II
 115, 160—173.
 Dwór „pod Krzysztofem“,
 II 162.
 Dwór XX. Dominikanów,
 255.
 Dynasy, II 222, 225.
 Dyżurstwo główne, 264.
 Działyńskie, 223.
 Dzieciobójstwa, II 122.
 Dziedzińce pałacowe, II
 38.
 Dziekanja, 224, 256, II 63.
 Dziekanka, 224, 256.
 Dziekańska ulica, 224, 256.
 Dzielna ulica, 300.
 Dzielnica staromiejska,
 241.

E.

Elbląg, 132.
 Elekcyja Henryka Wale-
 zego, 17.

F.

- Fabryka tabaczna, 294.
 Fawory, 257.
 „Fijolki“, II 66.
 Folwarki kapitulne, 218.
 Folwarki miejskie, 309,
 II 37.
 Franciszkanie, 46. II 150.
 Francuzczyzna, 56. II 8.
 Franciszkańska ulica, 218,
 237.
 Fraszki ulica, 260.
 Freta ulica, 15, 218.
 Furty, II 244.

G.

- Gaśniki, II 243—249.
 „Gazeta Warszawska“,—
 123, 135, 210. II 268.
 Gdańsk, 23, 132.
 „Gdańska piwnica“, II 200.
 Giełda kupiecka, II 10.
 Głęboka ulica, 262.
 Gniezno, 3, 4, 3.
 Gniezno drugą stolicą
 Polski, 6.
 Gnieźnieński kraj, 3.
 Gnojna, 225.
 „Gnojowa Góra“, 225.
 Gnojowa ulica (Bednar-
 ska) 129, 179, 225, 226.
 Godła sklepowe, II 23.
 Gopło, 2.
 Gołębia ulica, 137. II 87,
 115, 116.
 Gospody, 17, 38, 235.
 Gospoda krawiecka, 109.
 Gospoda kuśnierska, 165.
 Gospoda „pod Gąsior-
 kiem“, II 162.
 „Góra do spaceru“, 287.
 Gostyniński zamek, 38.
 „Gościnny dwór“, II 23.

- Grandmuszkieterowie, II
 25—28.
 Grodno, 9.
 Grodzka ulica, 15, 263.
 II 59.
 Grób Ś. Wojciecha, 3.
 „Gród“, II 56, 262.
 „Gruba Kaśka“, II 87.
 Gwardyi ulica, 264.

H.

- Handel, 61.
der Hauptstadt Warschau
 59.
 Herb „Baryczka“, 80. II
 178.
 Herb Wenecyi, 133.
 Hipoteka, 61.
 Hold Jerzego Fryderyka,
 13.
 Hold elektora Brande-
 burskiego, 39.
Homagium, 24.
 Horodło, 8.
 Hotel „Polski“, II 15.
 Hotel „Wileński“, II 15.
 Hrabstwo Jarosławskie,
 II 271.

I.

- Instytut położniczy, II 141.
 Instytut szczepienia ospy,
 II 141.
 „Izys Polska“, 205.

J.

- Jarmarki, II 32.
 Jerozolimska aleja, II 21.
 Jezuici, 30, 72. II 60, 69.
 Jezuici litewscy, 203, 208.
 Jezuicka ulica, 31, 68, 208.
 II 60.
 Jezuickie kolegium, 38.
 „Judasza“, II 249.

„Judaeus Warschovien-
sis“, 243.

Jurydyki, 29 57, 60.

Jurydyka „Nowogrodz-
ka“, 236.

Jurydyka „Oboźnia“, II
128.

Jurydyka „Wielopole“,—
236, 276.

Jurydyka „Zadzikowska“,
240.

K.

„Kabatek“, II 128.

Kagańce, II 248.

„Kalwarya“, 53,

Kałęczyn, 226.

Kalendarze, 170.

Kameduli, 50.

Kamienica „Badowska“,
II, 74.

Kamienica „Balcerow-
ska“, 182. II 113.

Kamienica „Budzyńska“
z. „Plerowa“ 97.

Kamienica „Busserow-
ska“, II 74.

Kamienica „Clemensow-
ska“, 138.

Kamienica „Długoszowa“
95.

Kamienica „Dzianotow-
ska“, 173, 177.

Kamienica Elerta, II 201.

Kamienica „Erhardow-
ska“ 150.

Kamienica „Falkiewi-
czowska“ II 76.

Kamienica „Firlejowska“,
II 247.

Kamienica „Funkowska“,
II 114.

Kamienica „Gięda“, 174.

Kamienica „Grottowska“,
99.

Kamienica „Jego C. K.
Mości“ II 57.

Kamienica Kaplicy Ś.
Trójcy, II 114.

Kamienica „Klucznikow-
ska“, 107.

Kamienica „Korbowska“,
111.

Kamienica króla St. Au-
gusta, 264.

Kamienica „Kupcewiczo-
wa“, 194.

Kamienica „Latosowska“,
II 114.

Kamienica Malcza, 61.

Kamienica „Majeranow-
ska“, 95.

Kamienica „Majnowska“,
140.

Kamienica „Marszałkow-
ska“, 140.

Kamienica „Markiewi-
czowska“, 99.

Kamienica Merliniego,—
251.

Kamienica Minasowicza,
252.

Kamienica „Ogródek“, —
124.

Kamienica „Orłowska“,
167.

Kamienica pani Lulie, 298.

Kamienica Petyskusa, II 2.

Kamienica „Philipowska“
138.

Kamienica „pod Bliźnię-
tami“, 127.

Kamienica „pod Fortu-
ną“, 149, 166, 172.

Kamienica „pod Murzyn-
kiem“, 79, 147, 154.

Kamienica „pod Okrę-
tem“, II 73.

Kamienica „pod Opa-
trnością“, 225.

- Kamienica „pod P. Jezusem“, II 109.
 Kamienica „pod Świętym Markiem“, III.
 Kamienica „pod Złotym Orłem“, II 115.
 Kamienica „Przechodnia“ 153.
 Kamienica Rafałowicza, 264.
 Kamienica „Rengiuszowska“, 142.
 Kamienica „Szlichtyngowska“, 150.
 Kamienica „Urbanowska“, 109.
 Kamienica „Walbachowska“, II 112.
 Kamienica „Walterowska“, 167.
 Kamienica Wasilewskiego, 298.
 „Kamienica Wójtowska“, 100. II 7, 116.
 Kamienica „Złocista“, 79.
 Kamienica „Zygmuntowska“, 72.
 Kamienne Schodki, 166.
 Kamień, wieś, 89.
 Kämpamenta, 53. II 6.
 Kamera królewska, II 189.
 Kanał łaźniowski, 307.
 „Kanapa kamienna“, 307.
 Kancelarya dyplomatyczna, 264.
 Kanonicy regularni, II 4.
 Kanoniczki, II 4, 12, 16, 17, 29.
 Kanonie, 254.
 Kanoniczna ulica, 226.
 Kantor zleceń, 61.
 Kapela włoska, 31.
 Kapela Zygmunta III, 202.
 Kapitulna ulica, 239.
 Kapituła warszawska, 239.
 Kaplica Archikonfraterni, 198.
 Kaplica „ciemna“, II 64.
 Kaplica moskiewska, 30.
 Kaplica N. P. Maryi, II 29.
 Kaplica obrządku greckiego, 30.
 Kaplica Ś. Krzyża, 198.
 Kaplica Ś. Krzyża w polu, 15.
 Kaplica Ś. Trójcy, 197. II 232.
 Kaplica „Trzech Króli“ w kośc. Ś. Jana, 155.
 Kaplica zamkowa, II 53.
 Kapucyni, 50, 227.
 Kapucyńska ulica, 227. II 163.
 Karmelicy, 46, 50.
 Karmelitki, 30, 277. II 151, 205.
 Karpia ulica, 265.
 Katedra, 31, 39. II 58, 67.
 Kawcza Kępa, 90, 184.
 Kawiarnie pierwsze, 55. II 115.
 Kaźń Piekarskiego, 42.
 „Klaryski“ albo „Bernardynki“, II 262.
 „Klasztorok“, 30, 208. II 80.
 Klasztor Bazylianów, 247.
 Klasztor Dominikanów, 90, 91.
 Klasztor i konwikt Teatynów, II 201.
 Klasztor „Panieni Wdów“ II 263, 264.
 Klasztor PP. Bernardynek, 218, 263. II 263.
 Klasztor PP. Brygidek, 303.
 Klasztor PP. Karmelitanek, 91.

- Klasztor PP. reguły Ś.
 Klary, 217.
 Klasztor Ś. Jerzego, 197.
 Klerycy, II 66.
 Klimowa ulica, 266.
 Kliniki, II 141.
 Kłopot ulica, 309.
 Knyszyn, 12.
 Kodeks Napoleona, 63.
 Kokosza ulica, 266.
 Kolegiata, II 114, 204.
 Kolumna Zygmuntońska,
 26. II 57, 258.
 Kołatki, II 243—249.
 „Koło Ławnicze Starej
 Warszawy“, 191.
 Komedia francuska, 58.
 Komisya brukowa, 54,
 233. II 88, 160. 197.
 Komisya meldunkowa,—
 185.
 Komisya porządkowa, —
 230, 244. II 105.
 Komisya sprawiedliwo-
 ści, II 217.
 Komora celna, II 5.
 Konwikt pijarski, II 132,
 150.
 Kolektor staromiejski,—
 II 251.
 Koszary, 58, 265.
 Koszary Aleksandryjskie,
 250.
 Koszary królewskie, 250.
 Koszary Mirowskie, 226,
 236, 272.
 Koszary piechoty, 294.
 Koszary pułku Działyń-
 skich, 224.
 Koszary ulica, 271.
 Kościoły:
 Augustyanów, 14.
 Bazylianów, 53, 58, 247.
 Bernardynów, 14, 39,
 220.
 Dominikanów, II 91.
 Fara, 197.
 Gwardyacki, 258, 264.
 Karmelitanek, II 151.
 Karmelitów, 221.
 Jezuicki, 77.
 Panny Maryi, 14, 85.
 II 28, 70.
 Paulinów, 14, II 91.
 po-Franciszkański II 90.
 PP. Kanoniczek, II 4.
 Ś. Andrzeja, II 31.
 Ś. Benona, II 70.
 Ś. Ducha, 197, 217, 222,
 236.
 Ś. Jana, 14, 36, 77, 81.
 91, 148, 197, 296. II 80,
 Ś. Jerzego, 14, 197, 218.
 Ś. Józefa, 91.
 Ś. Krzyża, 14, 91, 221.
 II 138, 265, 266.
 Ś. Karola, 58.
 Ś. Marcina, 296.
 Ś. Trójcy, 14, 218, 222.
 Trynitarzy na Solcu, 53.
 w Ujazdowie, 14.
 Wizytek, 221.
 Kozia ulica, 222, 273.
 Koźła ulica, 223.
 Kraków, 4, 23.
 Kraków stolicą Polski, 5.
 Krakowska ulica, 221.
 Kramnice, 10.
 Kręta ulica, 272.
 Krochmalna ulica, 236.
 Króla rzymskiego ulica,
 II 186.
 Królewska ulica, 220, 221.
 Król mistrzem cechu zło-
 tniczego, 33.
 Krótka ulica, 273.
 Krzywe Koło, 15, 48, 153,
 249. II 25, 116, 249.

Kruświca, 2, 3.
 Krzywopoboczna ulica,—
 229.
 Krzywokolna ulica, 274.
 Krzyże czarne na mu-
 rach, 41.
 Księgarnie najpierwsze,
 31.
 Księgarnia J. Pukszy,
 II 83.
 Księgarnia Manickiego,—
 II 83.
 Księgarnia Nawarskiego,
 II 83.
 Księgarnia Nowoleckie-
 go, II 83.
 Księgarnia Szczepańskiej
 II 83, 118.
 Kuglarze, II 13.
 Kult Bachusa, 235.
 „Kuna“, 166.
 Kupcy, 33.
 „Kurye“, 226.
 „Kuryer Polski“, II 24, 27.
 „Kuryer Warszawski“,—
 186, 273. II 183.
 Kwatermistrze, 185.

L.

Latarnie, 54, 58.
 Laufry, II 248.
 Lazaret Gwardyi kon-
 nej, 276.
 Legenda o policzku, II 136.
 Legiony, 65.
 Leszno ulica, 223. II 233,
 Liberum veto, 189.
 Liceum, 61. II 45.
 Libertacye, 103, 113, 185.
 II 75, 110.
 Lipie wieś, II 233.
 „List bracki“, 198.
 Lombard, 61.
 Loterya fantowa, II 132.

Loterya pierwsza, 55.
 Loża wolnomularska, 262.
 „Loże“, 126, 207.
 Ludwisarnia, II 102.
 Lustracye, 15. II 59.
 „Legionista powracający
 w r. 1815“, 150.

Ł.

Łazarzowska ulica, 15,
 229. II, 92.
 Łazienki królewskie, —
 56, 215.
 Łaźnia pierwsza, II 95.
 Łomazy, 8.
 Łowicz, 8.

M.

Majolika holenderska, 156.
 Malarze, 31.
 Mała ulica, 277.
 Mansyonarya, 28, 125. II
 63, 85.
 Mansyonarze, 155. II 63.
 Maryensztat ulica, 217,
 222.
 Marymont, 50.
 „Marywil“, 50, 215, II
 3—33, 201.
 Matki Boskiej figura, 51.
 Mazowiecka ulica, 221.
 Mechanicy, II 13.
 Meldunki, 58.
 Mennica pierwsza, 129.
 Mennica szóstakowa, 131.
 Mennica za Jana Kazimie-
 rza, 131.
 Mennica za Michała Ko-
 rybuta, 131.
 „Merkuryusz Polski Or-
 dynaryjny“ 48.
 „Międzymurze“, 294. II
 257.

Między spichlerzami ulica, 230. II 180.
 Miodowa ulica, 227. II 247.
 Miodownicza ulica, 228.
 Misyonarze księży, 236.
 II. 128, 205, 265.
 „Mistrz sprawiedliwości“
 (kat) 300. II 113.
 Mława, II 55.
 Młyny miejskie, 244, 245,
 306.
 Morowa zaraza, 42.
 Most, 12, 13, 223, 287.
 Most łyżwowy, 59.
 Mostowa ulica, 141, 223,
 229. II 92.
 Mosty zwodzone, 17. II
 92, 96.
 Mury miejskie, 17, 166,
 245, 305.
 Mysia ulica, 278.
 Myślenicka ulica, 278.
 „Myśl na cmentarzu“,
 wierszyk P. Kicińskiego,
 190.
 Milicya, II 101.

N.

„Na Bykowcu“, 16, 221.
 Najwyższa Izba edukacyjna, 63
 Nagrobek generalny, II
 139.
 Nalewki ulica, 218, 304.
 „Na Piasku“, 222.
 Naprawa ulica, 279.
 Napoleońska ulica, 62,
 228. II 163, 186.
 Narew, 20.
 „Na Wale“, 239.
 Niemczyzna, 34.
 Noteć, 20.
 „Nowa Jerozolima“, 289.
 II 21.

Nowa Warszawa, 15, 214
 II 89, 91.
 Nowe Miasto, II 199.
 Nowogrodzka ulica, 235.
 Nowolipie, 231, II 233.
 Nowolipki, II 233.
 Nowomiejska ulica, 15,
 235. II 7, 87, 89.
 Nowy Świat ulica, 222.
 II 37.
 Numeracya domów, II
 160.

O.

Obchody żałobne, II 265.
 Obóz królewski, 222.
 Obrządek grecko-unicki,
 245.
 Oddział kobiet obłąka-
 nych, II 141.
 Odwach „pod Białym
 Orłem“, II 48, 49.
 „Ogińskie“, II 241.
 Ogniowe towarzystwo
 miejskie, 61.
 Ogród „Fraszka“, 258.
 Ogród Krasińskich, 304.
 Ogród Łazarzowski, 230.
 Ogród OO. Reformatorów,
 II 1, 3.
 Ogród Rządowy, II 241.
 Ogród „Sans-gêne“. 258.
 Ogród Saski, II 38.
 Ogród „Tivoli“, 258.
 Ogród wiszący, II 217.
 „Ogródek“, czyli mały
 Gród, 27.
 Ogrodniki v. na Ogrodnikach, 237.
 Ogrodowa ulica, 237.
 „Olendry“, 184.
 Opera włoska, 58.
 Ordynackie, II 228.

Orkan, 36.
 Ormianie, II 9.
 Ornamenty z żelaza, 144.
 Osobliwy budynek, 276.
 Ossolińska ulica, 230.
 Ostrożna ulica, 279.
 Oświetlenie, 61. II 248.
 Owcza ulica, 280.
 „Owiesny“, 93.

P.

Palais Royal, II 18.
 Pałac Bielińskiego, 52. II 39.
 Pałac Blanka, II 4.
 Pałac Brühlowski, 298.
 II 46, 48.
 Pałac Karasia, II 128.
 Pałac Kazanowskiego, 46.
 Pałac Kazimierowski, 46, 63.
 Pałac Kencińskich, II 4.
 Pałac Krasińskich, II 165.
 Pałac ks. St. Poniatowskiego, 307.
 Pałac Kuźniców, II 172.
 Pałac Leszczyńskich, 224.
 „Pałac Lucypera“, 262.
 Pałac Łubieńskich, 52.
 Pałac Łyszkiewicza, 253.
 Pałac Mniszków, 278.
 Pałac Mokronowskiego, II 27.
 Pałac Morsztynowski, II 38.
 Pałac Namiestnikowski, II 94.
 Pałac Ogińskich, 304.
 Pałac Ossolińskich, 308.
 Pałac „pod Blachą“, 263, 264. II 263.
 Pałac Pocieja, 289. II 18.
 Pałac Pruszków, II 4.

Pałac Raczyńskich, 233.
 Pałac Rzeczypospolitej, 232.
 Pałac Saski, 52. II 38, 42.
 Pałac w Wilanowie, II 38.
 Pałacowa ulica, 280.
 „Pamiętki Warszawy“, II 181, 234.
 „Pamiętnik Sztuk pięknych“, II 178.
 Panegiryk nagrobny, 163.
 Parada wojskowa, II 274.
 Parczów, 8.
 Patrole, II 211.
 Paulini 236, 272. II 69, 114.
 „Pawiak“, 279.
 Pawia ulica, 300.
 „Pensya“ Roberta, 206.
 Pensye prywatne, 61.
 Piekarska ulica, 15, 49, 231. II 59.
 „Piekielko“, 231. II 88.
 Pieszka ulica, 232. II 71.
 Pijarska ulica, 229.
 Pijarzy, 46.
 Piękna ulica, 246.
 Piwiarnie, II 117.
 Piwna ulica, 15, 234. II 59.
 Piwnice, 121.
 Piwo piątkowskie, 16.
 Plac Bankowy, II 5.
 Plac Bazyliński, 247.
 Plac Komisyi, 232.
 Plac Krasińskich. 58. II 3, 38.
 Plac Marywilski, 280.
 „Plac mustry“, 253.
 Plac Oranżeryi, 281.
 Plac pod Lwem, 281.
 Plac Saski, 232. II 35—51.
 Plac Teatralny, 215. II 2.
 Plac Węgrzynowski, 232.
 Plac Zamkowy, II 83, 251.

Plany Warszawy, 55, 218,
 229, 231, 237, 267, 293.
 Płock, 4, 5.
 Płaskorzeźby polichromi-
 czne, 235.
 Pocijów, 65. II 17, 22.
 Poczta, 298. II 24.
 Poczta pierwsza stała, 48,
 139.
 Podgórze ulica, 281.
 Podwale ulica, 231. II 90.
 Podwalna ulica, 230.
 Pokorna ulica, 293.
 Polanie, 2.
 Pólkowo, 215, 281.
 Pólkowska Kępa, 184.
 Pólkowska ulica, 253, 281.
 „Pólkowska“ v. „Szubie-
 niczna Góra“, 282.
 Pogoń, 133.
 Półzłotek polskiego gre-
 nadyera, II 148.
 Pogrom żydów, II 23.
 Pomnik ks. A. Czartory-
 skiego, II 281.
 Pomnik na pl. Saskim,
 II 35.
 Pompy, 54.
 Pontebia, 12.
 Poprawa ulica, 233. II 88.
 Porwanie króla w r. 1771,
 58.
 Posągi w ogrodzie Sas-
 kim, II 42.
 Posłowie cudzoziemscy,
 176.
 Pożary, 38, 49, 63, 204.
 Praga, II 199.
 Proces o kwadraturę ko-
 ła, II 104.
 Prochownia, II 102.
 Przechodnia ulica, 237.
 Przeczna ulica, 15, 228,
 283.
 Przedmiejska ulica, 221.

Przedmieście Bernardyń-
 skie, 220.
 Przedmieście Krakow-
 skie, 28, 29, 37, 51, 220.
 II 38, 43, 45, 128, 262.
 Przedzamkowa ulica 283.
 Przejazd ulica, 271, 283.
 Przemysława koronacya,
 7.
 Przeskok ulica, 239.
 „Przyjaciół Ludu“, 186.
 Przypawia ulica, 283.
 Przepust ulica, 283.
 Przywileje, 13, 20. II 61,
 95, 124, 134.
 Przytułki dla żebraków,
 61.
 Psalteria, II 61.
 Psalterzyści, II 61.
 Pusta ulica, 283.

R.

Raczyńska ulica, 233, II
 216.
 Raszyn, II 21.
 Ratusz na Grzybowie, II
 3, 32.
 Ratusz na Lesznie, II 3.
 Ratusz Nowej Warsza-
 wy, II 3, 32.
 Ratusz Starej Warszawy,
 16, 64. II 198.
 Redemptoryści, II 70.
 Reformaci 30, 222.
 Reformacka ulica, 222.
 II 162.
 Regestr Rewizyi Starej
 Warszawy, II 180.
 „Rewizya Gospód“, 49,
 71, 74, 109.
 Rewizya Starej i Nowej
 Warszawy, 48.
 Rewie na placu Saskim,
 II 37.

Roba di Pologna, 34.
 Rogatki Jerozolimskie,—
 236.
 Rogatki Stawczyńskie,—
 293.
 Role starościńskie, II 37.
 Rybacy, 233.
 Rybitwia, 15, 233.
 Rycerska ulica, 231.
 Ryga, 23.
 Rymarska ulica, II 5.
 Rynek Nowego Miasta,
 218, 232, 235.
 Rynek Przedmiejski, 15.
 Rynek Staromiejski, 11,
 15, 16, 49, 67, 77, 142,
 150, 152, 176, 214, 219,
 225. II 56, 59, 117, 215.
 „Rząd Warszawy“, 71.
 „Rzapie“, 302.
 Rzeźba na kamienicy ks.
 Mazowieckich, 126.
 Rzeźnicza ulica, 284.

S.

Sakramentki, 50. II 70,
 206.
 San, 20.
 Sandomierz, 5.
 Saska Kępa, 184.
 Saska ulica, 285.
 Sąd handlowy, II 217.
 Ścięcie Nalewajki, 42.
 Schodki tajemne, II 225.
 Schodki ulica, 285.
 Sejmy, 38. II 20.
 Sejmy wspólne, 8.
 Seminarzyści, 193.
 Seminarium Ś. Krzyża,
 II 126.
 Seminarium Metropolita-
 talne, II 66.
 Senatorska, 222. II 1.

Sewerynów, II 221—229.
 Sielecka ulica, 234.
 Siostry miłosierdzia albo
 Szarytki, 46. II 129, 205.
 Skapa ulica, 285.
 „Sklepy“ (piwnice), 95,
 205, 235. II. 117.
 Sklep Barczyńskiego, II
 67.
 Sklep Gordona, II 67.
 Składy win, 117.
 Ślepa ulica, 231, 235, 250.
 II 56.
 Ślusarstwo, 33.
 Ślusarszczyzna artysty-
 czna, 145.
 Ś. Marcina ulica, 15, 234.
 Śmiała ulica, 286.
 Smutna ulica, 223.
 „Snopek“ herb Wazów,
 29.
 Sobieskiego posąg, 59.
 Solec ulica, 222, 236, 265.
 Sosnowa ulica, 238.
 Spadek ulica, 286.
 Spichrze, 230.
 Śpiewacy, 31.
 St. Augusta koronacja,
 II 43.
 „Stara Prochownia“, 233.
 II 88, 180.
 Stara Warszawa, 15.
 Stare Miasto, II 198.
 Starosta warszawski, 10.
 II 37.
 Stary Pocięjów, 287, 291.
 „Stegno“ (expulsorium
 civile) 303.
*Studium theologicum ge-
 nerale*, 201.
 Styl Odrodzenia, 154.
 Styr, 20.
 Sucha ulica, 291.
 Świątynia ewangelicka,
 58.

Świętojańska ulica, 15,
 193, 296. II 53—85, 117.
 Świętojerska ulica, 197,
 218, 323, 237.
 Świętokrzyska ulica, 15,
 221. II 37.
 Świętych figury, 157.
 Synagoga, 243.
 Syrena, 16. II 81, 112.
 Szeroka ulica, 222.
 Szeroka włóka, 235.
 Sześćdziesiąt lat w je-
 dnym mieszkaniu, 210.
 Szklarstwo, 33.
 Szkoci, 158. II 9.
 Szkoła akuszerok, II 142.
 Szkoła chirurgów pierw-
 sza, 141.
 Szkoła felczerów, II 142.
 Szkoła lekarska, 63.
 Szkoła prawa, 63.
 Szmulowizna, 234.
 Szwedzi, 52, 93. II 253.
 Szykarska ulica, 234.
 Szymanowska ulica, 292.
 Szpital dla ubogich piel-
 grzymów, II 123.
 Szpital Dzieciątka Jezus,
 55. II 129.
 Szpital dzieci podrzuco-
 nych, II 154.
 Szpital „Gnojowników“,
 II, 78, 155.
 Szpital „generalny“, II
 134.
 Szpital Ks. Bonifratrów,
 II 155.
 Szpital Ś. Benona, II 154.
 Szpital Ś. Ducha, 259,
 262. II 92, 104.
 Szpital Ś. Ducha przy
 kość. Augustyanów, II
 154.
 Szpital Ś. Ducha przy
 kość. Paulinów, II 154.

Szpital Ś. Kazimierza, II
 155.
 Szpital Ś. Łazarza, 141,
 229, 296. II 60, 76, 112.
 Szpital Ś. Rocha, II 155.
 Szpital wyzn. Mojżesz-
 wego, 308.

T.

Tania ulica, 293.
 Targi, 61.
 Targowa ulica, 237.
 Targowica ulica, 236.
 „Taryfa Łokciowego“, —
 234.
 Teatralne widowiska naj-
 pierwsze, 47.
 Teatry, 63. II 3.
 Tłomackie, II 87.
 Toruń, 132.
 „Towarzystwo opieki nad
 zabytkami“, 154. II 182.
 „Towarzystwo przyjaciół
 ludzkości“, II 146.
 „Trakt Gdański“, II 61.
 Traktyernia pierwsza, —
 298.
 Trębacka ulica, 225, 256.
 II 2.
 „Tygodnik Ilustrowany“,
 II 182.
 „Tymfy“, 130.
 Tytuniowa ulica, 593.

U.

Ulica bez nazwiska (I)
 294.
 Ulica bez nazwiska (II)
 295.
 Ujazdów, 246.
 Ujazdowska aleja, 246.

Usilna ulica, 297.
Ustawa pierwsza Tow.
Dobroczynności, II 153.

V.

„*Varsovie ridicule*“, II 79.
194.
„*Varsovie vengée*“, II 164.
Volumina Legum, I, 22.
„*Voyageur d'Europe (le)*“
25.

W.

Wacława czeskiego ko-
ronacya, 7.
Waliszewo v. Chwalisz-
ewo, 15
Wandalizm, II 108.
Warszaty artyleryjskie,—
303. II 231.
Warszawskie Tow. Przy-
jaciół Nauk, 61.
War i Sawa, 127.
Wązka ulica, 233. II 214.
Wązkie Krakowsk. Przed-
mieście, 51, 256, 297.
„W Bramie“, 251.
Wałowa ulica, 237.
„Węgrzy marszałkowscy“
II 101.
Wekslarze, II 14.
Wersal, II 41.
Wesoła ulica, 300.
„Wiadomości Warszaw-
skie“, II 138.
Widoki Warszawy, 138.
„Wiechy“, 235.
„Wieczory na Starem
Mieście“, wiersz, 180.
„Wieczory uczone“, 299.

Wielopolska ulica, 236.
Wieprz, 20.
Wierzbowa ulica, II 1.
Wierzbowska ulica, 237.
II 2.
Wieża Okrągła albo Mar-
szalkowska, 248, II 93,
95.
Więzienna ulica, 300.
Wieża Zygmuntowska,—
28.
Wilanów, 50.
Wilno, 8, 9, 23.
Winiarnia Fukierowska,
118.
Wisła, 20.
Wizytki, 46, 269. II 205.
Wjazd tryumfalny Żół-
kiewskiego, 40.
Wjazd Lisowczyków, 40.
Władysław Łokietka ko-
ronacya, 7.
Włoka Świętokazimier-
ska, II 133.
Włosi, 34.
Włoskie mody i obyczaj-
je, 34.
Wodna ulica, 301.
Wodociąg, II 252.
Wola Grzybowska, II 150.
Wola wieś, 218.
Wolnica ulica, 237.
Woźny marszałkowski, II
20.
Wójt czyli *Advocatus*, 100.
Wójtowstwo, II 7.
Wygoda ulica, 301.
Wygon, 218, 222, 302. II
231.
Wyjazd ulica, 303.

X.

Xenodochium, 234.

Z.

Zadzikowska ulica, 240.
 Zajazd „Dziekanka“, 256.
 Zakaz chowania zmarłych przy kościołach, 59.
 Zamek krakowski spalony, 2, 19.
 Zamek królewski, 2, 11, 16, 22, 27, 28, 39, 41, 58, 64, 77, 125, 215, 263, 283. II 39, 198.
 Zamek Ujazdowski, 16, 131, 215.
 Zamkowa ulica, 263.
 „Za Mniszkami“, 16.
 Zapiecek ulica, 305, II 72.
 Zarząd komunikacyi, 278.
 „Za Świętym Krzyżem“, 16.
 Zatyłki ulica, 275, 305.
 Zawrót ulica, 305.
 Zazdrość ulica, 306.
 Zbiorniki wody, 302.
 Zdrojowa ulica, 306.
 Zdrój królewski, 286, 307.
 Zdrowa ulica, 307.
 Zgoda ulica, 238.
 Zielona ulica, 307.
 Zimna ulica, 275.

Zjawienie ulica, 308.
 Złotnictwo, 33.
 Złotnicy, 31.
 Zupa Rumfordzka, II 146.

Ż.

„Żale fórtty“, II 245.
 Żelazna Brama, 036.
 „Żoliborz“, 265.
 Żółwia ulica, 309.
 Żórawia v. Żórawieńcowa ulica, 240.
 Żupy solne, 89. II 6.
 Życie rodzinne i towarzyskie, 61.
 Żydowskie Bielany, II 88.
 Żydowska ulica, 15, 89, 219, 242.
 Żydzi, 10, 61, 238, 242, 243, 288, 290. II 17, 19, 20, 23, 272.
 Żyzna ulica, 309.

Ż.

Źródłowa ulica 232.

II.

OSOBY,

O KTÓRYCH SIĘ W TEJ PRACY WSPOMINA.

A.

Aksamitowski, II 48.
Albert, książę pruski, 104.
Albertrandi, II 152.
Albinowski Rudolf, II 273.
Aleksander I, cesarz i król, 64, II 225.
Aleksander Jagiellończyk, 8.
Aloy, 304, II 241.
Andrychewicze, 75, 109, 190.
Andrzejewski Paweł, 276.
Anna, arcyksiężniczka austrijska, żona Zygma. III, 44.
Anna Jagiellonka, 13, 43.
Anna Krakowianka, 127.
Anna, ostatnia księżna Mazowiecka, 127, II 63.
Anonimus, II 16.
Antoszevska, 75.
Arciszewski Krzysztof, 47,

d'Arquien de la Grange Marya, 236.
August II, 53, 198, II 39, 42, 207, 261.
August III, 53, 198. II 111, 132, 139, 196, 207.

B.

Bacciarelli, 142.
Baccigalupi, 169.
Bach, II 15.
Balcer, 183, II 113.
Baliccy, II 169.
Baltresca, cukiernik, II, 84.
Bandynelli, 106.
Barankiewicz, II 259.
Barbara królowa, 11.
Barbara z Domniewa, 86.
Barbara z Wyszkwic, 86.
Barszcz Franciszek, 209.
Bartolorówna Jadwiga, 89.

- Bartoszewicz Julian, 3, 5,
 22, 30, 39, 177, 247. II
 27, 134, 136, 164, 222.
 Bartoszewicz Kazimierz,
 II 222.
 Baryczkowie, 81—94.
 Baryczka Bartłomiej, 82.
 „ Henryk, 82.
 „ Iwo, 81.
 „ Jacek, ksiądz,
 91.
 „ Jan, 82.
 „ Jędrzej, łowczy
 sochaczewski,
 94.
 „ Jerzy, 86. II 73.
 „ Marcin, ksiądz,
 83—86.
 „ Mateusz, 155.
 „ Michał, kapitan,
 wierszopis 94.
 „ Piotr, 87.
 „ Piotr *junior*, 87.
 „ Stanisław, 80,
 153, 244.
 „ Szymon, 87.
 „ Waclaw, 86.
 „ Wojciech, 86,
 152, 133. II
 178.
 „ Wojciech, sta-
 rosta ujaz-
 dowski, 92.
 Baudouin Piotr, ksiądz,
 55. II 122—130.
 Bauer, II 226.
 Baumgartowie Jan i Pau-
 lina, 180.
 Baumowa Magdalena, 111.
 Belotti, architekt włoski,
 51.
 Bembus, 30.
 Bentkowski, 69.
 Berczyńska, perukarka,
 107.
 Bernaux Klemens, ku-
 piec, 141.
 Bernstein Lewi, 136.
 Bertiolati Franciszek, 211.
 Beydale Cecylia, II 148.
 Białkowska Agnieszka,—
 II 74.
 Białobrzeski, 259, 260.
 Białowas, 142.
 Bielewicz, 172.
 Bielińska Krystyna z San-
 guszków, II 140.
 Bieliński Franciszek, mar-
 szałek w. koronny, 54,
 221, 288. II 19, 28, 39,
 104, 197, 237.
 Bieliński Franciszek, pi-
 sarz w. koronny, II 136,
 140.
 Bigoszewscy, II 69.
 Blank Piotr, bankier, 224,
 261, 310.
 Bleszyński, 107.
 Bobola Andrzej, 129.
 Bodzanta, biskup krakow-
 ski, 84.
 Bogdanowicz, 196.
 Bohomolec ksiądz, 180,
 182.
 Bolesław Krzywousty, 4.
 Bolesław, książę Mazo-
 wiecki, 70.
 Bolesław Smiały, 4.
 Bojarski Konstanty, II—
 273.
 Bona, królowa, 10. II 121.
 Bona Maryanówna, 152.
 Boratini Tytus Liwiusz.
 130—133.
 Bornbach Jan, II 73.
 Borysławski, 253.
 Borzęcki, ksiądz, II 60.
 Bogusławski Wojciech,
 63.

Brajewicz Aleksander,—
181.
 Brancarini bracia, 143.
 Branicki Jan Klemens, II
140.
 Braun, 172.
 Braun, autor „Theatrum
Urbium“, 13, 248. II 232.
 Breza, 79.
 Brühl Alojzy Fryderyk,
hr. starosta warszaw-
ski. II 156.
 Brzeziński Tomasz, ku-
piec, 138.
 Burnbach v. Borumbach,
209.
 Busser Łukasz, II 74.
 Busserowie, 149, 162.
 Butiagin v. Butaquin, II
226.
 Büllau, poseł ks. kur-
landzkiego, 154.
 Byczkowski Andrzej, 199,
201.

C.

Campi, 133.
 Canaletto Belotto, 57.
 don Carlos, 119.
 Celner, II 88.
 Cetner, hrabia. II 227.
 Chartron, 310.
 Chodkiewiczówna Tere-
sa, wojewodzianka wileńska, II 167.
 Chołociński, 276.
 Choromański, 79.
 Chrościccy, II 57.
 Corazzi, 65. II 5.
 Cybulski Józefat, 181.
 Cyzartowicz v. Ciężarto-
wicz, 293.

Czacka Kunegunda z San-
guszków, 140.
 Czaczkowski, 304. II 241.
 Czamer Aleksander, 157,
161, 163.
 Czamer Wilhelm, II 239.
 Czarniecki Stefan, he-
tman, II 32, 118.
 Czarnołuski, II 273.
 Czarnotulski, 11.
 Czartoryski Adam, ksią-
żę, 148. II 266—281.
 Czartoryski August, Ale-
ksander, książę, 140,
266.
 Czechowicz Szymon, 182.
 Czempińscy, II 74.
 Czempiński Ambroży To-
masz, 178.
 Czempiński Jan Chrzci-
ciel, lekarz, 97, 177.
 Czempiński Paweł, 98,
178, 206.
 Czerscy, 149, 194.
 Czermak, 245.
 Czetwertyński, książę, II
221.
 Czornowie, II 111.
 Czorn Jan, szafarz miej-
ski, II 111.
 Czorn Jan (junior), bur-
mistrz Star. Warszawy,
II 111.
 Czyżewski, biskup, II 280.

D.

Dalewska Lucya, 191
 Dalewski, 191.
 Danuta, córka W. Ks. Lit.
Kiejstuta, 124.
 Dąbkowski, 96.
 Delpinowski, 106.

- Denhoffowie, II 40, 265.
 Derussi, 172.
 Dębołęcki, ksiądz, 219.
 Diehl Karol ks., II 153.
 Dietrich Adolf, II 177.
 Dietrich Bohdan, 260.
 Długosze, 95.
 Długosz Paweł, 95.
 Długosz Stanisław, 95.
 Dłużycki, II 256.
 Dmuszewski, II 114.
 Dobrowolscy, II 111.
 Dolabella Tomasz, 32, 36.
 Dornfeld, 142.
 Drewnowie, 149.
 Dufour Piotr, 168.
 Dulfus Jan, prezydent,
 II 170.
 Działyński, 224.
 Dziańotowie (Gianotti),—
 149, 173, 175. II 114.
 Dziańotowa Weronika,—
 175.
 Dziańoty Jakób, 173, 175.
 Dzwonkowsy Franciszek
 i Karolina, 182.

E.

- Ebert, 201.
 Eichler, 239.
 Ekendorf, 94.
 Eleonora, arcyks. austr.,
 żona króla Michała Ko-
 rybuta, 49, 198.
 Elsner, II 280.
 Elżbieta, królowa angielska,
 158.
 Erazm z Rotterdamu, 69.
 Erhardt, 150.
 Erndtel, lekarz Augusta
 II-go, II 1, 9, 151.

F.

- Fabrycy Paweł, księgarz,
 31.
 Falkiewicz Stanisław, raj-
 ca i szafarz, 100, 158.
 Falkowski, 59.
 Fastynowicz, II 115.
 Ferdynand III, cesarz nie-
 miecki, 173.
 Firlej Henryk, biskup
 płocki, II 247.
 Figura, mieszczanin, II
 106.
 Flaczkievicze, 79, 96.
 Folino Bartłomiej, kapi-
 tan artylerji, 172.
 Fontana, 194.
 Francowa, II 214.
 Franzos II, 194.
 Fryderyk August, 61, 198.
 Fryderyk Wilhelm, 59, 60.
 Fuggerowie v. Fukarow-
 wie, 116. II 73.
 Fukier Floryan, 115.
 Fukier Michał, 117.
 Fukier Teofil, 107.
 Fukierówna Krystyna, 89.

G.

- Gagatkiewicz Wincenty,
 lekarz, 141.
 Galecka Zofia, ksieni Ka-
 noniczek, II 12.
 Gambakurta, cukiernik, II
 84.
 Gaszyński Antoni, szam-
 belan, 115.
 Gautier Jan, 190. II 83.
 Gąsiorek, II 88.
 Gass Michał, proboszcz
 węgrowski, II 169.
 Gebauer August, 182.

Gérault, pułkownik, 265.
 Gianotti, 172.
 Giedrońc, książę, generał
 dywizyj, 299.
 Ginter Marcin, 78. II 114.
 Ginter Juliusz, 147, 148.
 II 180.
 Giorgio, 202.
 Gizowie, 149, 203.
 Giza Aleksander, 70.
 „ Balcer, albo Balta-
 zar, 69.
 „ Franciszek, 71.
 „ Jakób, 71.
 „ Jan, 69.
 „ Jan Aleksander, 70.
 „ Mikołaj Konstanty,
 70, 122.
 „ Paweł, 69.
 „ Tydeman, 68.
 Gizanka Barbara, 184.
 Glinka, II 84.
 Glücksberg J., 190, 261,
 274. II 240.
 Głębocki Adryan, II 245.
 Głowacki Józef, 198.
 Gniewczyński, 147.
 Godswiller, 100.
 Goldman Leon, 237.
 Gołaszewski ks. biskup
 przemyski, II 271.
 Gołombiowscy, 75.
 Gołębiowski Łukasz, 1,
 18. II 29, 75, 143.
 Gorczyn Jan Aleksan-
 der, 48.
 Goźdzka Karolina, II 224.
 Goździejewska, 151.
 Górnicki Łukasz, II 98.
 Górski chorąży, 276.
 Gostkowski Wojciech, —
 161.
 Grabowski, 190.
 Grabowski Ambroży, 12.
 Grabowski P., II 84.

Greber, 191.
 Grochowski Stanisław,
 poeta, 113. II 245.
 Grotthoff, 99.
 Gröll Michał, księgarz i
 drukarz 142. II 25.
 Gröll Karol, rysownik
 i rytownik, 171.
 Gröfte Aleksander, II 141.
 Grzemska, II 273.
 Gudheit, 109.
 Gugenmus Franciszek, —
 192.
 Gugenmus, *horloger du*
Roy, II 83.
 Gutakowska, wojewodzi-
 na, II 148.
 Gutakowski, 97.
 Guzowski, 156.
 Gwizdalewicz, II 225.
 Gwizjusze, 158.
 Gzowski. 300.

H.

Hallman, 304. II 241.
 Hangel, winiarz, II 74.
 Hasselbek, 278.
 Hawłoz Tomasz, rajca,
 II 115.
 Heidenbruch, II 84.
 Hempel Jan Jerzy, 276.
 II 111.
 Hencel, 302.
 Henriet Klaudiusz, 97.
 Henryk Brodaty, król, —
 II 97,
 Henryk Walezyusz, król,
 13, 17.
 Heppen Julian, 115. II
 225.
 Herse, 291.
 Hiż, architekt, 298.

Hoffmanowa Klementyna, 98, 179.
 Holc, 147, 201.
 Holstein - Beck, księżna, II 115.
 Horalik, mydlarz, 302.
 Horlemesowie, 183—187.
 Horn Arwid, generał, II 253, 261.
 Hoszowski Nereusz, II 273.
 Hunowska Anna, wojewodzianka bełzka, 127.
 Hylzen Józefat, ksiądz, II 138, 140.

I.

Ilnicki, 98.
 Itar, budowniczy, 172.
 Izdebscy, 79.

J.

Jabłonowski Antoni Barnaba, 140.
 Jabłonowski Józef, hrabia, II 273.
 Jabłonowski Ludwik, hrabia, II 273.
 Jabłoński, 150.
 Jan Kazimierz, 47, 70. II 100, 165, 168, 231, 259.
 Jan Klemens z Radziwia, lekarz i burmistrz, 138.
 Janusz, brat Anny, 125. II 65.
 Janusz I ks. Mazowiecki, 10. II 62.
 Janusz Starszy ks. Mazowiecki, 104, 124, 256.
 Jaruntowski Jan, II 273.
 Jaruntowski Antoni, II 273.

Jarzębski Adam, autor „Gościńca“, 45, 68, 80, 104, 149, 172, 191, 308. II 152, 238, 247, 264.
 Jawornicki Eustachy, II 273.
 Jawornicki Michał, II 273.
 Jaworski Jan, 170.
 Jelenie, 79.
 Jenny Piotr, 107.
 Jerzy Fryderyk, 13.
 Jerzy, muzyk, 202.
 Jezierski Salezy Franciszek, ksiądz, 25, 57.
 Jędrzejewicz, 150.
 Jobscy, 209.
 Jucht Jerzy, 78.
 Jurkowski, II 114.
 Juszyński, cześnik podolski, II 248.

K.

Kabryt, bankier, 261, 299, 310.
 Kacperkiewicz, II 118.
 Kaczkowski, 120.
 Kalina, II 98.
 Kapuściński, 300.
 Karaś, 98.
 Karnicki, baron, II 273.
 Karnof Jan, złotnik, rajca, II 232.
 Karol Gustaw, II 6.
 Karol Sudermański, 21.
 Karoli Krystyan, zegarmistrz, 171, 305. II 218, 241.
 Katarzyna Jagiellonka, 28.
 Kazanowscy, 46, 197.
 Kazanowski Adam, 129.
 Kazimierz Wielki, 7, 83.
 Kazub Andrzej, burmistrz, III.

- Kędrowscy, II 69.
 Kiciński Bruno, 186.
 Kiciński Michał i Franciszka z Rylskich, 187.
 Kiciński Pius, 186.
 Kicka Teresa, II 148.
 Kiedrowscy, 149.
 Kiliński, szewc, pułkownik, 286.
 Kitowicz, II 19, 101.
 Kleinpoldt, 150.
 Kliczewska, 231.
 Klim, wójt jurydyki Radziwiłłowskiej, 266.
 Kliszewska, II 65.
 Kloczyński, II 256.
 Klucznikowski, 106.
 Kłos Piotr, 113.
 Koberlejowa, 276.
 Kobylecki Antoni, 191.
 Kochanowski Jan, 205.
 II 245.
 Kociszewscy, 149, 195.
 Kociszewski Tomasz, 191.
 Koc Jan, ksiądz, II 104.
 Kokosz, rybak, 127.
 Kolberg Wilhelm, 250, 254.
 Kollowrath, hrabina, II 132.
 Koloman, król halicki, 82.
 Kollataj Hugo, 108, 299.
 Komarkiewicz, ksiądz, — 246.
 Konarski Stanisł. ksiądz, 55. II 132.
 Konrad ks. Mazowiecki, 82.
 Konstancya, arcyks. austryacka, druga żona Zygmunta III, 44.
 Kopernik Mikołaj, 69.
 Kopke, 97.
 Korb Grzegorz, III.
 Kortonich Eugeniusz Inocenty, II 104.
 Korwin Gracyan, 205.
 Korycka znachorka, 11.
 Korycki, 109.
 Korycki, szafarz królewski, 155.
 Korytowski, 310.
 Kosiński, 78.
 Kossakowski Józef, II 153.
 Kossakowski Szymon, hełtman W. K. L., II 172.
 Kostka, 96.
 Kostrzewski Franciszek, 95.
 Kościuszko Tadeusz, 189.
 Kotowicz, pisarz W. Ks. Lit. 203.
 Kotyńscy, 79.
 Kowalkowscy, II 76.
 Krakowiński v. Brukarski Grzegorz, II 164.
 Krasicki Ignacy, biskup, 299. II 138.
 Krasieński Dobrogost, II 38, 165.
 Krasieński Jan Kazimierz kasztelan warszawski, II 164.
 Krasieński Stanisław, II 169.
 Krasieński Wincenty hr. generał, II 275.
 Krasieńska Anna z Ossolińskich, II 140.
 Kraszewski, 194.
 Kraszewski Józef Ignacy, 45, 84.
 Krauze, 280.
 Kreni Karol, ksiądz, II 140.
 Krenn Anna, 105.
 Krennowie, II 79.
 Królikiewicz, pułkownik, 259.

Krynicki, 300.
 Ksawery, królewicz, II
 139.
 Kugiel Jan, II 118.
 Kulewski, 205.
 Kuliński, 206.
 Kulska Jadwiga, 90.
 Kupcewicz, 193.
 Kurnatowski generał, II
 275.
 Kurowski Józef, poru-
 cznik w wojsku saskiem,
 144.
 Kurowski ksiądz, 68, 108,
 118, 128, 141, 155, 210.
 II 234.
 Kurowski Maciej, 143, 145.
 Kuśmierski, 94, 209.
 Kwiatkowski, 79.

L.

Lafontaine dr., 142.
 Lafontainówna Prowiden-
 cyja, 179.
 Lampe, bracia, II 84.
 Lauber Karol ks., 153.
 Lebenthalowie Kiwa i Ce-
 cylija, 181.
 Lebrun Tomasz, 169.
 Ledu (Ledoux), murzyn,
 308.
 Le Fort, baron, 156.
 Leier Jerzy, jezuita, II
 70, 123.
 Leirmont v. Lermount Je-
 rzy, 162.
 Lelewel, 98. II 72.
 Lengnich, 130.
 Leszczyńscy, II 40, 233.
 Leszczyński Andrzej, ar-
 cybiskup gnieźnieński,
 II 233.

Leszczyński Jan Prze-
 sław, starosta warszaw-
 ski, II 234.
 Lesznowski, red. „Gazety
 Warszawskiej“, 169.
 Letronne, II 277.
 Leullier, szambelan kró-
 lewski, II 248.
 Lewicki, generał - poru-
 cznik, II 275.
 Lewiński, biskup, II 280.
 Liedtke, II 84.
 Ligber, 142.
 Lingnau, 138, 151.
 de Lille, książę, 299.
 Lindnerowie Jan i Feli-
 cyanna ze Styczyń-
 skich, 181.
 Lobert, prezydent Starej
 Warszawy, 135.
 Löbius, 150.
 Lubomirscy, II 40.
 Lubomirska, księżna, 230.
 Lubomirski, marszałek w.
 koronny, 248. II 20, 104.
 Ludwik, król węgierski,
 88.
 Ludwik XVIII, król fran-
 cuski, 299. II 152.
 Lubowidzki, wice-prezy-
 dent policyi, II 275.
 Lutostański, 150.

L.

Łapiński, 262.
 Łazarewiczowa, 252.
 Łacki, kasztelan sando-
 mierski, 260.
 Łokietek, 7.
 Łoś Zygmunt hr. I 273.
 Łubiński Jan, II 153.
 Łukaszewicz, 205.
 Łuskińska, ksiądz, 123

Łyszkiewicz, bankier, 194,
253, 261, 304. II 74, 241.

M.

Magier, 168. II 157, 207.

Majeran, burmistrz Starej
Warszawy, 77.

Majeran v. Marian Mi-
kołaj, aptekarz królew-
ski, 96.

Majewscy, 75.

Majewski Skorochód Wa-
lenty, metrykant koron-
ny, II 77, 85.

Makowiecki, 262.

Malcz, doktor, 299.

Malinowski, ksiądz, 169,

Małachowcy, II 40.

Manerelli, nauczyc. śpie-
wu, 171.

Mangiani, II 119.

Marcyalis Ryszard, ku-
piec, 141.

Marcinkiewiczowa, 280.

Marya Kazimiera, 198. II
6, 18.

Marya Ludwika, 46. II 165.

Marya Stuart, 158.

Markiewiczze, II 69.

Martin Jean, 150.

Martensowie, 203.

Martynowski F. K. II 176.

Marugiewicz ks. sufragan
warsz., II 276.

Maruszewski, 117.

„Marysieńka“, królowa,
50. II 8.

Maskiewicz Samuel, II
167.

Massalski, biskup, 299.

Maszkowski, 151.

Matejko, 119.

Matuszewicz, 229.

May J., 190.

Meizner Gnstaw, 182.

Mejerin Urszula, 76.

Merlini, 251.

Miaskowski August, 210.

Michajłowski - Danilew-
skij, 60.

Michał Teodorowicz, car,
162.

Mieszkowska, 165.

Miklaszewski W., II 280.

Minasowicz, 154.

Mincerowa (Mintzerowa),
134.

Minde, II 84.

Mintzer Dawid, 134.

Mniszech Mikołaj, 11.

Modzelewski Jan, jeden
z pierwszych księgarzy
warsz., 31.

Molski M., II 219.

Monaldi Jakób, rzeźbiarz,
II 104.

Moniuszko, II 265.

Montelupi Karol, 138, 139.

Montelupi Sebastyan, 139.

Montelupi Walery, 139.

Morawski, 59.

Morsztynowie, II 38.

Morsztyn Andrzej, II 38.

Morsztyn Tobiasz, II 38.

Morsztynówna Izabela,—
II 39.

Morsztynówna Ludwika,
II 39.

Morykoni, 191.

Mostowski, 309.

Mściwojewski, 168.

Müller, II 84.

Mycielski Stanisław, sta-
rosta lubiatowski, II
216.

Mysłiborski, 165.

N.

- Nakwaski, podkomorzy
wyszogrodzki, 260.
Nakwaski, prefekt dep.
warszawskiego, II 189.
Nalewajko, 42.
Napoleon I, 62, 228. II 185.
Naruszewicz Adam, II 71.
Narzymiski Jakób, staro-
sta bobrownicki, 143.
Narzymiski Stanisław, sta-
rosta ciechanowski, 143.
de Nassau, książę, II 224,
226.
Niemcewicz Julian Ur-
syn, 43, 44. II 148, 268,
277.
Niesiecki, 81, 82, 88, 92,
140.
Nieszporkiewicz, ksiądz,
II 122.
Nikolai Krzystof Bogu-
mił, księgarz, II 25.
Norblin, 57.
Nowicki, 123.

O.

- Oda, wdowa po Miesz-
ku, 3.
Odyniec, II 265.
Ogińska, księżna, 230.
Okęcki Antoni, biskup
poznański, II 71.
Okoniówna Maryanna, II
238.
Olborsey, II 128.
Opaliński Łukasz, 34.
Orgelbrand Samuel, księ-
garz i wydawca, 300.
Orłowski Aleksander, ry-
sownik, 57, 122, 171.
II 218.

- Orłowski Jerzy, ławnik,
167.
Orsetti, II 113.
Orzelska, II 115.
Orzelski, 11.
Ossolińska Józefa z Mor-
sztynów, II 140.
Ossoliński, wojewoda po-
dlaski, 279.
Ostrowski, hrabia, II 148.
Otton, cesarz, 4, 250.
Ożarowski, kasztelan woj-
nicki, 265.

P.

- Pacelli Asprillo, 31. II 81.
Pasek, 51.
Passamonik Krzysztof,—
143.
Patz, 76.
Pawiński A., 124.
Petrowicz Ksawery, II
273.
Petyskus, II 2.
Petz Gabryel, rzeźnik, 276.
Pfaff Fryderyk, księgarz,
II 25.
Philonardus, nuncyusz
papieski, II 256.
Piasecki, 43.
Piaskowski, 98.
Piekarski, 42.
Piekarski Stanisław, II
116.
Pierzchała Baltazar, ła-
ziebnik, II 98.
Pilatti Henryk, 172. II 112.
Piotrowski, 138.
Piwarski J. F., 95.
Piwniczny Mikołaj, 234.
Plater Ludwik, II 153.
Pocieja, hrabia, II 148.
Pociejowie, II 18.

Podczaszyński Bolesław,
II 177.
Pol, 120.
Poliński Franciszek, 192.
Poniatowski Józef, ksią-
że, 250.
Poniatowski Michał Je-
rzy, książe, II 140.
Popławski Mikołaj, dzie-
kan warsz., II 66.
Potoccy (z linii Łańcuc-
kiej), 224.
Potocka Stanisławowa, II
274.
Potocki, 189, 262.
Potocki Aleksander, hr.,
II 274.
Potocki Alfred, hr., II 271.
Potocki Artur, hr., II 271.
Potocki Feliks, hr., 299.
Pöppelman, architekt, II
40.
Pradt, 62.
Preyss, 167.
Przemysław, książe wiel-
kopolski, 7.
Przezborski, 203.
Przeździecki Aleksander,
hr., 146.
Przyszychowski, II 219.
Pstrokoński Wojciech, II
66.
Ptaszkiewicz, II 114.
Puczyński, II 118.
Puksza Józef, 170.
de Pyrch, major, 259.

Q.

Quellus, 135.

R.

Rabe Jakób, ławnik, 115.
Raczkowski, 280.
Raczyński Edward, 139.
Raczyński Filip, generał,
233. II 216.
Radziejowski Hieronim,
II 100.
Radziwiłł Albrecht, ksią-
44, 77.
Radziwiłł Krzysztof, 160.
Radziwiłłówna Anna, 127.
Rafałowicz, bankier, 261.
Raffet, malarz, II 47.
Ragoczy, II 25.
Rautenstrauch, 259, 309.
Rawski, 253.
Rawski Albert, 105.
Razicka Zofia, 114.
Razicki Stanisław, 114.
Rebandel, II 84.
Riaucourt'owie, II 76, 81.
Riaucourt Andrzej, II 81.
Riaucourt Piotr, szambe-
lan, II 81.
Ricaud de Tirregaille,
pułkownik, 275.
Richard J., 114.
Richardowa Maryanna,—
114.
Richter generał-major, II
274.
Rochefort, 25.
Rodziewicz, 291.
Rogalski, 107.
Rola Franciszek, 110, 122.
Roman, 310.
Romanowski, 165.
Rossi, tragic, 119.
Rózicki, 253.
Różański, 252.
Różycówna Jadwiga, 81.
Rudawski, dziejopis, 69.
Rudawski, ksiądz, II 60.

Rudolf II, cesarz, 92.
 Rumford Beniamin, hrabia, II 146.
 Rutka *v.* „Wilk“, II 89.
 Rybiński, biskup kujawski, 298.
 Rydlowa, III.
 Rylle J. A., 150.
 Rzewuski, 189. II 219.

S.

Sacher-Masoch, II 194.
 Sadlo, baronowa, II 273.
 Sahim (Klaudiusz Antoni) kupiec, 140.
 Salvator, II III.
 Sanguszkowa Barbara z Duninów, ks. II 140.
 Sapieha ks. Paweł, 299, 310.
 Sapieżyna Joanna z Sułkowskich, II 140.
 Sapieżyna ks. z Branickich, 298.
 Sarnicki, 12.
 Sarnowicz, 79.
 Sawscy, II 114.
 Schindler Jan Ernest, mincarz, 114.
 Schmidt Jan, mincarz, 129.
 Schultz F., podróżnik, II 14, 125.
 Serociński, 156.
 Seydlitz, poeta, II 46.
 Sękocki *v.* „Wawro“, II 89.
 Siarczyński ks. kanonik warsz., 32, 202. II 271.
 Siciński, poseł upicki, 189.
 Sielski, 302.
 Siennicki, II 256.
 Sierakowski, rzeźnik, 286.
 Skarbek, 59, 62.
 Skarga Piotr, 30, 37, 207, II 60, 78.
 Skiwski, 205.
 Skopowski, 310.
 Skrochowski Józef, II 273.
 Skrochowski Manswed, II 273.
 Słomińska Julia z Zawiszów, 181.
 Słowacki Juliusz, II 57.
 Służka, podskarbi nadw. litewski, II 100.
 Smogorzewski Jazon Junosza, metropolita, 247.
 Smoliński, 280.
 Smuglewicz Łukasz, 182.
 Snigórski ks. biskup przemyski, II 271.
 Sobieski Jan, 50, 51, 198, 227. II 6, 66.
 Sobieszczański, 1, 18, 19, 48, 112, 129, 133, 134, 138, 158, 199, 212, 227, 228, 240, 279. II 80, 136, 157, 171, 193, 236.
 Soczawski, 196.
 Sokoliński, 300.
 Sokołowski, II 118.
 Soldenhoff, 253.
 Sołtyk, biskup krakowski, 252. II 248.
 Sommer Wincenty, II 84.
 Springer F. II 65.
 Sroczyński, 196.
 Stanisław August, król, 58, 198, 246, 248. II 139, 197.
 Stanisław ks. Mazowiecki, II 64.
 Stanisław Leszczyński, król, 224. II 28.
 Starowolski, 69, 175.
 Stasiakowski, II 84.
 Staszic, 65.

Stefan Batory, król, 9, 13,
159. II 232.
Strubicz Balcer (Baltazar), 104, 206.
Strubicze, 110, 149, 194.
Struve Henryk, profesor,
II 40.
Strykowski, II 97.
Świątkowski, 269.
Świerczyński, 209.
Świnka, arcybiskup, 7.
Syrokomla, 120.
Szalapski, 134.
Szalborski, 262.
Szaniawscy, II 169.
Szaniawski Konstanty, II
216.
Szczyński, II 66.
Szelechowski Antoni, II
273.
Szelert, 106.
Szembek Jan, kanclerz
w. koronny, II 216.
Szeptycki Hieronim, bi-
skup płocki, II 140.
Szlenker, II 84.
Szlichtyng, 150.
Sznegas, 291.
Szołdrski Andrzej, biskup
poznański, II 256.
Szpilewski, geometra, II
186.
Sztejner, aptekarz, 273.
Sztetner, 282.
Szubalscy, II 111, 169.
Szubalski, 107.
Szulendorf, II 215.
Szumlański, pułkownik,
II 273.
Szwarcenberg - Czerny
z Witowic, kasztelan
sądecki, 222.
Szweneich, II 227.
Szweryn, pułkownik, II
275.

Szyc (Schütz), konduk-
tor, 298.
Szymanowski, II 180.
Szymanowski, regimen-
tarz, 260.
Szymańska, 156.

T.

Talenti Piotr, 143, 145.
Tarłowie, II 40.
Temporowski, 142.
Tepper, bankier, II 21,
247.
Tietz Franciszek, 134.
Tobiasz z Sandomierza,
śpiewak, 32.
Tokarski, 203.
Tomaszewski, 142.
Topczewski, 300.
Trembecki Stanisław, II
219.
Treter Mikołaj, braciszek
zakonny, 145.
Tucholczyna, 206.
Tugut Karol, II 85.
Tylkowski Wojciech, ks.,
82, 83, 88.
Tympf Andrzej, 130.
Tymiński, 300.
Tyszkiewiczówna Anna,
250.

U.

Ulbricht Ferdynand, 100,
201.
Unger Gracyan, 170.
Unger Józef, 170.
Urban, aptekarz królew-
ski, 108.
Urbańska, II 273.

Uruski Seweryn, hrabia,
II 222, 227.
Uruski, szambelan, 290,
II 18.

V.

Vogel, 75. II 67, 277.
Vollnagel, II 84.

W.

Wachnicowie, 203.
Wacław, król czeski, 7.
Wacław z Szamotuł, 32.
Wagnerowa, 98. II 72.
Walbach Melchior, 73.
Walter Kacper, rajca, 167.
Wapowski Bernard, 232.
II 65.
Wardyński, 260.
Warszyccy, II 18.
Wasilewski, 118.
Wasilewski Józef Sewe-
ryn, konsyliarz St. Au-
gusta, 298.
Wasil Szujski, car, 32.
Wegnerowie, 206,
Weichertowa, II 84.
Weinert, 2, 19, 23, 89,
129, 172, 219, 244, 247,
261, 268, 270, 275. II 124.
Weise Augustyn, 228.
Wemmer Aleksander,—
114.
Wemmer Benedykt, 114.
Węgierski Maciej, ks. II
153.
Wiatrowski, II 115.
Wielki książę cesarze-
wicz, II 46, 48, 49, 276.
Wielopolski Jan, 236.
Wien, 107.
Wierzbicki, 291.

Wierzbowski, biskup po-
znański, 237. II 2.
Wilczan, 156.
Wilczogórcy, 140.
Winkler Dominik, pisarz
skarbu koronnego, 143.
II 248.
Wirtemberska, księżna,
II 148.
Wiszniewski Karol, II 273.
Wiszniewski Michał, 132.
Wiśniewski, 282.
Wiśniowiecki Michał, 49,
69, 198.
Witold, syn Kiejstuta (W.
Ks. Lit., 124.
Witthoffowie, II 79, 215.
Witthoff Franciszek, 71.
II 80.
Witthoff Gerhard, II 79.
Witthoff Stanisław, 72. II
80.
Witwicki Stanisław, bi-
skup poznański, II 7.
Władysław Herman, 4.
Władysław Jagiełło, II 97.
Władysław IV, 45, 46, 129,
263. II 69, 97, 124, 256.
Wojciechowski, 291.
Wojniakowski Kazimierz,
malarz, 172.
Wolscy, 149, 197.
Wolski Włodzimierz, 263.
Woronicz, biskup, II 280.
Wójcicki, I. K. 192. II 78,
85.
Wróblewski Jan, 170.
Wydorowska, 147.
de Wyzewa v. Wyzew-
ski, 170.

Z.

Zabrzski Karol, II 76.
Zadzik Jakób, biskup
krakowski, 239.

Zagórski, 129.
 Zalewski *v.* „Rysownik“,
 II 89.
 Załuski 55.
 Załuski Jędrzej, biskup,
 II 116, 140.
 Załuski Marcin, sufragan
 płocki, II 140.
 Zamoyscy, ordynatowie,
 II 169.
 Zamoyska Zofia hr., II 147.
 Zamoyska Antonina z Za-
 horskich, II 12.
 Zamoyski Andrzej hr., II
 273.
 Zamoyski ordynat hr., II
 148, 274.
 Zapio Dawid, 114.
 Zaremba Dawid, kanonik
 warsz., II 263.
 Zarębska, II 273.
 Zarębski, II 273.
 Zaszczyński, 168.
 Zawisza Jan, 181.

Zembrzuski Paweł, bur-
 mistrz, 105.
 Ziebowicz *v.* Zienkowicz,
 168.
 Zieman Adam, bankier,
 II 82.
 Zrazowski Mateusz, 278,
 Zygmunt III, 2, 13, 18, 33,
 39, 43, 44. II 122, 232,
 252, 262.
 Zygmunt August, 9, 11.
 28, 139. II 73, 97.
 Zygmunt Stary, 9, 10, 69,
 124, II 97.

Ż.

Żebrowski T., 133.
 Żegota Wywialkowski,—
 169.
 Żółkiewski, hetman, 37,
 40, 92.
 Żółkowski Aloizy, 115.

Z KSIĘGOZBIORU
Kazim. Gołachowskiego

№. _____

TREŚĆ TOMU II-go.

	<i>Str.</i>
1. O Marywilu	I
2. O Placu Saskim	35
3. O ulicy Świętojańskiej	43
4. O ulicy Nowomiejskiej albo Gołębiej	87
5. O szpitalu Dzieciątka Jezus i jego założycielu	121
6. O początku Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności	145
7. O Dworze „pod Gwiazdą“	159
8. O domu prastarym przy ulicy Brzozowej	175
9. O niedoszłym projekcie „ulicy króla Rzym- skiego“	183
10. O rzadkiej broszurze zwalczającej bezimienny paszkwil na Warszawę	193
11. O ulicy Wązkiej	213
12. O Sewerynowie	221
13. O kościele Brygidek	231
14. O kołatkach, gaśnikach i judaszach	243
15. O tem, co się znajdowało ongi na dzisiejszym Placu Zamkowym	251
16. O pogrzebie księcia generała ziem podolskich	265

Indeksy.

I. Miejsca i zdarzenia, które się w tej pracy opisuje	285
II. Osoby, o których się w tej pracy wspomina	301

Z KSIĘGOZBIORU
Kazim. Gołachowskiego

Ł. _____

S. 61

Prof. Kazimierz Golachowski
Nowy Sącz ul. Kościuszki l. 11/1 p.

S-96

POLITECHNIKA KRAKOWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

L. inw. 26398

Kdn. 524. 13. IX. 54

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000296997

B

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



I-26398

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000296997